



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

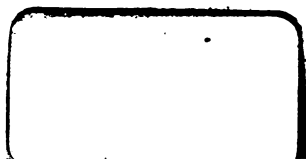
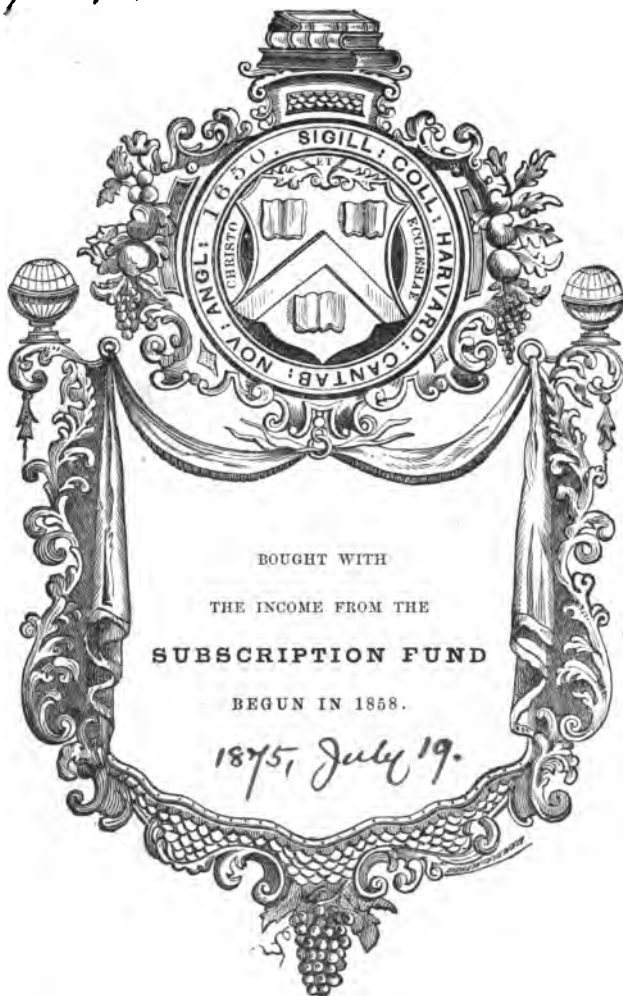
### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>



34-96

27241.5



5



⊙

*Fables, Jests, Traditions,*

**Bajki, Fraszki, Podania,**

*Proverbs*

**Przysłowia**

*i and*

*Folk-songs of Rus (or south-eastern Poland)*

**Pieśni na Rusi**

*collected*  
zebrał

X. Sadok Barącz S. T. D. Z. K.

---

*Printed for the author*  
Nakładem autora.

---

5'  
**TARNOPOL.**

W drukarni Józefa Pawłowskiego.

1866.

27241.5

1875, July 19.  
Subscription Fund.



## Araburda.

Ostrog, wojewoda poznański zaciągawszy znaczny dłu-  
żek u szlachcica pewnego, wcale się nie troszczył uiszczeniem  
winnej należitości. Kilka razy przypominał mu się szlachcic,  
a że to był pan znakomity; przeto wszelkie starania uboższego  
szlachcica były bezskuteczne. Już był postanowił nieupomi-  
nać się więcej u twardego pana swej ubogiej sumki, gdy  
w tem przypadkowo przybył do niego pewny wyjadacz, który  
straciwszy własny swój mająteczek, puścił się na włóczęgę.  
Był to słynny pieniach i rębajło, cokolwiek na jedną nogę  
utykał, bez trzech palców i jedno-oki. Twarz miał haniebnie po-  
kiereszowaną, a do tego jeszcze wasy sumiaste czyniły go  
prawdziwem straszidłem. Wszystkie te blizny odniósł on po-  
części od Tatarów, po części zaś od zwadliwych przeprawek  
z bracią szlachtą.

Po zwykłym przywitaniu i smacznej przekąsce, rozpo-  
czął przybysz pogadankę o pieniactwie, jako ulubionym swym  
przedmiocie. A gdy wpadł w zapał i wychwalał swoją zrę-  
czność w sprawach pieniężnych z najtwardszemi dłużnikami,  
zwierzył mu się gospodarz, że ma dług u wojewody poznań-  
skiego, którego odebrać nie może.

Mater Dei! co też wasze mówisz zawołał przybysz ura-  
dowany taką nowiną, gdyż to właśnie była woda na jego  
kamień. Czy podobna tak obojętnie siedzieć? ja bym samemu  
Lucyperowi wydarł z gardła, gdyby mi co był winien. Po-  
zwól że mi panie bracie pochodzić koło tej sprawy, ostatnie  
oko moje stawiam, jeżeli nie wydobędę od niego tej krwa-  
wo zapracowanej sumki waścinej.

Wolno wam panie Bracie robić co się podoba, lecz uwa-  
żajcie, że to nie lada orzech, którego wam zgryźć potrzeba,  
a jeżeli wam się uda niebezpieczna ta wyprawa, niech będzie  
Waszą połowa należącej mi sumki.

Otoż udam się w podróż i obaczę czy pan wojewoda ma w samej rzeczy ostre rogi. Jak mówił, tak też zrobił. Przed wschodem słońca już był na nogach i po krótkim śniadaniu poczwałował na dobrym podjezdku do pana Ostroroga. A że to było tylko dwie mile drogi, przeto dosyć wczesnie stanął u celu swej podróży. Wpadając obces na dziedziniec pałacowy, zatrzymał się u słupa, na którym były trzy kółka dla przypinania konia, na którym podróżny przybywał: Kółko żelazne, było dla chłopów, srebrne dla szlachty, złote zaś dla magnatów, poczem też poznawano gości kojno przybywających. Ale bohater nasz, aby zaraz na samym wstępie cały dwór zainteresować sobą, przedzierzgnawszy trzęzłą przez wszystkie trzy kółka, dążył swobodnie ku pałacowi. Właśnie wtedy stał w oknie wojewoda i przypatrywał się pilnie nieznanemu i wysłał pachole w celu powzięcia jakiej wiadomości o przybyłym gościu. Lecz pachole z niczem powróciło.

No któż tam taki zawołał niecierpliwie wojewoda?

Niewiem, przybyły niechciał zemną gadać.

Do którego kółka przyczepił konia, przecie musiałeś widzieć.

Panie! przez wszystkie trzy kółka trzęzle przewiązał.

Oho! to zawadjaka jakiś, jednooki, kulawy, to istny Asmodeusz. Zawołać mi marszałka i podstarości niech tu przyjdzie, bo to jak uważam, na sucho się nie obejdzie.

Cały dwór pospieszył na pokoje pańskie, a nawet panny respektowe i nierespektowe, ot tak sobie niby panny wcisnęły się do salonu dla dogodzenia swej zbytecznej ciekawości. — Nareszcie wszedł nasz bohater i na znak powitania magierką do koła machnąwszy, zagał poselstwo swoje od następujących wyrazów:

Jaśnie wielmożny wojewodo! Kiedy się żółcią i octem wymacerowanej pamięci liczne stawiają i bykują serwadrony, trudno nie suspirować z Enceladem, taka albowiem jest terazniejszych czasów wydystelowana stablatura, że na sztafiorowanych tylko fantazjach regrandyzować się musi, a prawie, jako się domyślam, cały świat teraz na figlach wisi. Gdzie owe dawne dziedzieryzto ufortelowane fortece, w których teraz niemasz i ładunka, które to na stoporczołym wierzeółku

zagłądały do nieba, wszystko to starożytność, jako w owych dodonejskich drzewach robak, z ziemią zrównała. Tobym ja słusznie terażniejszym przypisał czasom, co tam cymbalista krokodylowi na cynamonowym drągu namalowanemu przydał. Napatrzeć się to było owych bohaterów, totumfackich junaków z fordymentem, którzy to ostrym bułatem, albo szczerbatym na Propentydy straszdyłach demeszem, dobrze nieprzyjacielskie karki kiereszowali w pień, a dziś pod so-bolem i wilkiem, zajęcze ukrywa się serce. Zażywaliśmy po-koju i konwersacyi, każdy przecie, czy ubogi, czy bogaty kontent był ze swego, cóż kiedy nastąpiła owa niefortunna odmiana, że każdy teraz ma swego mola, co go gryzie, usta-wicznie w fasolach i rozterkach się zostaje, a po dawnych czasów przysmakach, z odartych tylko substancyi drapaniny, ugryzkami niefortuna zaprawia konfitury. Pieczone przedtem do gęby latały gołąbki, a teraz wszystko jako z kamienia idzie. Przedtem obszerne, rozłożyste płynęły lata, a nasze potomne wieki jako wyrodky przy nich zmalały. Zawsze so-bie w komperdymentcie życzliwych chęci bezpiecznie, specjal-nie spacerował afekt, a teraz wszędzie laserowana nieszcze-rością życzliwość i jakimiś nieukontentowania blejwasem, albo cynobrem, tu się więc maże, tu się zaś pisze. Dawniej ver-bum nobile krępowało szlachcica, stał przy niem sierdzisto choćby na samej piekła pieczarze, a dziś zabrawszy mana-tki, jako szuszwalek wynosi się od nas precz. Ale stój prze-bóg! dokąd cię szalona myśl unosi? jeszcze ręka nasza nie skurczyła się i szablica z pochwy błysnie, potrafim uskromić dzikie twe zapędy. W tej samej sferze Tadeusz Grzymalita pan na Holobokach wyselając mię Araburdę Kukufata w te prześwietne progi, przypomina się łasce waszej J. wny wo-jewodo, i zaleca poświęcić mu usługi moje dotąd, póki po-żalowanie požądane nienastąpi. A gdy się spełnią życzenia pana Tadeusza Grzymality, natenczas urośnie sława Arabur-dy Kukufata, a wam J. wny wojewodo będzie za to sempi-terna, Dixi.

Wszyscy okropnie wybałuszyli oczy na niego, gdyż na samym wstępie nie pochwalil Boga i prawil o rzeczach, o któ-rych nikt niemial wyobrazenia. Jeden tylko wojewoda domy-

ślając się o co rzecz idzie, odezwał się mówiąc: „Obaczym kto kogo przemoże“. Tymczasem wydał rozkaz, żeby pana brata we dworze pomieszczono. Służbie zaś osobno polecił, żeby mu różnemi sposobami dokuczała, ku czemu i sam niepospolicie przysposobił się. Pierwszego dnia powolna była służba rozkazom pańskim, do obiadu zaproszonemu nie dali łyżki, o czem wiedząc wojewoda zawołał: „Kiep ten, który barszczu nie zje“. Kukufasio sierota pomiarkował, że jest celem szyderstwa, wziął chleb wykroił sobie potężną łyżkę, zjadł barszcz i tryumfująco odparł: „Kiep ten, co łyżki swojej nie zje“. Konfuzja spotkała wszystkich siedzących przy stole, gdyż nikt nie mógł łyżki zjeść, prócz pana Araburdy. Lubo trafił na swego wojewoda, jednak nie tracąc miny, chciał jeszcze przy końcu obiadu z niego zażartować. A ponieważ Kukufasio siedział na szarym końcu; przeto z pełnym kielichem powstawszy zawołał: „Wiwat ten i tamten koniec“. Na co powstawszy Araburda rzekł: „Dziękuję wam wojewodo tym i tamtym końcem“. — Wielka zniewaga przerwała dalszą biesiadę, która miała być na niekorzyść gościa wyprawioną, każdy udał się do swego gabineciku, by odpoczął cokolwiek po obiedzie. — Na kolacyi nowa była historia z Araburdą. Zamiast krupniku dano mu tylko czystą polewkę. Nie wiele myśląc, począł się rozbierać, już bóty sciągnął, gdy wojewoda zmieszany zawołał: co wasze robisz panie Bracie?

A cóż? myślę dać nurka, może jaką krupę ulowię.

Kazał mu tedy odmienić misę wojewoda i dać prawdziwego krupniku.

Nazajutrz zmieniła się postać rzeczy. Araburda znalazł łaskę w całym dworze, służba przyłgnęła do niego, jak do brata. Najlepsze kąski jemu się dostawały, froncymery nawet często powtarzały: przedziwny ten sobie Kukufasio. A na domiar zgorzenia w sam dzień piątkowy cała garderoba jak we młyńnie huczeć poczęła. Froncymery głą się. Gwałtu Kukufasio! śmieją się, piszcza, płaczą, krzyczą, wiszcza, a stołki, stoły i ławy w największym ruchu tartas pomnażają. Nareszcie brzdęk! najpiękniejszy gąsiorek rozleciał się w dro-

ne kawałki, woda się wylała i Kukufasio wyleciał z garderoby, a za nim posypały się przekleństwa: „a bodajże cię wyniesiono; bodaj cię paralusz naruszył“.

Nie w smak to poszło wojewodzie, że prawie cały dwór przeciw niemu rokosz podniósł. Podczas obiadu, gdy Araburda smacznie rybę z ikrą zajadał, od niechcienia odezwał się do niego: „panie bracie zarybisz sobie żołądek“. Niech i tak będzie odpowiedział Araburda, ale pierwszy spust dla was wojewodo. — Rubaszna konfuzja sprawiła powszechne milczenie i przyczyniła się niezmiernie do zaspokojenia niezmyślonego apetytu Araburdy, który po obiedzie wziął się jeszcze do séra. Ukroił jeden i drugi kawałek, i gdy do trzeciego się zabierał, wojewoda przemówił: „panie bracie wszak to parmezan“, dając mu do zrozumienia, że to nie sér polspolity, ale kosztowny.

Tem lepszy i trzeci kawałek wpakował do gęby.

Ale panie bracie, kto tego séra dużo zjada, ten strud się może.

To doskonale! dobrze że wiem o tem, mam ja towarzysza bardzo niegodziwego, chciałbym się go pozbyć, to go tym sérem poczęstuję i resztę schował do kieszeni.

Wojewoda scisnął tylko ramiona i poszedł do swego gabinetu. Ale gdy się zdrzymał cokolwiek, strzał z rusznicy obudził go i niemile na nim zrobił wrażenie. Spojrzał w okno, a tu drugi i trzeci strzał pada z domu pana marszałka, o zgrozo! w piątek odprawia się wesola biesiada. Skaczą, wrzeszczą, tłuką, świszczą, ledwie domu nierozwają. Zgorszony wojewoda udał się do domu marszałka i w miarę tego, jak się zbliżał, gasła wrzawa, lecz nie z bojaźni broń Boże, siła trunku zamykała im gęby i znóg jednego po drugim waliła. Gdy drzwi otworzył, wszyscy już leżeli prócz Araburdy. Marszałek z pod łóżka zawołał jeszcze: „Kuku“ i na tem skończył. Zawtorował mu jękający się podstarości „fa, fa, fasio“ i głucha cisza nastąpiła.

Cóż to panie Bracie pobojuwisko? zawołał wojewoda.

Ależ to lichota odezwał się Araburda, po dwa kieliszki (wskazując na puchar półgarcowy) wypili i już wszyscy

pokotem leżą. Ja dopiero co zakosztowałem, piłbym jeszcze a tu niema z kim.

Wasze byś całą piwnicę wypił jak widzę, rzekł rozgniewany wojewoda i poszedł do pałacu. Już mu się przykrzyć począł Araburda, ale cóż miał robić, kiedy postanowił go z niczem wykurzyć z domu swego. Z niemalém podziwieniem postrzegł, jak na kolacyi całą misę kaszy zjadł Araburda i szczęśliwa myśl przebiegła mu przez głowę „zapewne drugiej misy zjeść niepotrafi“. Wesóło tedy odezwał się: Wiesz co panie bracie; jeżeli jeszcze jedną misę zjesz kaszy, to ci oddam dług pana Grzymalita, a jeżeli nie zjesz, to baty wezmiesz i fora ze dwora, a to dzisiaj jeszcze.

Dlaczego bym nie miał zjeść, kiedy chodzi o wygranę, zgoda, proszę o kaszę zawołał Araburda.

Podano tedy misę kaszy, którą jak najwyraźniej bez najmniejszego natężenia zjadłszy, dopominał się o zapłacenie długu. Ale wojewoda niechciał dać pieniędzy.

Ha nu! jeżeli mi niechcesz wypłacić długu, to ja ci twoją kaszę wrócę wojewodo. I porwał misę i włożył palec w gardło; ale wojewoda przerażony tą obrzydliwością rzucił mu worek pieniędzy. Szczęśnij, bierz i wynoś mi się precz a to zaraz.

Albo ja co ukradł, żebym się po fiocy tłukł, jutro rano sobie wyjadę.

Twój Grzymalita mógł być przecie kogo uczciwego do mnie posłać, nietakiego oczaj....

Tak poczciwszych do poczciwszych wysłał pan Grzymalita, a do wojewody takiego jak ja oczajduszę.

Oburzony wojewoda śmiałą tą odpowiedzią, splunął tylko i poszedł do swego gabinetu, a nie mogąc się zemścić na nim, kazał koniowi jego ogón uciąć. Araburda udając się na spoczynek przeczuwał, że mu jakiego figla przy końcu wypłatają; przeto bardzo rano wstał, gdy jeszcze wszyscy spali i poszedł do stajni, gdzie z niemalém podziwieniem postrzegł, że koń jego był bez ogona. Wnet dobył nożyka i esterem koniom pańskim wargi poobrzymał, a sam wsiadłszy na konia cichaczem wyniósł się ze dworu.

Szczęśliwa droga! zawołał z okna wielce uradowany, że mu się psota udała wojewoda. A gdzie to waścin rumak ogón stracił?

Śmiejecie się wojewodo z mego podjezdka rzekł Araburda, ale idźcie no do stajni, tam się lepiej ubawicie, gdy zobaczycie, jak się wasz cały cug śmieje z mego bachmata i zwinął chorągiewkę.

## Barszcz.

W pewnem mieście był księgarz imieniem Barszcz, który bardzo źle obchodził się z chłopcami w sklepie, nazywając ich rurami. Raz przecie trafiła kosa na kamień. Przybył do handlu chłopak walny, niedbający wcale o względy Pana Barszcza, który zwłaszcza znaczne zaciągnawszy długi u rodziców jego, od łaski młodzieńca tego zależał. Pewnego razu podając książki księgarzowi pomylił się, zamiast kazań Woronicza, podał bajki Krasickiego. A jaki z waćpana rura, zawołał Barszcz rozgniewany. Na co mu chłopak bez wszelkiej ogródki odpowiedział: „Kiep barszcz bez rury“.

## Bibułka.

Szewc Antoni był dobrym majstrem, ale też opojem niemalym; przezco pozyskał przydomek „Bibułka“. Żona martwiła się bardzo swoją niedolą, gdyż najczęściej odbierała razy pociągacza. A że to była bardzo pobożna niewiasta; przeto udała się do ojców Bernardynów po radę. Ojcowie podjęli się poprawy jej męża i kazali pijanego przynieść do klasztoru. Zrana przebudza się duch święty przy nas szewc i według swego chwalebego zwyczaju poczyna nucić ulubioną piosnkę: „Kasieczka! a gdzie moja flaszczyka, przez Boże męki, podajże mi do ręki, bo ja cierpię wielki ból, ból“. Czy słyszysz Kasieczka! ty się nieruszasz, ej jak cię kropnę, to ty zaraz mi wstaniesz.

Ave Maria! zawołał w tej chwili braciszek zakonny, a otworzywszy drzwi powiedział: „Niech Jegomość idzie na medytacje“. Przeczętnał się szewc, wszelki duch chwali pana

Boga, gdzie ja jestem zapytał i począł ciekawie oglądać swoją chalupę. Lecz godzina nie minęła, wpada ojciec Gwardyjan z ojcem Gaudentym Gwizdalskim tęgim chłopem noszącym za cholewą kańczug potężny. Czemu Jegomość nie był na medytacjach?

Ależ zmitujcie się czcigodni Ojcowie, ja nie wiem gdzie jestem i co się zemną dzieje, ja szewc Antoni.

Patrzcie zawołał ojciec Gwardyjan, jak się wyłgać chce niecnota. Wszakżeś ty dziesięć lat w zakonie, a teraz chcesz się lgarstwem ztąd wykręcić. A nuno ojcie Gaudenty pociągnij go smyczkiem.

Dobyl ojciec Gaudenty smyczka, jak zacznie gwizdać po plecach, szewc wrzeszczy i piszczy jak dusza w Czyscu, a ojciec Gaudenty gwizda i gwizda. Nareszcie po trzydziestu gwizdonach zaprzestał, a ojciec Gwardyjan zawołał: „ubieraj mi się w habit“.

Szewc rad nie rad przedzierzgnął się w habit i siedzi, maca się, czy to on? czy nie on? ten sam Antoni, jeno pojąć niemoże, jakim sposobem dostał się do klasztoru. Medytuje tedy, — śniadania nie dali, — nabili się do woli, — coż tu dalej będzie? W tem zadzwonili na obiad, idzie on z drugimi do refektarza, ale tam kazali mu na środku klęczeć i postawili przed niego, kufel czystej wody i kawalek suchego chleba. Zjadł chleb, napił się wody i wstał z drugimi do modlitwy po obiedzie. Podobnież było i na kolacyi, ba na drugi dzień ta sama historia, klęczeć każą przy wodzie i suchym kawałku chleba, a tu po brzuchu Cygani Krakowiaka wycinają. Widzi szewc, że źle koło niego, uprosił kuchnię klasztornego, żeby po kryjomu zaniósł list do jego żony. Wziął kuchnia list, a ponieważ do wspólnej zmowy należał, przeto nie zaniósł listu do Antoniowej, jeno prosto do ojca Gwardyjana. Z niesłychaną tedy furją wpada ojciec Gwardyjan z Gaudentym Gwizdalskim. Jak ty śmiałeś niecnoto pisać list do cudzej żony? niedosyć, że się wykręcić chcesz, ale jeszcze romanse rozpoczynasz w świętym zakonie. A nu no ojcie Gaudenty dobądź smyczka wypędź mu romansy z głowy.

Ojciec Gwizdalski jak zacznie po swojemu gwizdać, szewc wrzeszczy, a on gwizdze. Wygwizdali mu tedy skórę



nałęczycie i zostawili na dalsze kontemplacje. Szewc zbity przemysłliwa nad sobą, jak by tu z klasztoru wydostać się. Nareszcie nawinął mu się braciszek, który zdawał się podzielać jego utrapienie. Wypytuje się go, co tam słychać w mieście, czy żyje szewc Antoni? którego Bibulką nazywają. Opowiada mu tedy braciszek smalone duby o Bibulce, że żyje, że mu się dobrze powodzi, że z Antoniową codziennie tłustego kapłona zjada. Westchnął szewc bardzo ciężko, padł na kolana i modlił się gorąco, żeby Bóg stan jego przemienić raczył. Modlitwa skutkowała, ojcowie Bernardyni zwolnili nieco z ostrości, nie kazali klęczeć i cokolwiek więcej jeść dawali. Lecz nie odstąpili od wmawiania w niego, że jest Bernardynem, co też poparli surowym rozkazem, żeby się przygotował z kazaniem na pewną niedzielę. Szewc uczy się kazania, — przychodzi niedziela, szewc lezie na ambonę, ale spostrzegłszy swoją żonę w ławce siedzącą, zamiast kazania, począł wołać najprzód pocichu: Antoniowa! a potem głośniejsz: Antoniowa! Antoniowa! Bernardyni zciągnęli go z ambony. A ty łotrze, ty niecnoto, ty nam wstydu takiego narobiłeś! Nuż tedy paskami i kańczugiem garbować szewcowi skórę, — tak go zbili, że ledwie już dychał szewc nawiedzony, a poznawszy, że to Bóg zesłał karę za jego pijaństwo, modlił się znowu gorąco i przyrzekł, że żadnego trunku do ust nie weźmie. Rzeczywiście poprawił się, a gdy mocno razu pewnego zasnął, Bernardyni do domu odnieść go kazali.

## Bernardyni.

W pewnym klasztorze umarł Bernardyn, koło którego dwóch Ojców kolejno psalterz spiewało. — W nocy wypadła kolej na dwóch junaków, którzy się niczego nie bali, jedno siedzieli sobie i spiewali. Nareszcie gdy im w gardle zaschło, mówi ojciec Kanty do ojca Letusa, przynieś kufel piwa, bo mi gardło wyschło. Idzie ojciec Letus do kanafarza po piwo, a tymczasem z figłów ojciec Kanty, zmarłego Bernarda stawia na swoje miejsce, sam zaś kładzie się na katafalku, na miejsce ojca Berarda. Przychodzi ojciec Letus z pi-

wem i trąca swego towarzysza, sądząc że się zdrzymał: „pij piwo“ Nareszcie drugi raz trąca go, na co leżący odezwał się: „nie chce pić, to daj mnie ja się napiję“. Skoro usłyszał tej mowy ojciec Letus, rzucił kufel z piwem na umarłego, który pokropiony zerwał się na obie nogi. Leci tedy przestraszony ojciec Letus naprzód, za nim Berard, a za Berardem goni Kanty z takim łoskotem po kurytarzach klasztornych, że aż się wszyscy ojcowie ze snu przebudzili. Długo jeszcze ci figlarze żyli, najprzód umarł ojciec Letus, za nim poszedł ojciec Kanty, a niegdyś zmarły ojciec Berard wszystkich przeżył.

## Biéda.

W zamożnem mieście Franio i Milka razem chodzili do szkoły, kochali się też bardzo, a gdy podrośli, odezwała się w nich inna skłonność, by to życie razem z sobą połączyć i nigdy się nie rozstawać. Ale Franiowi wypadło iść do wojska, czule zatem było ich pożegnanie, przy którym odmieńniąc pierścionki przyrzekli sobie nie szukać innego związku, póki się wojna nie skończy. Lecz wojna bardzo długo trwała, — Franus nie wracał, a Milka miała już innemu oddać rękę. Właśnie wtedy kiedy miało się odbyć wesele Milki, Franus uwolniony zotasał od wojska i powracając zobaczył straszną walkę między dwoma bocianami. Żał mu się zrobiło tych skrzydlatych junaków i zawołał na nich: „A czego wy się bijecie bociany? A oni mu odpowiedzieli: „Ojciec nam odumarł, a my się niemożem o spadek pogodzić“.

Uspokójcie się, ja was pogodzę i pogodził ich, a oni mu bardzo pięknie podziękowali zato, i jeden darował mu taki miecz, którym mógł całe wojsko pokonać, drugi zaś, dał mu taką wodę, która umarłych ożywiała. Z temi podarunkami przybył do swego miasta, w którym wielkie czyniono przygotowania do obchodu weselnego jego niegdyś narzeczonej. Z wielką trudnością dostał się do domu swojej Milki i pokazał jej pierścień, a ona go poznała i z wielkiego bólu umarła. Narzeczony oblubieniec z rozpaczy dobył mie-

cza i chciał Frania zabić, ale on dobywszy swego, którego mu bocian ofiarował, pokonał szczęśliwie rywala swego.

A w domu wielka trwoga opanowała umysły krewnych, którzy ogłosili: jeżeliby kto Milkę do życia powołać zdołał, tego też ona będzie. Wnet zjawił się Franus i dał jej wody od bociana darowanej napić się, a Milka ożyła i wesołe bardzo odprawiły się między nimi gody. — Byli więc razem bardzo szczęśliwi, gdyż do tego mieli także znaczny majątek.

Pewnego razu poszedł Franus w pole doglądać robotników, aż tu zjawia się jakaś pani od stóp do głowy czerwono ubrana i pyta go, kiedy życzy sobie doznać biedy, czy za młodu, czy na starość? Zesmutniał Franus na takie zagadnięcie, ale myśląc sobie, jeżeli taka jest wola Boża, żeby człowiek cierpiał, to już wolę ja za młodu mieć biędę, niżeli na starość. Taką też dał odpowiedź owej pani, która była rzeczywistą biędą. Pani zniknęła z oczów Franusiowi, który zasmucony powróciwszy do domu, opowiedział całe to zdarzenie Milci pocieszając onę, że w biędzie będzie mógł przynajmniej pracować, żeby siebie i żonę swą utrzymać.

Nazajutrz rzeczywista zawitała bięda: najprzód wszystko bydło wyginęło, a potem spaliły się wszystkie budynki z całym dobytkiem tak dalece, że nie mieli ani co jeść, ani czem przyodziać się, a przy końcu powykręcało Franusiowi ręce, że nie mógł na kawałek chleba zapracować. Wybrali się tedy oboje na pole wyglądać zmiłowania Bożego nad sobą. — Kiedy zaś najbardziej głód im dokuczał, nadjechał jakiś pan, któremu Milka bardzo się podobała, a widząc, że to są żebracy wprost odezwał się do Franusia: „Słuchaj no człowiecze, sprzedaj mi twoją żonę, ja ci dam dużo pieniędzy“. — Serce ścisnęło mu się od żalu, że będzie musiał rozłączyć się z swoją najukochańszą Milką, ale bacząc na to, że żona przy nim zmarnieje, przystał na kupno i otrzymał dużo pieniędzy.

Przy pożegnaniu z Milką mocno się rozplakał, a tak zgłodzony i zbiędzony położył się i zasnął na pieniądzach. Lecz niestety pieniądze nieuratowały go od nędzy, gdyż wtedy właśnie, gdy spał, przyleciał kruk złodziej i wszystkie

pieniądze mu zabrał. Przebudził się nieszczęśliwy Franuś, a tu już ani pieniędzy, ani żony niebyło koło niego. Teraz dopiero rozpoczęła się prawdziwa bięda. Błąkał się tedy od domu, do domu, od wsi, do wsi przez długi czas doznając wszystkich niedogodności losu. Po wielu latach cierpienia, przyszedł do tego miasta, gdzie był ów Pan, który kupił jego żonę. Dostał się do niego na służbę, poczem pan jego umarł i zapisał cały majątek Milci, która Frauusia swego poznała i żyła z nim odtąd już bardzo swobodnie, a Franuś powtarzał to często wnukom swoim: „że słodka jest rozkosz po odbytych cierpieniach biędy i nędry.“

## Biędny Jaś.

W mieście, którego założyciel na polach Cecory waleczną poległ śmiercią, a dziki Tatar z Turczynem w niewolę ujęty, wałem i murem otoczył; zjawił się pewnego poranku chłopczyzna ubogi, — i jakby ze snu nagle przebudzony, obracał się niespokojnie na wszystkie strony. Spoglądał ciekawie to na zamek, to na kościół; a z całego ruchu jego, poznać było można, że tu nigdy nie był, że nie należał do żadnej rodziny miasta tego.

Ale jak to w małej mieścinie i taki przybysz uwagę na siebie ściągnąć może, obstąpili go wnet ludzie i ze wszystkich stron nań wołali: Zkąd ty? czyj ty? — Lecz chłopczyzna spokojnie milczał i ledwie tyle się dowiedziano, że się Jaś nazywał, — ale zkąd przybył? jakim sposobem przyzwartych bramach dostał się do miasta? to zostało tajemnicą niedocieczoną. A co gorsza, że nikt nie okazał współczucia dla chłopczyzny opuszczonego, ale jeszcze oburzył się nie jeden; inni odchodząc zegnali się nawet, jakby widmo przed sobą byli ujrzeli; — bo Jaś niestety! niewyciągał ręk do ludzi, a oczy jego niewznosiły się jak dwie błagalnice, żebrząc przechodnia litości.

Tak to zwykle bywa, że mimo woli naszej niemożemy utaić tego, co się wewnątrz nas dzieje; — bo oko jest odbłaskiem duszy, wiernym obrazem usposobień naszych. Jeżeli

serce zranione boleje i od żalu ledwie nie pęka; trudno, żeby wtedy łza w oku nie zakręciła się; — jeżeli dusza skolatana i namiętności wzburzone, ledwie piersi nierozsadzą; trudno, żeby wśród tej walki oko się niezaiskrzyło płomieniem złości, lub nienawiści. — Ale kiedy wewnątrz spokój i pomyślność jak wiatr chłodzący wśród upału słonecznego utwierdziły się; wtedy rozplomienia się twarz nasza i oko się śmieje, bo w duszy cisza swobodna, wesele niczem niezmacone.

Takie były oczy Jasia, pełne szlachetnej dumy, zapowiadające przyszłe zwierzchnictwo nad drugimi. Zato też został sam jeden, jak wśród nieprzebytej pustyni, bez wszelkiej opieki. Dzień przepędzał w zamku, a noc na przyzbie pod strzechą żydowską. Z każdym dniem wzmagala się nędza jego, bo w zamku rzadko kiedy podano mu kawałek chleba, nikt się niechciał zająć losem sieroty.

Biędne dziecko, ugięte pod ciosem srogiej niedoli wleło się przez rynek, czasem tylko wstrzymywał się, gdy nań zawołano. Lecz niestety przekonawszy się, że to obca matka swoje dziecię wzywa, by pospieszył do pieszczot matczynych, odwracał oczy i spuszczał na dół głowę, niewiedzieć, czy go na ten widok wspomnienie jakie bolesne dręczyło, czy może niepojmował głosu matki. — O bo matka jest dla dziecka piastunem z nieba posłanym, ona w niem widzi cząstkę żywota swego; a kiedy dziecko się rozkwili i łzami zaleje, wnetrzności matki się wzruszają, wszystko porzuca i bieży, aby dziecię przytulić do łona swego.

Jaś pozbawiony tej najtkliwszej troskliwości, jaką inne dziatki były otulone, skurczony na przyzbie przepędził całą noc prawie bezsennie, bo noc była zimna i wilgotne przesuwalo się powietrze. Rano ledwie zaszedł do zamku, aby się czem posilić. Dzień cały był pochmurny, a koło wieczora bardziej zasępilo się niebo i szum liści w pobliskim lesie, zapowiadał gwałtowną ulewę. Wsamej rzeczy rozdarły się chmury i deszcz nawalny puścił się. Nikogo niebyło widać na ulicy, tylko Jaś zgłodniały i przemokły włókł się przez rynek do przyzby swojej. Na której usiadłszy, dreszcz nieśmiały przejął wszystkie członki jego, zaczął się trząść i rze-

wnemi zalewał łzami, tłumiąc jednak w sobie łkanie, jako gołąbica wzdychająca szemrząc w sercu swoim; bo sierocie nawet lez ronić nie wolno.

Ale służący zamykający okiennice, usłyszał płacz sieroty i powracając rzekł do gospodarza domu: „Panie! chłopczyna, co od kilku dni sypia na przyzbie naszej bardzo się trzęsie i płacze“. — Każ mu tu wnijsć, odpowiedział gospodarz.

Jaś wezwany wszedł do świetlicy i położył się na miejscu przez gospodarza wskazanem. Na drugi dzień, gdy po krótkim śniadaniu wybierał się do zamku, gospodarz uprzejmy przybliżył, się do niego ze swoim jedynakiem. Zostań tu będziesz się bawił z moim synem, który i w wzroście i w wieciech tobie jest równy.

Najchętniej przyjął Jaś takie wezwanie, wnet zaznajomił się z swoim towarzyszem, którego miał być piastunem. Już dnia drugiego orzeźwiła się świetlica i pełno hałasu narobili dwaj chłopaki. Dalej zaczęli oba psoty nawet płatać gospodarzowi: jedynak wyciągał papiery ze stolika ojcu, na których były rachunki pisane, a Jaś wycinał z tego różne figurki; ze strychu znosili deszczki, gonty i strugali pałaszyki, noże i nożyce były nieustannie w ruchu. A gospodarz nic nie mówił, bo jedynak jego bawił się dobrze i Jaś tak był wesół, jakoby nigdy nie cierpiał; zapomniał, że niedawno trząsał się od zimna i płakał zgłodniały.

Tak to podobno i z nami się dzieje, kiedy nieszczęście jak ciężar nieznośny zwali się na nas, wtedy dumamy i bolejemy; ale niechno gwiazdka nadziei zabłyśnie i szczęście zawita, zapominamy; żeśmy dopiero co płakali.

Okolo godziny czwartej z południa, jakiś niezwyčajny ruch panował między Żydami. Jeden na drugiego kiwał, to za głowę się brali, — szkolnik to wołał to pukał, jakby na błagalną modlitwę jaką, a wszyscy zbierali się koło domu gospodarza, gdzie Jaś przybywał. Nareszcie zapukał jeden do okna, wołając: już jedzie! już jedzie!

Gospodarz ubrany w żupan świąteczny, wybiegł na ulicę, a oto przybliżyła się budka żydowska szarem płótnem

pokryta i stanęła przed domem gospodarza, z której wysiadł starzec poważny i podając rękę każdemu mówił: Szalom lak! (pokój tobie). Tak tylko on mógł pozdrawiać, bo to był sławny i uczony Rabin, który ze szczególnej swej łaski przyjechał zwiedzić gminę miasta tego.

Po przywitaniu cały tłum zebrany ruszył z Rabinem do bożnicy drewnianej, do której wszedłszy, wnet zabrzmiały pieśni Hallel, pieśni najweselsze, które niegdyś Izrael w świątyni jerozolimskiej z wdzięczności nucił Jehowie, Panu swemu; — i mnóstwo świczek zajaśniało na znak uczczenia i radości.

Po skończonem nabożeństwie i rozmowie duchowej, która prawie do nocy trwała, zaprowadzono Rabina do domu gospodarza. Wszedłszy do świetlicy, nagle wstrzymał się na rogu tejże, gdzie Jaś pod łachami żydowskimi spoczywał już snem sprawiedliwych.

Kto to jest Adoni? zapytał gospodarza.

Jest to ubogie dziecko, którem się wszyscy porzucali, jam z miłosierdzia przyjął go do domu swego.

Czy widzisz tę jasność, która z jego twarzy wychodzi i ten złocisty promień, który jak tęcza różnobarwna otoczył skronie jego?

Ach widzę, rzekł zdziwiony gospodarz.

Jehowa imok (Bóg z tobą) ta tęcza jest to przymierze, jakie Pan raczył uczynić z domem twoim, — a ta jasność przepowiada, że z niego spłynie świetność bogactwa na ciebie i dzieci twoje. Szanuj tego chłopca, uważaj go za syna twego, i owszem suknia syna twego, niech będzie jego suknią, stół syna twego, niech będzie jego stołem, słowem nie rób między nimi żadnej różnicy. A nadewszystko staraj się go wyćwiczyć w mądrościach naszych, niech zgłębia Talmud, księgę żywota naszego. — A to wyrzekłszy wznosił starzec ręce nad Jasiem i jak niegdyś Arcykapłan Heli wtajemniczał młodego Samuela dla szczęścia ludu swego.

Nazajutrz odjechał Rabin, a gospodarz uszczęśliwiony widzeniem tak wznosiłem, zaczął przebierać Jasia na sposób

żydowski. Jaś przebrany w żupanik czarny, otoczony względami pana swego, który siebie ojcem nazywać kazał, nie wiedział co się z nim dzieje. Nareszcie ukazano mu księgę dużą, z której miał się uczyć. Lecz aby mógł pojąć ważność takiej, przeczytał mu ojciec jego przybrany, z samego prawie początku rzeczy najważniejsze: „Pytał Rabi Amel i Rabi Vida, które są sprawy Boże, tak Rabi Vida wyłożył i pisał: Jest godzin dniowych dwanaście; pierwsze trzy godziny siedzi Bóg, uczy się Talmudu, w drugie trzy siedzi na dwóch stołkach i sądzi wszystek świat, a gdy widzi świat osądzony, wstaje z krzesła sprawiedliwości i usiada w krześle miłosierdzia. W trzecie trzy godziny żywi świat od największego sorobora, aż do najmniejszego robaczka, który ciało porze. W czwarte trzy godziny siedzi i gra sobie z Lewiathan, która ryba tak wielka jest, że wszystek świat obeszła i aby nierosła więcej, plusk swój w paszczekę włożyła. Pytał się Rabi Icek i Rabi Lewek, co Bóg czyni, aby się nie frasał, odpowiada, że siedzi i uczy Talmudu tych dzieci, którzy w pieluchach umierają i co nieuczni.

Po takim wstępie szumnym, z którego przekonać się mógł, że kiedy Bóg sam się uczy Talmudu, i dzieci gromadzi koło siebie, aby im wykladać mądrości tej księgi; to trzeba będzie z całą pilnością chwycić się nauki i czynić dobre postępy dla pociechy dobroczyńcy swego. Nie zaniedbywał też ojciec pokazywać mu szelągki i uczyć, jak się postępuje od nich do Ortów, od tych do Talarów i Czerwonych złotych, które stanowią blask bytu dobrego. Jedynak lepiej te rzeczy pojmował, niżeli Jaś, mało go to co obchodziło, za to też dokładniej zgłębiał Talmud; — z czego ojciec ułożył sobie przyszlą świetność domu swego: Mój syn będzie wielkim kupcem, a Jaś bardzo uczonym i mądrym, i wszyscy od wschodu, aż do zachodu schodzić się będą, aby podziwiać rozum jego.

Z tego względu gospodarz bardzo polubił Jasia, bo też to chłopiec był usłużny, dobry i pracowity; jedyną rozkoszą jego było czasem zgromadzać dzieci i bawić się w żołnierkę, kontent był niezmiernie, kiedy mógł wywijać szabelką i w



szuku bojowym, nacierać na nieprzyjaciela, lub szturm przypuszczać do fortecy. — Gospodarz unosił się nad jego talentem, jednego wieczora ucztę nawet wyprawił znajomym swoim i wychwalał przed wszystkimi Jasia swego. Noc całą przepędził wśród słodkich nadziei, ale rano gdy wszyscy powstali, Jaś nie wstawał, myśleli, że zasnął, niespokojni zbliżyli się do łóżka jego, — ale nawet miejsce po nim zastygło. Okrzyk się zrobił w świetlicy, wszyscy wybiegli szukać Jasia, lecz Jasia nikt niewidział, niewiedzieć gdzie się podział. Czekali do południa, Jaś i na wieczór nie przybył, a smutek zajął duszę gospodarza i cały dom jego, — kilka dni minęło, ani wieści o Jasiu, przepadł, jak kamień w wodę rzucił.

Pierwszy Szabat był posępny i gospodarz zapłakał na oznakę wielkiego nieszczęścia, jakie dom jego nawiedziło; bo Jasia nie było za stołem jego. Mijały lata, o Jasiu najmniejszej niebyło pogłoski, gospodarz już się uginał pod ciężarem lat i co Szabatu dumał i płakał wspomniawszy sobie Jasia, do którego się tak serdecznie był przywiązał. Nareszcie trzeba było żenić jedynaka i zostawić na swoim miejscu, gdyż chwila rozwiązania zbliżyła się. W samej rzeczy po ożenieniu syna, gwałtowna jakaś choroba rzuciła nim o łoże boleści, — cierpliwie oczekiwał on momentu przejścia do Ojców, a ostatnie słowa „Jehowa i Jaś“ skonały na ustach starca znękanego.

---

Okna zatętniały, strzał działowy rozległ się po mieście i cała działobitnia grać poczęła. Na ten odgłos odezwały się dzwony we wszystkich kościołach, a mieszkańcy miasta z wesołą twarzą zbierali się: jedni chorągwie nieśli, drudzy kwiaty i gałązki drzew trzymali w rękach i razem z kapłanami całej Kollegiaty przebranymi w szaty kościelne ruszyli ku bramie warowni, aby powitać króla i pana swego.

Właśnie zbliżał się król na czele orszaku swego, stanął przed bramą i skłonił głowę, aby kapłan pokropił święconą wodą; potem wziął krzyż, przycisnął do piersi i do ust przyłożył, który pocałowałwszy, oddał rycerstwu swemu, aby oddało cześć Zbawcy rodu ludzkiego. Nareszcie wójt miasta

podał na bogatym węzłowi dwa klucze złociste, których dotknąwszy się król rozkazał otworzyć bramy, i tak wjechał do miasta śród śpiewu wesołego ludu i wołania zewsząd: „Niech żyje król“.

Prosto zaprowadzon był do Kolegiaty, do której wszedłszy, upadł krzyżem przed Królem królów i ukorzył się przed Panem Zastępów. Tak oddawszy przynależną cześć Stwórcy, wyszedł z kościoła i udał się do zamku, gdzie stanąwszy przyjmował każdego z osobna, rozmawiał z każdym łagodnie bo to był król bardzo uprzejmy i ludzki.

Po skończonem posłuchaniu, został się ze swoimi dworzanami, od których dowiadywał się o stanie przemysłowym miasta, o mieszkańcach, jakie czynią postępy; — nareszcie zapytał się, czy ten żyd poczciwy, co to miał dom naprzeciwko zamku żyje jeszcze? Zaraz domyśleli się, któryby to był, gdyż znano go powszechnie z jego rzetelności i prawości charakteru. Już dawno umarł, odpowiedzieli, ale syn jego jedynak żyje, ożenił się i dobrze się rządzi. — „Kaźcie mu przyjść do mnie“.

Na rozkaz króla natychmiast posłano służbę zamkową do niego, aby nazajutrz o godzinie dziewiątej zrana stawił się przed królem. Na tę wiadomość struchlał gospodarz, nie mógł ani pojąć, ani wytłumaczyć sobie to wezwanie królewskie. Niespokojnością miotany, przechadzał się po świetlicy i nie wiedział, że właśnie wybiła godzina szczęścia dla niego, że tęcza wyszła od zamku i jak wstęga różnobarwna otoczyła dom jego.

Tak to w niepewnych zdarzeniach, wszyscy coś złego przeczuwamy, bo tylko do czasu tu jesteśmy, i każda chwila przyspiesza zgon żywota naszego; dlatego zbliżając się ku rozwiązaniu koniecznemu, na samą myśl przejścia wdrygamy się, a każdy niespodziany wypadek na złe wykladamy sobie.

Dla odwrócenia dręczącej myśli przywiązał gospodarz Tefilim do rąk i czoła, Talid włożył na głowę, aby się modlić Panu i z taką rzewnością wymawiał każde słowo jak nigdy, — potem zaczął Psalm: „Zmiłuj się nademną Panie

według wielkiego miłosierdzia Twego," a po każdym wierszu wołał: Jehowa! Jehowa! zmiłuj się nademną.

Po takim wołaniu uspokoił się nieco, bo modlitwa po-krzepia sprawiedliwego, i udał się na spoczynek. Ale sen nieprzychodził, często zrywał się w nocy, wiązał Teflim do rąk i do czoła i wzywał miłosierdzia Bożego. Noc całą spędził bezsennie. Rano ubrał się w najlepsze szaty, po wierzchu wdział koszulę śmiertelną, na głowę włożył czapkę Hasidymów, jako prawdziwy hussyta. Talit zaś zarzucił na czapkę, a tak przystrojony z największym drzeniem stanął na pokojach królewskich.

Z gabineciku wyszedł król, z największą uprzejmością zbliżył się do niego i wziął go za rękę. — Co niepoznajesz mię? Ja jestem Jaś twój rówiennik.

Żyd spojrział mu w oczy i krzyknął: „Aj waj, Jaś!”

Tak jest, Jaś król odpowiedział, poznałeś go, tylko, że Jaś wyrósł na Jana.

Żyd ukląkł i drzał z trwogi, radości i podziwu. Król podniosłszy go rzekł: „Masz moją łaskę, wypuszczam ci w dzierzawę dobra królewskie; niech cię Bóg błogosławi, i wszystko dobro niech się darzy w domu twoim; idź w pokój.”

Żyd wyleciał jak oparzony i roztrącał tłumy ciekawych którzy wypytywali się, co mu król powiedział, na co nie odzywając się wcale, leciał do domu swego, gdzie go zbijając sercem czekała żona jego. Zaczął się tedy uganiać jak człowiek pozbawiony zmysłów, wyskakiwać i wołać: „Aj waj, Jaś król, a ja jego arendator!” No to chwala Bogu, ale dlaczego się tak szamotać i uganiać, wstrzymywała go tuląc do siebie żona.

Uspokoił się, złożył suknie świętalne i zaczął pisać, rachować, długo bardzo siedział za stołem, potem rozesłał listy na wszystkie strony, a wkrótce wielki ruch zaczął panować w domu jego. Nie tylko żydzi, ale i chrześcianie, szlachta nawet nboższa cisnęła się do niego, aby przez rówiennika pozyskać łaskę królewską. W kilku latach, gdzie był niegdyś domek drewniany, stanęła wspaniała kamienica.

Gmina z gór i lasów królewskich zbudowała sobie okazałą bożnicę. Wszystkie prawie sprawy robiły się przez arendarza, daremnie kupcy lwowscy uciekali się do króla, aby zatamował handel jego, nie to nie pomogło bo rówiennik miał swoje przywileje. Cały dwór królewski otoczony żydami, królowę nawet pomawiano, iż poszła na sposób żydowski izaczęła frymarchyć dostojęnstwy i urzędami krajowemi, a kto wie do jakiego zawikłania jeszcze byłoby to wszystko przyszło, gdyby także nie żyd, który podobno dojechał końca królowi.

Któż to jest ten król, ten rówiennik, i ten żyd, co przyspieszył zgon królowi? Królem tym jest Jan Sobieski, rówiennik jego; Bethsał ze Żółkwi, a Jonas lekarz przyboczny życie jego skrócił.

Powieść niniejsza osnutą jest na ustnem podaniu gminy żydowskiej w Żółkwi. Wszystkie podania ludowe są zajmujące, lecz jak rzadko zgadzają się z prawdą i rzeczywistymi zdarzeniami, niech i niniejsza okoliczność służy za dowód. Półtora wieku dopiero upłynęło od śmierci Sobieskiego, a już baśń ludowa odziała żywot jego w tak dziwną osłonę; — cóż dopiero rzec o królach i bohaterach zamierzchłych wieków? ileż tam rzeczywistej prawdy znajdować się może? Ale tak to zwykle bywa, im wyżej jaka postać stoi, tem w niepewniejszym dla oka ukazuje się widoku. Miałyżby pogromcy Turków, wybawcy tylu ludów, zasłaniającego całe prawie chrześcijaństwo piersią swoją, tak wątpliwe być początki? Te zamki, pałace i domy, jeszcze nierozsypały się w gruzy, w których dziecinne swe lata przepędzał, a miałyżby tak dziwne dzieje wplątać się w całość żywota jego?

Jeżeli były wypadki, że cesarze i królowie przebierali się i w lichej czasem sukmanie chodzili za pługiem, lub służyli gdzie po dworach; to mieli przytem święte zamiary, chcieli oni przekonać się o stanie istotnym ludu swego, pragnęli zgłębić postępowanie wykonawców sprawiedliwości.

Ale w wypadku według niniejszego podania, niema najmniejszego celu, ani prawdopodobieństwa. Wszakże znowu z drugiej strony, każde ludowe podanie, musi mieć jakąś rzeczywistą, choćby i najodleglejszą od istotnej prawdy

podstawę. Nie tajną jest łaska i szczodroblliwość Sobieskiego dla gminy żydowskiej w Żółkwi, równie jak i dla całego miasta; lecz takowe z innych i niedalekich wypływały powodów. Już to samo, że Żółkiew jest rodzinnem miejscem Sobieskich, tłumaczy nam hojność króla dla miasta tego, a zatem i dla gminy żydowskiej. Zresztą, mogły być jeszcze inne, ale pewno nie te, jak je podanie ogłasza, owej królewskiej ku Starozakonnym skłonności przyczyny; — dość tu wspomnieć na żywot Kazimierza Wielkiego.

Tak tedy niejedna bajka z ust do ust przechodząc, staje się z czasem powszechną i zdarza się, iż nawet powagi historycznej nabiera. Niewiem czy zwrócił kto na to uwagę, że lud nasz dużo obcych podań przyswoił sobie. Żadnemu badaczowi przyrody nieprzyszło jeszcze na myśl twierdzić, aby Północ była kiedy siedliskiem olbrzymów, — a przecież lud Naddniestrzański dziwy opowiada o wielkoludach, wskazuje miejsca nawet, gdzie spoczywają kości olbrzymów. Narody, których parł miecz krwawy, lub sroga gnieźła niewola, szukały na tej ziemi przytułku i schronienia; przynosiły one z sobą własne podania, a te wplątały się do podań ludu naszego.

Nie mówię, iżby każde ustne podanie wprost odrzucać, czyniąc to pozbawilibyśmy się poezji ludowej; ale co do historii, trzeba być niezmiernie ostrożnym, gdyż jeżeli pismom nawet niezawsze wierzyć można, tem mniej podaniom ludowym. — 1).

## Błazen.

Było to wtedy, kiedy Adam do Ewy na zaloty chodził, pewny król trzymał błazna, który go rozweselał. Lecz gdy się podstarzał, król go odsunął od siebie i dał mu liche pomieszkanie z małą bardzo pensyjką, która na utrzymanie jego wystarczyć nie mogła. Myśli on tedy, jakiego by jeszcze figla wypłatać, i skłonić króla do poprawienia jego lo-

---

1). To podanie umieszczone było w Dzienniku literackim we Lwowie wychodzącym w roku 1854 Numerze 7. str. 52.

su. Pół dnia strawił nad projektami, nareszcie powiada do swojej żony wiesz ty co, jutro pójdziesz do królowy Jejmości, przez drogę natrzyj sobie cebulą oczy i powiesz, że ja umarł.

Rano idzie ona do królowy Jejmości niby zapłakana, która ją zobaczywszy tak stroskaną wnet zapytała. Jak się masz moja kochana, cóż tam słyhać? Błaźnica kłaniając się nisko, powiada, że się źle ma, gdyż mąż jej o dziesiątej godzinie w nocy życie zakończył. Biednaś ty moja błaźnico zawołała rozczulona królowa i dała jej pięćdziesiąt dukatów, aby miała za co męża pochować.

Przychodzi ona do domu i z tryumfem pokazuje dukaty, które wytumanila od łatwowiernej królowy. To dobrze powiada błażen, teraz ja pójde do króla i powiem żeś ty umarła. Idzie on do króla z miną bardzo żalobliwą i kłania mu się bardzo niziusieńko. Jak się masz kpiarzu, cóż tam uciebie słyhać? Krucho bardzo koło mnie Najjaśniejszy Panie jeszcze do tego moja najdroższa Elżusia dziś rano panu Bogu ducha oddała. Biednyż ty mój błaźnie! zawołał król rozczulony i dał mu dwieście dukatów, żeby się miał czem pocieszyć po stracie swej małżonki.

Biegnie tedy uradowany błażen do domu i woła do żony: widzisz ja lepiej utumań króla, mamy więc 250 dukatów, to schowajmy, a teraz położymy się oboje i udajmy umarłych, gdyż król niezawodnie zechce się przekonać o tem zdarzeniu. Leżą tedy próżniaki na ziemi pod białymi prześcieradłami z twarzami mąką przesypanemi, obok których płonął dymiący kaganek.

Tymczasem w pałacu królewskim wielkie powstało zamieszanie. Królowa powiada, że błażen umarł, a król twierdzi przeciwnie, że błaźnica umarła. Nareszcie postanowili oboje przekonać się naocznie o tym wypadku. Idą tedy oboje do domu błażna i widzą, że w samej rzeczy pomarli; zmówili więc pacierz za ich duszeczki, a król pyta się żony, niewiedzieć które z nich prędzej umarło. Na co odezwał się błażen, ja prędzej umarł miłościwy królu, a moja żona pierwsi umarła. — A wstańcież mi zaraz oboje! zawołał król

; darował im jeszcze dwieście dukatów, aby bez figłów żyć mogli swobodnie.

## Bracia.

W pewnej wsi było dwóch braci: jeden bogacz, a drugi biedny. Bogacz gardził biednym i nie dał mu nawet zarobić u siebie. Biednego rozpacz ogarnęła do tego stopnia, iż chciał porzucić rodzinną wioskę i pójść do innej wsi w celu wynalezienia jakiego zarobku dla siebie. Ale nim się do tej podróży wybrał, jeszcze chciał pożegnać swego poczciwego dziedzica, któremu wszakże nie miał co podarować, gdyż tylko miał jednego koguta. Niesie on tedy ostatniego koguta i oświadcza panu, że pójdzie między ludzi, aby życie utrzymać.

Pan rozrzewniony tym widokiem, kazał mu odnieść koguta do kuchni, i żeby sam za dwie godzin przyszedł do niego. — Kucharz sprawił koguta i piecze na rożnie. Tymczasem chłopek nadbiegł i patrzy jak lokaj się uwijał z talerzami, a wzięwszy upieczonego całego koguta, kazał iść za sobą chłopowi do pokoju. Pan sadza chłopca do stołu i każe mu dzielić koguta na siedm osób. Chłop myśli sobie jak tu ich obdzielić jednym kogutem, nareszcie biorąc się na figle wziął nóż, a odkroiwszy głowę położył dziedzicowi na talerz mówiąc: hołowa, hołowi, potem odciął szyjkę i położył na talerz dziedziczki mówiąc: szyja pry hołowi maje buty. Potem odciął skrzydelka i położył na talerz córek mówiąc: skryła pannam szczoby krasneńko litały. Potem odciął nogi i położył na talerze synów mówiąc: panyczam nohy, szczyby krepko bihały, a jołubeszeze zjst tołubyszeze i poczał prawie całego koguta smacznie zajadać.

Podobała się obrotność chłopca panu, który mu dał tyle pieniędzy, że mógł dobre rozpocząć gospodarstwo, ku czemu też zapobiegliwość jego mocno się przyczyniła. Wkrótce nawet zamożność do chaty jego zawitała i ściągnęła tycaliwość brata jego bogacza, któremu nie mogło się to w głowie pomieścić, jakim sposobem brat jego do takiego przy-

szedł majątku. Po wielu nagabywaniach przyznał się brat uboższy, że ofiarowaniem koguta zjednał sobie łaskę u Pana. Idzie bogacz do domu i powiada żonie swojej, która namawia go, żeby zaniósł panu pięć kogutów, to będzie jeszcze bogatszym od brata swego.

Usluchawszy rady babskiej niesie on pięć kogutów do pana, który zmiarkowawszy jego przebiegłość, kazał jak pierwiej upiec te koguty, a skoro były upieczone kazał mu dzielić na siedm równych części, czego on uczynić nie mógł. Zawołano tedy jego brata, który wzięwszy dwa talerze położył na nich jednego koguta mówiąc: Boh w Trojci prybuwaje i postawił przed pana i żonę jego. Podobnie dał jednego koguta córkom i synom. Nareszcie przed siebie stawiając dwa koguty powiada: „Boh w Trojci prybuwaje“.

Znowu podobał się panu ten podział, i pieniądze dostały się uboższemu, a bogacz z puszczoneym nosem wołał „propały kohuty„!

## Burda.

Hrabia Hołobocki miał syna marnotrawnego, który za młodu nic nie robił, jeno w karty grał, pił i włóczył się po szynkach. Ojciec niemogąc sobie z nim inaczej poradzić, oddał go do wojska. Lecz i tam się źle sprawował, wszystko z siebie pozostawiał i przepił. Za te przestępstwa kilka razy karany, gdy żadnej nieobiecował poprawy, wypędzony został z wojska.

Otrzymaawszy dimisję, niewiedział co z sobą zrobić i z czego utrzymać dalsze swe życie. — Poszedł do swoich kolegów, aby mu poradzili czego się chwycić miał. A oni mu powiedzieli, żeby został oszustem, czyli po prostu powiedziawszy szachrajem, żeby napisał do rodziców swoich donosząc im o swojej promocyi w wojsku. Napisał on, że został kapralem, a rodzice posłali mu cokolwiek pieniędzy, które z podobnemi sobie urwytkami przetracił. Pisze on znowu, że już został feldwajblem, rodzice znowu posłali guldeny, on i to przehulał. Pisze po raz trzeci, że został oficerem rodzice z radości posłali mu dużo pieniędzy, żeby stosownie



do swego pochodzenia uporządkował swoją garderobę. Miał tedy za co hulać przez cały rok Boży. Lecz i to się wyczerpało; pisze on, że został kapitanem i potrzebuje nowych zasilków pieniężnych. — Jakoś te prędkie awanse obudziły podejrzliwość rodziców. Ej czy też on nas nieoszukuje, pojedźmy do niego dla przekonania, czy to wszystko prawda, co on nam pisze o swoim szczęściu i dobrem zachowaniu się w powołaniu tak ostrem, a wymagającym zaparcia siebie samego.

Jadą oni tedy, a stanąwszy w tem mieście z którego synalek listy wypisywał, pytają się kto tu kapitanem? Na co otrzymali zatrważającą odpowiedź, że jakiś staruszek zajmuje to miejsce. Bardzo zmartwieni udali się do zajezdnego domu i z okna spostrzegli swego syna zapitego, zasmarowanego i obdartego. Ręce tylko załamali na ten smutny widok, ale się do niego przynąć niechcieli i precz odjechali.

Od wszystkich prawie opuszczony zapamiętały Burda włóczył się przez długi czas po mieście jako strasznydziole przerażające dla każdego porządnego człowieka. Nareszcie przypadkowo wlaź do traktjerni, gdzie zastał dwoje ludzi młodych zmagających się po francuzku. Mężczyzna pytał się gdzie pani mieszka? — A ona mu powiedziała że na szerokiej ulicy pod 25. liczbą domu, na pierwszym piętrze. On powiada, ja przyjdę do pani dzisiaj o godzinie dziesiątej wieczór. A ona zezwoliła na to i rozeszli się. Burda rozumiejąc dokładnie język francuzki myśli sobie, czy nieudałaby mi się też sztuka zostać mężem tej pani, wyprzedzę ja tego panicza, wszak fortuna śmiałkom sprzyja.

Jak pomyślał, tak też zrobił. O dwie godzin wpród poszedł do tej kamienicy i zapukał do drzwi. Panna sądząc, że to ten sam z którym się zmagiała, puściła go do pokoju i świecy nawet nie zaświeciła, gdyż w pociemku daleko przyjemniej szła pogadanka. — Burda pali jej francuzkie miłośne szmermele, a ona rada słucha. Nareszcie przychodzi tamten umówiony i puka do drzwi. Ona się zmieszała bardzo, ale Burda nietracąc fantazyi powiada: może to ten obdartus przychodzi, co był w traktjerni, ale ja go poczęstuję i drzwi

otworzył i wylał mu cały ceber pomoy na głowę. Oblany Adonis wyleciał jak oparzony narzekając na cały ród niewieści. Burda zaś zamknawszy drzwi, dalej wysłał strzeliste afekta do nieznannej panny. — Całą noc przegawędzili najuprzejmiej. Ale rano postrzegłszy obok siebie takiego oczajduszę przestraszona panna zawołała: co ty robisz? zkąd przypytałeś się do mnie? Burda niewiele myśląc, padł jej do nóg, szczerze wyznał, że się synem hrabiego urodził, że przez karty przyszedł do takiej nędzy. — Zlitowawszy się nad nim, dała mu dosyć pieniędzy, żeby natychmiast przebrał się i przyszedł oświadczyć się jej ojcu. Usłuchał on tej rady, poszedł do miasta, umył się, wyperfumował się, wystroił się, podpił cokolwiek na fantazję i udał się do ojca w celu pozyskania ręki panny nieznannej. Wyśmienicie udała się swadźba, huczne były zaręczyny, a po nich daleko huczniejsze nastąpiło wesele. — Postrzegł on po niewczasie że się dostał w dobre ręce, że mu nie pozwalano brykać, że jego żona nienależała do rodzaju kobiet, których słabemi nazywają, że namacalnie nawet dawała mu dowody swej siły. Kręcił się tedy jak piskorz w rękach złapany, któremu ani lyknać, ani też w karteczki zaglądnąć nie pozwolono. Rad nie rad tańczyć musiał tak, jak mu jego Jejmość zagrała.

Wszelako dobrze wyćwiczony w szkole szachrajstwa, wyczekiwał chwili, w którejby mógł urzeczywistnić swe zamiary. Jakoż postrzegł nadzwyczajnie dobry humor swej Jejmości. Nuż tedy koło niej skakać. Moja lubciu! moje złoto, mój djamencie, królowo moja! pozwólże mi serce wyjechać na kilka dni do moich rodziców, których dawno już niewidziałem. A jak to każdy człowiek czy mężczyzna, czy kobieta, ma swoje chwile w których mięknie; tak też i jego czcigodna połowica zmięknęła i wyprawiała go bardzo szumno do rodziców. Dała mu kocz, cztery konie, lokaja, furmana w kosztownych liberjach i dużo pieniędzy na drogę. — Jedzie on tedy bundziuczno do domu i na noc zajechał do karczmy, w której po pańsku się rozłożył, a nakarmiwszy siebie i sługi swoje, udał się z nudów do świetlicy karczemnej. Tam zastał żyda porządnie ubranego, który przechadzał się po świetlicy trzy-

mając karty pod pachą. Wnet obudziła się w nim tlejąca namiętność, obces przyskoczył do żyda wołając: Czy nieumiesz ty grać w karty? Czemu nie odpowiedział usłużny Izraelita i zasiedli oba za stół. Z początku żyd przegrywał. Ale gdy się rozpalil Hrabia Burda, tak wszystko przegrał: pieniądze, konie, kocz, służba i odzienie przeszło do żyda, on tylko został w koszuli i w niewypowiedzianem dolnem ubraniu. — Coż tu teraz robić? bosz niebyło po co wracać do żony, gdyż wiedział, że lubo wszyscy bają, że kobieta słabszem jest stworzeniem, że mu tego płazem nie puści, bał się tedy jak ognia tej słabości kobiecej. Wyniósł się więc cichaczem z karczmy udając się prosto do matki w tej nadziei, że biedna matka ulituje się nad nędzą syna swego. Jakoż wieczorem stanął w domu rodziców i wcisnął się do kuchni. A gdy matka jego weszła, upadł jej do nóg i z płaczem wyznawał swe przewinienia. Biedna matka rozplakała się nad niedolą dziecka swego i poszła do ojca z oznajmieniem powrotu syna. Ale ojciec niechciał nawet słyszeć o nim. Lecz matka ublażała go, że pozwolił mu stanąć u siebie za pastucha. Past tedy Burda kozy codziennie, a z nudoty wyuczył ich stawać rzędem i pozdrawiać przechodzących. Skoro jaki pan nadjechał; to on krzyknął na swoje kozy haptacht! a kozy rzędem powstawały i łapki do góry podnosiły. Za co też dostawał od panów po kilka groszy.

Tymczasem żona czeka na niego, a niemogąc się doczekać, prosi ojca, żeby jej pozwolił odjechać do rodziców męża. Ojciec zezwala na wydalenie się córki, która wyjeżdżając przebrała się po mężku i do tej samej karczmy na noc zajechała, w której męża jej spotkało takie nieszczęście. — Zaraz poznała swego lokaja, który tam usługiwał i zawołała go po imieniu. — Co ty tu robisz? Lokaj poznał po mowie swojej gospodynię i wyznał wszystko co się z panem stało. — Ona mu nakazała, żeby nie mówił i weszła do świetlicy, gdzie żyd porządnie ubrany przechadzał się z kartami pod pachą. Czy umiesz ty żydzie grać w karty? zapytała go na samym wstępie. Czemu nie, i zasiedli oboje do kart. Jak zaczęli grać, tak żyd przegrał du-

to pieniędzy i to wszystko, co od jej męża wygrał. — Na jutro zebrała ona swoją zdobycz i jedzie do tego miasta w którym byli rodzice jej męża. Zdaleka gdy postrzegł Burda karetę jadącą, krzyknął haptacht! a kozy rzędem powstawały i łapki do góry podniosły. Ona zatrzymała się i gdy się zbliżał Burda do karety, poznała go natychmiast, ale mu nie mówiła, jeno rzuciła mu kilka groszy do podartego kapelusza i dalej pojechała.

Przybywszy do dworu rodziców uprosiła sobie tymczasowe pomieszkanie w oficynach. Skoro się tylko urządziła, kazała dać wannę i nanosić wody na kąpiel. Najchętniej nosił wodę pastuch kozi spodziewając się dobrej zapłaty. Gdy już kąpiel była gotowa, ona zamknęła drzwi, zapaliła świecę i przystąpiła do pastucha mówiąc: Poznajesz mię? A on ze strachu konewki z rąk wypuścił. Zaraz mi się kładź. Położył się sierota cóż miał robić, a ona jak mu sypnie po cesarsku dwadzieścia pięć paliczek, tak poczuł, że żona jego wcale nienależy do istot słabych. Teraz dalej do wanny, włożył on do wanny wykąpał się, przebrał się i przysiągł, że więcej kart do rąk nie weźmie. Nazajutrz poprowadziła go do pokoju rodziców, gdzie się im za synową przedstawiła i była wielka radość w domu i szczęście zawitało w stadle małżeńskim, gdyż Burda dotrzymał słowa i niegrał całe życie w karty.

## Cebula.

Święty Piotr prosił pana Boga, żeby się ulitował nad jego matką i kazał ją wypuścić z piekła. Ależ twoja matka nie robiła dobrego na świecie. Jest tu w prawdzie jedna cebulka, którą niegdyś ubogiemu dała, probuj, jeżeli tą cebulką wyciągniesz z piekła, to niech będzie w niebie. Uradowany Piotr wziął cebulę i woła na matkę: „Uchwyć się cebuli“. Matka uchwyciła się cebuli, ale drugie duszeczki widząc to, poczęły czepiać się za nogi, ażeby i one doznały wybawienia. Lecz niedobra baba, jak zaczęła krzyżeć: to mój syn, to moja cebulka i nogami fikać na wszystkie strony, urwała cebulę i wpadła jeszcze głębiej w piekło, a święty Piotr z ogonkiem cebuli powrócił smutny do nieba.

## Chłop.

Niewiasta skarżyła się przed drugą, że ma złego męża i wiele niegodziwości od niego ponosić musi, przyczem też radziła się, czy ma dać na mszę do świętego Antoniego. Głupia! odezwiała się na to kuma, nie dawaj do świętego Antoniego, chłop za chłopem będzie ciągnął, ale daj do Matki Najświętszej.

## Chłopiec.

Był chłopiec mający wielkie upodobanie w urywaniu główek ptasich. Postrzegli tę robotę starsi i poczęli mówić, że z tego chłopca będzie wielki tyran, kiedy tak obojętnie patrzeć może na tę zabawkę, musi mieć okrutne serce, będzie więc z czasem rozbójnikiem. Rada w radę zebrali się i ułożyli, żeby chłopcu głowę uciąć. Każdy z sędziów darował chłopcu po dwa i trzy lata, póki się niezebrała liczba lat dwudziestu i ucięli mu głowę.

## Chłopy.

Czytał ksiądz Ewangelie: Abraham zrodził Izaka, a Izak zrodził Jakóba i t. d. Sąsiad trącał drugiego mówiąc: ej też to czasy były, kiedy chłop, chłopca rodził. Cicho siedź, powiada zagabany, bo jak usłyszą baby, to każą nam dzieci rodzić.

## Chrystus.

Powiadają, że razu pewnego odbyła się wielka rada w królestwie niebieskiem, jakich by użyć środków do powstrzymania zbrodni między ludźmi. Stanęło tedy na tem, żeby Chrystus znowu szedł na ziemię w celu poprawienia obłąkanych. Ale Chrystus padłszy na kolana zawołał: Tatku Dobrodzieju zmiłuj się i uwolnij mię od tego poselstwa, gdyż chrześcianie gorsi od żydów, oni by mię żywcem spiekli.

## Ciemny.

Gospodyni młoda miała wprawdzie dobrego męża, ale młody parobczak, który ciągle koło niej kręcił się, bardziej się jej był podobał od męża. Myślała ona długo nad tem, jakby tę miłość ukryć przed mężem, który byłby wcale nieubłaganym, gdyby się dowiedział o niegodziwych postępkach swej żony. Idzie tedy do wróżki i radzi się, coby mężowi zrobić, żeby nieznał, albo nie widział tej występnej miłości? Wróżka powiada, żeby się udała do cudownego ojca Mikołaja, który się zjawił w pewnym lesie. Tymczasem pokryjomu powiedziała to wszystko mężowi wróżka. Mąż tedy przebiera się za dziada z długą brodą i lezie na drzewo. Zaledwie stanął na drzewie, przychodzi żona, pada na kolana i woła: „Światy otcze Mykołaju zmyluj się zrobij szczoby mij czolowik buw temny“.

Nawary powiada przebrany Mikołaj, bohato perohiw, omasty mnoho, upeczy sołonynu, kowbasu, ta daj jemu czerz try dny jsty, to win butle temny. — Uradowana baba przyszła do domu, robi pierogi, gotuje i cieszy się z tej przepowiedni. Tymczasem mąż wyciął sobie w lesie tęgą palicę i przyszedł niby z pola. Żona koło niego poczęła dreptać, dogadywać mu, nareszcie zastawia pierogi sownie okraszzone; mąż zjada smacznie, jednego, drugiego dnia, nakoniec trzeciego dnia powiada do żony: „ja szczoś ne wedžu“. Żona w lament niby, „poczęła zawodzić.“ A szczo ja bidna hołowonko budu robyty“? i wysadziła męża na piec. — Mąż siedzi, aż tu przychodzi chabal do żony, cieszy się, szepcze do niej, umizga się, mąż uważa, co tu dalej będzie? jako skromnie obeszło się jednego dnia, drugiego także, ale trzeciego dnia nie było już końca tym umizgom, nareszcie kładą się oboje do łóżka, mąż tedy do swojej palicy, złazi z pieca, a stanąwszy nad nimi zawołał: „Czy ty panyczu gospodar do mojej žinki, czy ja“? Kusa rada była koło gacha, nic nie mówił sierota na takie dictum acerbum. Jak zacznie niby ślepy okładać go kijem, nie omijając wszakże swojej żony, dwa razy gacha, raz żonę. Piszczaą tedy oboje, wrzeszczaą

i przeklinają świętego Mikołaja wraz z wszystkimi świętymi. Nabił się ich tedy do woli i wypędził na zawsze niegodziwe romanse z głowy.

## Córka.

Miał włościanin córkę bardzo ładną i mądrą, była mu nietylko pociechą jedyną w smutku i utrapieniu; ale i cała gromada często u niej rady zasięgała. Raz przyszło coś do głowy panu dziedzicowi, zwołał gromadę i powiada: „Aby mi z tego kamienia, co stoi przed dworem skórę ściągnąć“. Gromada w niemem osłupieniu nie mówiąc, spoglądała tylko na pana, czy panu broń Boże nieprzewróciło się w głowie. Ale pan nie żartując, jeszcze raz zawołał: Jutro rano, aby mi była skóra z tego kamienia, bo inaczej straszne baty, a teraz fora ze dwora. Pokłoniła się gromada i radzi, co tu z tem robić? Jakoś nie szła im mowa w skład, brakło wszystkim konceptu, nareszcie postanowili zapytać się swojej znachorki, która już nieraz zdrową radę podała. Powiadają jej, że pan kazał im zdjąć skórę z kamienia. Powiedźcież panu, żeby on swoim scyzorykiem zaczął, to wy dalej już sami ściągniecie.

Podobała się rada dziewczicy. Idą tedy rano do dworu, a pan wyszedłszy zawołał: „a co jest skóra“? Zaraz będzie odpowiada kłaniając się gromada, niech no Pan nasz miłościwy swoją delikatną ręką i scyzorykiem tylko zacznie, to my dobędziemy nożów naszych i sami już dalej ściągniemy skórę z kamienia.

Oho! a gdzie wy takiego rozumu nabyli, kto to was tak nauczył zapytał pan zdziwiony.

Gromada wskazała na włościanina, którego córka tak im doradziła.

Jeżeli twoja córka taka mądra, niechże jutro do mnie przyjedzie i nieprzyjedzie, ubrana i nieubrana, niech mi przyniesie prezent i nieprezent, a jeżeli tego niedokaże, to ty baty dostaniesz, a córka różgami wezmie, ja was nauczę mieć więcej rozumu od pana waszego.

Idzie chłop do domu bardzo smutny. Córka pyta co wam takiego ojciec? Z ciężką biędą wygadał się ojciec o co rzecz idzie. To bagatela, uspokojcie się ojcie, ja się dobrze sprawię.

Nazajutrz prowadzi ojciec córkę, która siedząc na kozie, niby jechała i niejechała, wzięła na siebie siatkę, była więc ubrana i nieubrana, a z rąk wypuściła wróbla, przyniosła prezent i nieprezent.

Podobała się panu nadobna poddanka, ożenił się z nią i był ojcem swych poddanych.

## Cygan.

Był niedźwiedź srogi, u którego nikt nie mógł służyć, bo wszystkich zabijał. Cygan filut odważył się do niego iść na służbę, wzięwszy kawał soli i séra świeżego, w którym była jeszcze serwatka. Przychodzi do niedźwiedzia mówiąc: „Ja budu u tebe towar pasty“. Niedźwiedź do niego, by się z nim borykać, ale cygan nie głupi z niedźwiedziem borykać się powiada: w pered musysz strybowaty, czy ty taki duży, jak ja. I wzięł sól niby kamień i rozduził na piasek, a potem wzięł sér i zdusił aż woda pociekła. A nu ty bere kamiń, czy zdusysz na poroch i czy woda z neho potecze? Niedźwiedź dusi kamienie, ale kamienie kamieniami, w proch się nieobracają i woda z nich nie ciecze. Niedźwiedź tedy ulega przemocy cygańskiej i przyjmuje go na służbę.

Cygan pasie bydło, a skoro przypędził bydło do domu, niedźwiedź kazał mu przynieść drzewo z lasu, ale Cyganowi niechciało się dzwigać drzewa, poszedł tedy i kręci wółek, czyli powróż. Niedźwiedziowi sprzykrzyło się czekać na drzewo, idzie do Cygana. A ty szczo robysz? Ja choezu ciły lis zwiezaty i zanesty do chaty, szczo maju po odnomu nosyty. Niedźwiedź się przeląkł, sam wyrwał kilka kawałków i niesie, aby Cygan niezawalił mu chałupy lasem. Idą tedy do domu, rozpalili ogień, nareszcie zabrakło wody. Posła niedźwiedź cygana; idy pryneszy wodyci. Cygan idzie, lecz znowu niechce mu się nosić wody, kopie więc koło stu-



dni. Ale niedźwiedź niemogąc się doczekać, idzie sam do Cygana. A szczo ty robysz? Ja choczu cilu kiernyciu z wodycią zabraty do chaty. Myni ne treba tolko wody, odparł niedźwiedź i nabrał w konewkę wody i idzie do domu, aby jeść zgotować.

Tak było codziennie, Cygan zawsze się wykręcił od każdej roboty i udawał zawsze wielkiego zucha. Nareszcie przyrzekł, niedźwiedzia zaprowadzić do swego ogrodu na jagody. Powiódł go do lasu i powiada, że to jego ogród, a tam były gruszki. Niedźwiedziowi zachciało się gruszek. Każe mu liść na drzewo i trząść. Jedzą tedy gruszki, dalej idą nadybują czereśnie. Niedźwiedź nagiął gałąź, jedzą oba czereśnie, nareszcie puszcza niedźwiedź gałąź, a cygan poleciał do góry z gałęzią i upadł na zdechłego zająca. Nuż go tedy dusić. Niedźwiedź widząc to, powiada: „Szczo ty robysz? Ja uzdriw zajacia, taj pereskoczywem derewo, szczo by zajacia złowyty.

Niedźwiedź myśli, że cygan cały djabeł, daje mu pieniądze za służbę, ale Cygan nie chce tego nieść, bo by był niendźwignął i każe niedźwiedziowi, żeby mu zaniósł te pieniądze do domu. — Niedźwiedź aby się pozbyć cygana nie sie pieniądze, ale co dmuchnie, to cygan naprzód polecie, co wciągnie powietrze do siebie, to cygan ku niemu poskoczy zwyczajnie ze słabości. A ty szczo takoho robysz? zawołał nań niedźwiedź. Cygan niechcąc się z tem wydać, że wiatr nim rzuca, powiada: to ja sia tak tiszu, szczo ty myni hroszi nesesz. Przyniósł niedźwiedź pieniądze, a powracając zdybał lisicę, ktróra zaczęła mu gadać, że cygan go oszukał, że jest słaby, że szkoda pieniędzy. Pomiarkował się niedźwiedź i wraca po pieniądze z lisicą. Widdaj mini hroszi cyhane! zawołał w chacie. Cygan namawia żonę, żeby worek szkła rzuciła z góry do sieni, a tym czasem zabawiał niedźwiedzia, żeby poczekał, aż jego żona nadejdzie. Brzdęk! pada szkło z hałasem. A to szczo takoho? zawołał niedźwiedź zdziwiony. To moja żinka wstała, powiada cygan. Niedźwiedź myślać, że żona gorsza od cygana, począł uciekać i zawalił pół chałupy, a lisica za nim w nogi uczepiwszy się ogona

niedźwiedzia, którą on łapami palnawszy zabił. Nareszcie patrzy, a lisica leży i biegnie do niej mówiąc: A wydysz jak wyszkiryłaś zuby, a jakbyś cyhana uzdrila, to byś taki zdochła.

## Cygany.

Spowiadał się cygan, ale tak dwuznacznie, że niegodziwe jego postęпки raczej pochwałę, niżeli naganę zasługiwały. Między innymi przytoczył i to: Raz dywiu sia, a swynia lizy w kapustu, a ja swyniu palycią, taj wihnow z kapusty. „Dobres zrobyw synu“, powiada ksiądz i po rozgrzeszeniu zakomunikował go. Po służbie bożej przychodzi ksiądz głodny do domu, żona daje mu jałową kapustę. Ksiądz zjada i przemawia żonie, dla czego przynajmniej szpérką nieokrasila kapusty. Zona skarży, że zlagodziła całą kielbasę i spory kawał słoniny, ale zapewne ten cygan ukradł, gdyż prócz niego nikt nie był w kuchni. Przypomniał sobie zaraz ksiądz grzechy cygańskie, że nawet pochwalil go za to, nie tedy nie mówił, jeno wyczekiwał sposobności odplacenia się oszustowi. — W rok przychodzi ten sam cygan z dziećmi do spowiedzi i prawi księdzu niestworzone rzeczy. Ksiądz niby dał mu rozgrzeszenie i dzieciom jego, sam zaś poszedł do zakrystyi, nakrajał feferonów, czyli perciuhy, pieprzu, czosnyku, chrzaniu, a zmieszawszy to wszystko ze spirytusem, sporą łyżkę dał zażyć cyganowi zamiast komunii, któremu aż lzy stanęły w oczach, ale widząc, że ksiądz zabiera się udzielać tej komunii i dzieciom jego, zawolał: Dobrodiju bijte sia Boha, pomensze dawajte ditam, bo sia powstikajut.

## Cyrograf.

Młody królewicz opuszcza ojca, by doświadczyć różnych przygód w świecie. Przychodzi do pewnego miasta i wstępnie do karczmy by cokolwiek odpocząć i pyta się gospodarza, co tu słyhać? Gospodarz opowiada mu, że królowna młoda zapisała się djabłu, że chodząc z djablem co

nocy 24 par trzewików zdziera. Król stroskany niedolą swej córki wydał wyrok, jeżeli ją kto wysledzi, czy to pan, czy żebrak, młody, czy stary, to będzie jego żoną, a jeżeli nie wysledzi, to będzie stracony.

Podobała się awantura królewiczowi i myśli sobie, jakimby sposobem onę wysledzić. Idzie tedy do pałacu i znajduje worek zawiązany. Otwiera on ten worek, a wewnątrz; był płaszcz, laska i karteczka z napisem: Jeżeli płaszcz wezmiesz na siebie, to będziesz niewidzialnym, jeżeli zaś na laskę, jak na konia siądniesz i świeńiesz; to za jedną godzinę dwieście mil ujedziesz. Wziął on płaszcz do tłumoczek, laskę do ręki i przychodzi do pałacu, gdzie odzwiernemu oświadczył swoją gotowość wysledzenia królowny. Odzwierny doniósł to królowi, który zawoławszy go do siebie zapytał, czy słyszał o postanowieniu królewskim, i czy w samej rzeczy dopilnuje królowny. Powiedział mu, że o wszystkim dobrze jest uwiadomiony, że najwierniej wszystkiego dopełni.

Nad wieczorem kazał się wprowadzić do tego pokoju, w którym królowna spała, płaszcz swój rozcielił i laskę położył koło siebie, sam zaś położywszy się na płaszczu cicho leżał. Uderzyła jedynasta godzina, powstał wielki wiatr i coś zapukało trzy razy do okna. Zerwała się z łóżka królowna, zaświeciła świecę, otworzyła okno i związawszy 24 par trzewików w chustkę, dała djabłu trzymać, sama zaś zaczęła się ubierać. Gdy się już zebrała, wzięła ją djabeł za rękę i poszli sobie w powietrzu. Zerwał się też królewicz, okrył się płaszczem, siadł na laskę, a świsnąwszy trzy razy pognał za nimi. Przyszli oni do jednego lasu, gdzie same złote drzewa były, i stół zakryty czysto, na którym były różne potrawy i dwie butelek wina. Oni sobie posiadali, jedli i pili, resztę zaś zostawiwszy na potem, poszli na spacer. Królewicz zaraz zjadł i wypił wszystko, i wylazł na drzewo, z którego ulamał na znak złotą gałązkę. — Wracają oni ze spaceru i znachodzą wszystko zjedzone i wypite. Królowna bardzo się przejęła, i narzekała mocno, że ich ktoś śledzi. Djabeł jak szalony uganiał się po całym lesie, a nie

nieznalazłszy, powiada do królowny: niebój się niema tu nikogo. Wszelako przenieśli się do innego lasu, gdzie był stół podobnież jadłem i napojem zastawiony, oni cokolwiek jedli i pili, resztę na potem zostawiwszy, udał się na przechadzkę. Królewicz za nimi pognał i znowu wszystko zjadłszy i wypiwszy wylazł na drzewo, z którego urwał na znak kilka złotych jabłek i gruszek. Oni przechodzą ze spaceru i zastają pustki na stoliku. Królowna zaczęła bardzo narzekać, a djabeł jak wściekły latał po całym lesie i przyszedł bardzo zmęczony. Radzi jej, żeby poszła na otwarte pole. Poszli oni na piękną łąkę, u stóp której czysta rzeka płynęła, tam był stół zastawiony różnemi potrawami, przy których było też parę butelek wina tokajskiego. — Jedli i pili cokolwiek i poszli się kąpać. A tym czasem królewicz władał za nimi pospieszwszy, wszystko zjadł i wypił, co było na stole, sam zaś okrywszy się płaszczem położył się na murawę i odpoczywał. Po kąpieli, przychodzą oni do stolika, gdzie znowu pustki zastali. Królowna bardzo się zgryzła i zmęczyła i trzewików już jej nie stało. Zabrał podarte trzewiki djabeł do chustki i wraca z królowną do domu. Królewicz otulił się płaszczem, siadł na łaskę i pędzi za nimi. Ale myśli sobie trzeba ich wyprzedzić. Jak pomyślał tak też z robił. Pojechał tedy naprzód i położył się na swym miejscu. Przyszli oni także, djabeł wysypał podarte trzewiki pod okno, pożegnał się z królowną i poleciał swoją drogą, a królowna zmęczona spać się położyła.

Rano przychodzi król do królewicza, lecz gdy go spiącego zastał, nic nie mówił, jeno rozkazał lokajowi skoro on wstanie, żeby przyszedł do niego. Przychodzi on do króla i pokazuje mu złotą gałązkę, złote jabłka i gruszki które ztamtąd wyniósł, gdzie królowna z djabłem przebywała. Schowaj to wszystko i czekaj aż do obiadu powiada król do niego. A tym czasem zwołał wszystkich swoich ministrów i innych gości zaprosił do stołu. Gdy wszyscy już około stołu zasiedli, król pyta przybysza, a co wyśledziłeś? Królewicz zaczyna opowiadać od początku jak było, a królowna bardzo się zczzerwieniała, i zerwała się z krzesła wołając: gdzie, gdzie,

jakim sposobem? On pokazuje jej złotą gałązkę, nie jest że to z pierwszego lasu, gdzieście jedli i pili, he? niezjadłem i niewypilem wam wszystko, he? a te jabłka i gruszki, nie z drugiego lasu he? nie kąpaliście się razem w rzęce he? Królowna bardzo się zawstydzila, a król odzywa się do niego: „Jeżeliś ją wyszedził, masz tedy za żonę, zrób sobie z nią co ci się podoba, a po mojej śmierci będziesz na mojem miejscu panował.

Królewicz rzucił się królowi do nóg i podziękował mu za tę łaskę, ale i królownie wpadł on w oko; przeto po skończonym obiedzie zawołała go do swego pokoju i prosiła by jej poradził, co z tym djabełem dalej miała począć. On cieszy królownę mówiąc: Nie turbuj się, ja go ztąd wykurzę, pójdzie on jak nie pyszny od ciebie. — Wieczorem kazał dużo świec przynieść i wody święconej z kościoła. Popapalał te świece, i w każdym kąciku jedną postawił, królownę przekrył białym prześcieradłem na łożku, sam zaś siadł sobie na krzesło i czytał psalmy nabożne. Uderzyła dziesiąta godzina, przychodzi djabeł i puka do okna, on mu otworzył i zamknął zaraz. Jak zacznie go kropić święconą wodą, tak djabeł kręci się i prosi, żeby go wypuścił. Oddaj łotrze cyrograf, bo cię na wagiel spalę ty szachraju stary. Właśnie miał on przy sobie cyrograf, gdyż tego dnia miał już wziąć królownę do piekła. Rzucił tedy cyrograf i jak nie pyszny wyniósł się z pałacu królewskiego. Rano poszedł on z królowną do kościoła wziął ślub, i żył bardzo szczęśliwie, a po śmierci króla, objął rządy królestwa całego.

## Czarnoksiężtwo.

Powiadają, że dawniej była kasta osobna ludzi, która kunszta i nauki ukrywała pod wielką tajemnicą, że ktokolwiek przyszał do tej kasty, przepadał zupełnie dla ludzkości. — Ażeby zaś nikt nie wyjawiał tej nauki i nie uciekł z tego zgromadzenia, mieli każdego portret wierzytelny, za każdym zprzeniewierzeniem się strzelano w portret, a kula musiała trafić winowajcę, chociażby był niewiedzieć jak da-

leko. Razu pewnego uciekł jeden z czarnoksiężników a domyślając się, że już spostrzegli się za nim, wlaź w wodę. Lecz zaledwie dał nurka, kula po nad głowę jego przeleciała. Wylazł wnet z wody, gdyż wolny już był od prześladowania. — Wiele rzeczy cudownych prawie pokazywał. Kupiec jeden ztęskniony mocno, przybył do niego i oświadczył mu pragnienie swe widzenia żony, od której sto mil był oddalony. — Kazał mu przyjść po południu. W samej istocie pokazał mu w drugim pokoju spiącą żonę jego. Kupiec z wielkiej radości biegnie do niej, lecz czarnoksiężnik wstrzymał go i dozwolił tylko pierścien zdjąć z palca spiącej żony. — Przyjechał do domu kupiec i opowiada żonie całe zdarzenie. Ona zastawia się domownikami, że ciągle w domu siedziała. Na dowód pokazuje jej pierścień, o którym sądziła, że go przypadkiem gdzie zgubiła, gdyż był cokolwiek przestronny na jej palec.

## Dészcz.

Dla czego podczas marszu żołnierzy prawie zawsze dészcz pada podają następującą przyczynę. Gdy jeszcze pan Jezus był na świecie, przyszedł razu pewnego do karczmy z świętym Piotrem i uprosił sobie kącik za piecem. Ledwie się oba położyli, nadeszli swywolni żołnierze domagając się napoju różnego, a gdy sobie podpili, przysła im myśl niepoczciwa do głowy bić dziadów za piecem leżących. Wicie bracia powiada jeden, bijmy najprzód tego tu z kraju pokazując na Piotra. Nuż tedy grzmocić Piotra. — Piotr płacze, przeklina wszystko na czem świat stoi, a oni biją, narzecie dla wytchnienia wzięli się znowu do kieliszka. Podczas tego, mówi Piotr do Chrystusa: „Panie idź ty na moje miejsce, bo ci niegodziwcy gotowi znowu mię bić“. Zaledwie przemienili miejsce, żołnierze zawołali, chodźmy bić dziadów, a przyszedłszy do pieca i wskazując na Chrystusa; powiadają tego biliśmy już, ale tego jeszcześmy nie bili wskazując na Piotra. Biją tedy Piotra powtórnie. Piotr krzyczy jak dusza w czyściu, lecz to nic nie pomaga, oni biją. Pomęczyli się prze-

cięż biciem i zasiedli do stołu i posnęli. Zrana prosi Piotr Chrystusa, żeby ukarał sprośne żołnierstwo. Na co mu Chrystus odpowiedział: Zaprawdę, zaprawdę powiadam ci Piotrze, ile razy żołnierze maszerować będą, tyle też razy dżdżyc na nich padać będzie.

## Diabeł.

Lucyfer wysłał diabłów pewnego razu w celu szkolenia ludziom. Po tej misji wrócili do piekła i każdy musiał się sprawić z tego, cokolwiek złego uczynił na świecie. Jeden mówił: ja dęby z korzeniami powyrywał, drugi, że mosty burzył, trzeci, że stawy zrywał, inny, że kąkolu nasiał między zboża, nareszcie najmłodszy powiedział, że ubogiemu rolnikowi placek połamał na kawałki i rzucił na cztery wiatry. — Oburzył się na to pan Lucyfer i kazał mu za karę służyć u tego rolnika przez dwanaście miesięcy. Pan kaze, sługa musi, idzie tedy diablisko pod imieniem Iwasia do tej wsi, gdzie był ów rolnik i prosi się na służbę, ale rolnik niechce go przyjąć: ja sam nie mam co jeść, ja biedny, na co mi sługi. Ja będę służył bez wikt i zapłaty, przyjmij mię tylko powiada diablisko spuściwszy uszy. Rolnik myśli sobie, żeby to dobrze było dla niego, gdyby miał kogo posłać za siebie na pańszczyźne. — Zgoda! zawołał rolnik będziesz robił za mnie pańszczyźnę.

Zostało diablisko na służbie i odrabia pańszczyźnę. Razu jednego rozkazał ekonom, ażeby jechali po sosny do lasu na krokwie i belki do gorzelni. Jaki taki wyjechał parą chabetami, a diablisko włókł się jednym koniem tylko, bo gospodarz jego więcej nie miał. Wszyscy śmieją się z niego, że takim uprzężem nie tylko że nic nieprzywiezie, ale jeszcze bicia dosyć weźmie. Ale diablisko na to nie zważając, całą sosnę wyrwał z korzeniem i wiezie jednym koniem do dworu. Ekonom widząc, że wszystkich wyprzedził, powiada do niego: Wiesz co Iwasiu, jeżeli mi jeszcze jedną sosnę dzisiaj przywieziesz tym koniem; to ci daruję konia jednego. Podjął się tego Iwasio i przed zachodem słońca

przywłóził drugą sosnę. Dostał więc konia i przyprowadził gospodarzowi. Odtąd jeździł już porządnym zaprzęgiem na Pańskie. Trza było, że jakiś wojewoda jechał czwórką, ale tak lichą, że zaledwie wlekła się jego karetą, w przelocie postrzegł fornalkę Iwasia, nuż tedy w targ o konie, i zamieniał cztery konie za dwa, które Iwaś przeprowadził swemu gospodarzowi. Trafilo się też, że zawołano go do młucenia zboża. On wyrwał pół dęba i przyszedł na pańskie. Wszyscy znowu w śmiech, jak on takim cepem młucić będzie. Ekonom umyślnie wyrzucił półtory kopy, gdy przeciwnie inni tylko kopę mieli do młucenia. — Lecz zaledwie inni po parę snopów wymłucili, Iwaś już był gotów z robotą. Oho! zawołał ekonom, wiesz co bratku, jeżeli ty zmlucisz mi dzisiaj wszystko zboże, to ci daruję połowę zboża ze szpiklérza. Podjął się tego Iwasio i przed zachodem słońca było już wszystko zboże wymłuczone. Ale ekonom myśli sobie, szkoda dawać tyle zboża, puszcę ja na niego ogiera, którego nikt jeszcze nie dosiadał, to on go zabije. Wypuścili ogiera, któremu Iwaś dał szcztka w nos i już go nie było. Puszcza ją jeszcze buhaja na niego, ale i temu jak dał szcztka w nos, przewrócił się do góry nogami. Rad nie rad musiał ekonom dać połowę zboża, którą Iwasio zwiózł dla swego gospodarza i zrobił go wielkim panem i zakończył rok swej służby i kary.

## Diak.

Gospodarz miał żonę, w której diak kochał się. Żona niepoczciwa więcej też diakowi, niżeli mężowi sprzyjała. Diak miewał różne przysmaki, a mąż zaledwie trochę barszczu trzy dni w garnku kisanącego. Miłostki te odbywały się pokryjomu i gospodarz nie mógł nigdy złapać diaka. Trafila mu się biedna sierota, chłopczyną nie wielki, przyjął go na zimę, myśląc sobie, że będzie miał na lato pastucha. Siedział tedy chłopiec za piecem, z którego żona wcale sobie nic nie robiła. W niebytności męża przyjmowała diaka. Właśnie razu pewnego, miało być bardzo szumne przyjęcie,



diak przyspiewywał dumki ukraińskie, aż tu niespodziewanie mąż przyjeżdża, diak ze strachu wlaź pod łóżko. Żona także niby zasłała i położyła się do łóżka, a wchodzącemu mężowi palcem tylko wskazała, że za piecem stoi garnek barszczu czystego dla niego. Mąż widząc, że niema do kogo co mówić, nakryzył chleba do miski, nalał tego barszczu lichego i zaczął z chłopczyną sierotą rozmowę. Chłopczyna, który o wszystkim wiedział, co się w chacie dzieje, powiada do gospodarza, niejedzcie tej lichoty, lepiej posłuchajcie, ja wam ładną bajkę powiem. Będąc u pewnego gospodarza na służbie, pasłem mu świnie, a on mi za to dawał pierogi takie, jak są u nas w piecu. A jak czasem figla jakiego spletałem, to mię bił takimi szlejami, jak te kielbasy, co są u nas za piecem. Raz przyszedł wilk do trzody, a ja go palnął głównią zapaloną tak wielką, jak jest faszka wódki pod poduszką naszej gospodyni, a wilk na mię ślipie wywalił tak, jak ten diak, co jest u nas pod łóżkiem.

Wyrozumiał gospodarz tę bajkę, w piecu znalazł pierogi, za piecem kielbasy, a pod poduszką faszkę wódki, podjadł sobie dobrze, a lepiej jeszcze podpił, i wyciągnąwszy z pod łóżka diaka, bił do póty, póki diak ducha niewyzionął. Nie żywego zaniósł w nocy do swego arendarza i postawił go za piec, sam wziął pół kwaterki wódki i poszedł do domu poczęstować swoją pocziwą połowicę, lecz nie od razu gwałtownie, żeby było co na drugi raz wybić. A tymczasem żyd spostrzega diaka za piecem niby śpiącego. A lecho tobi na matier, czoho ty spysz! i nuż go kijem po łbie, a diak z zapieca wywrócił się nie żywy na ziemię. — Aj waj! wus habe ich gethin? zawołał żyd zakłopotany, a w tem otworzyły się drzwi i gospodarz znajomy wchodzi do karczmy. A ty psie żydzie, zabiłeś naszego diaka, zaraz ja pójde do wójta i będziesz wisiał. Żyd przebłagał gospodarza i dobrze zapłacił mu za to, że udał, jako diak upiwszy się, paraliżem tknięty został.

## Diak.

W pewnej wsi był bardzo biedny pop mongolski, miał

złych paraftan, którzy go wspomagać nie chcieli. Raz przychodzi do niego diak, on skarży się przednim, że nie ma skąd żyć. Wysłuchawszy tych narzekañ diak powiada: ja bym wam poradził dobrze, jeżelibyście na to przystali. Oto u naszego pana jest piękny buhaj, ja go ukradnę — dobrze? co? Pop mongolski przystaje na to. Diak przyprowadził buhaja, zarznęli go, skórę ściągnęli i mięsem podzielili się oba. Ale przyszło dzielić się jedną kiszka, której niechcąc dzielić, pop mongolski uchwycił za jeden koniec, a diak za drugi koniec i rozerwali między sobą. — Na drugi dzień dają znać panu, że najpiękniejszego buhaja wykradziono. Pan rozesał sługi swe na wszystkie strony, którzy zniczem powrócili. Píše on do popa mongolskiego, żeby w niedzielę ogłosił ludowi, że we dworze zginął buhaj, a jeżeli go kto złapał, lub widział jak złodzieje go prowadzili, ten otrzyma dziesięć dukatów nadgrody. Jedzie sam pan w niedzielę do cerkwi, pop mongolski ogłasza szkodę pańską, na co diak odzywa się, że on wie, gdzie ten buhaj się znajduje. Pan uradowany bierze diaka po nabożeństwie do siebie na obiad, gdzie go dobrze nakarmiwszy i napoiwszy dał mu jeszcze pięć dukatów. Powiedz że mi mój kochany, gdzie ten buhaj? Diak zaczął opowiadać: przyszedłem razu pewnego do popa mongolskiego, który skarżył się przedemną, że nie ma co jeść, tak ja poszedł przyprowadził pańskiego buhaja, zarznęliśmy go i podzieliliśmy się mięsem. Ale jeszcze kiszka pozostała, my niechcieli rozrzynać, jeno rozerwać, jak my rozrywali, tak ja upadł i przebudziłem się ze snu. — A durniu jeden, to tobie się sniło? A sniło. Wróć że mi dukaty. Diak powiada: umarłego zgrobu niewracają, bądź pan zdrów i dziękuję panu za obiad.

## Diak.

W Stanisławowie był diak, którego szczególnie studenci kochali. Jak wpadł między pędractwo; to wołał: „ditońki chapajcie się pėsma“. Jak wychodzili gimnazjaliści z drukowanymi klasyfikacjami, to on mniejszych pytał, co znaczą lite-

ry O. A. M. D. G. przy końcu klasyfikacyi, to oni mu mówią: Omnia Ad Majorem Dei Gloriam. Nieprawda to się pyśzy: O Abyśmy Mołodeci Dobre Graifowały. Starszym zaś zamiast mołodeci mówił Mołodyci, to wężale rehotali się, jak gdyby im kto żaru za skórę nasypał. — Gdy zjawili się Seminarzyści na wakacje, to on do nich: Skazit myni szczy wy sia neczyty wi Lwowi, skazit myni pierwsze słowo z bubbli żydiwskiej? To oni mówią mu: Bereszit Jehowa — No! no! breszit, breszit, lesz mnoho breszit, budete knszyz jsty, i ucieka od nich machając ręką, breszit, breszit.

## Doświadczenie.

Brodacz czytał taką naukę w księdze: broda długa znaczy głupiego człowieka. W tem nieostroźnie naraził się na świecę, że aż sobie brodę opalił, zatem w owej księdze na marginesie napisał: „probatum est“.

## Droga.

Słowikowski zjechawszy się na bardzo złej i ciasnej drodze z szlachcicem, zawoła: wara, wara, bo ci tak uczynię, jako wczoraj drugiemu. Czego znając szatańskim być i bojąc się konfuzyi od figlarza, ustąpił szlachcie i zapytał: cóż byś mi uczynił, gdybym ci się był nieustąpił? Tobym ja się tobie był ustąpił, jako wczoraj temu, odpowiedział Słowikowski.

## Drzewo.

Miał człowiek rozpustnego bardzo syna, który nieustannie klęcił się i bił ludzi. Ojciec rozumny nic na to nie mówił, jeno powtarzał zawsze przechwalającemu się synowi, że drzewo bił. Syn żwawo spierał się z ojcem, że to byli ludzie, mieli nos, usta, oczy, ojciec zawsze swoje powtarzał, drzewo bił, nie ludzi. Razu jednego przynieśli syna w prze-

ścieradle okrutnie zbitego do domu, a ojciec strapiiony zawołał: teraz poznaję, żeś ludzi bił.

## Dukaty.

Drwić z Boga i ludzi nigdy się niegodzi. W sąsiedztwie na przedmieściu jednego miasta dwa kowale mieszkając i z pracy rąk swoich żywności szukając, z których jeden nabożny do św. Mikołaja wiernie codzień piosnkę na to złożoną spiewał; drugi zaś świętej wierze przeciwny, bo był heretyk, temi słowy nabożeństwu sąsiada uragał: ty św. Mikołaja, ja żyda Mojżesza wzywać będę, obaczę kto komu prędzej zapłaci. Dowiedział się żyd o onym kowalu i o jego ku sobie afekcie, w podarunku gęś mu posławszy i w nie kilkadziesiąt czerwonych włożywszy, nieostroźnie znać niedając, co w gęsi było oddał. On niewiedząc o złocie, gęś sąsiadowi sprzedał za kilka groszy. Po czasie niedługim, opowiedział żyd, co w gęsi było, a kowal w oszukaniu się widząc, pozwał sąsiada, aby mu czerwone złote oddał. Pozwany tym się przed sądem wymówił, że on gęś z wnętrzościami kupił, sprawę wygrał i jeszcze heretyka o grzywny przepawił.

## Dyzmas.

Święty Piotr dziękował razu pewnego za urząd furtjana panu Bogu. A kogoż ja obierę na twoje miejsce powiada pan Bóg. Jest tu Dyzman chłop tęgi, nic nie robi, mógłby być furtjanem powiada Piotr. Dobrze! wołajcie mi Dyzmasa powiada pan Bóg. Przychodzi Dyzman, a Bóg do niego: Dyzmase będziesz odtąd furtjanem. Panie Boże składa się Dyzman, jam prosty człowieczek, jak przyjdzie Adwokat, albo Doktor, ja się niepotrafię z nimi rozmówić. Święty Piotr rozgniewawszy się na Dyzmasa zawołał: daj tu klucze, nie był tu żaden Adwokat, ani Doktor i nie będzie.

---

## Dziad.

Przyszeli dziad do domu po jałmużnę, gdzie było trzy córki. Matka do starszej powiada: Idź Kasiu do komory, daj dziaduniowi kawałek chleba. Kasunia tak zrobiła, ale dziad przebiegły pokazał jej złote jabłko, które bardzo podobalo się Kasuni i prosiła dziada żeby jej darował. Dziad powiada: jeżeli panna sobie złapi jabłko, to niech pannie służy i rzucił jabłko na ziemię. Toczy się jabłko, panna biegnie za jabłkiem i zabiegła aż w czarny las, gdzie wprawdzie złapała jabłko, ale i dziad uchwycił Kasunię i zaprowadził do swego domu, w którym ją zamknął i niekazał otwierać drzwi łykiem zawiązanych. Siedzi Kasunia jeden dzień, bawi się jabłkiem, siedzi drugi dzień, dziadek poszedł na rozdobędy i niewraca. Nareszcie trzeciego dnia myśli sobie Kasunia, co by tam było za temi drzwiami, których dziadek niekazał otwierać. Idzie ona do tych drzwi, otwiera, a tam ludzie leżą we krwi bez głowy, że strachu upuściła jabłko, które zanurzyło się we krwi, podejmuje, obciera, myje, lecz jabłko było ciągle zakrwawione. Z wielkiego strachu zasłabła i położyła się do łóżka. Dziad przychodzi i pyta, czy nie otwierała tych drzwi. Ona odpowiada, że nie. Pokażno jabłko? Pokazuje jabłko zakrwawione. Byłaś szelmo zawołał dziad rozgniewany i uciął Kasuni głowę i rzucił między trupy. Podobnie postąpił sobie i z drugą siostrą. Już miał i trzecią w domu. Lecz najmłodsza była ostrożniejszą, niebawiła się jabłkiem, ale schowała do skrzyni i bez jabłka poszła do tej izdebki tajemniczej, w której ze zgrozą postrzegła krew i trupy zamordowanych ofiar, między którymi były także jej siostry. Zamknęła drzwi i położyła się do łóżka z trwogi i przestachu. Przyszeli dziadek i zaczął się wypytwać dlaczego w łóżku leży. Słabam, głowa mię boli, odpowiadała dziewczyna. Pokaż no jabłko, czyś nie była w tej izdebce? Niebyłam i jabłko było całkiem czyste. Dziad uwierzył, że nie była, i poszedł znowu na rozdobędy. Dziewczyna wstała i znalazła maść u dziada ożywiającą, posmarowała obie siostry, których głowy zrosły się i przyszły do siebie.

Razem uciekły do domu, potem wozem zajechały i zabrały dużo złota i srebra i wyniosły się z tej wsi, żeby ich dziad nie ściagał. Dziad ze złości zapalił ich chatę, lecz dziada wkrótce złapano i powieszono.

## Dziad.

Do Zbaraża przybyło dwóch młodych medycynierów na wakacje, ażeby sobie wytchnąć i jakie takie robić doświadczenia. Właśnie wtedy umarł w szpitalu dziad, którego dwie baby pilnowały. Piękna myśl przebiegła przez głowę młodych Eskulapów, żeby dziadka wykraść i zrobić na nim doświadczenie. A jak to u młodych zawsze na wierzchu i plan i środki onego wykonania, kupili flaszkę wódki, zaprawili miodem i kilku kroplami opium i udali się do szpitalu wieczorem niby odwiedzić umarłego dziada. Nuż tedy wzdychać, oczy wywracać niby z nabożeństwa, co też babkom niezmiernie się podobało, że tacy młodzi panicze wcale nabożni dalejże w rozmowę z nimi. Eskulapy zasiedli z babkami, dobyli wódki, częstują i rozprawiają, o duchach, upiorach i dyabłach. Nareszcie gdy postrzegli, że babki twardo zasnęły, dali im ogón wołowy do ręki, okno otworzyli i trupa szczęśliwie wynieśli. Nazajutrz babki ocknęły się, ale patrzą, niema dziadka, jeno ogón w rękach, wpadły tedy na domysł, że dyabli porwali dziada. Całe miasto o niczem niemówiło, jeno o porwaniu dziadka i że baby taką utarczkę miały z dyabłem, aż mu ogón urwały.

## Dziady.

Nie taki diabeł straszny, jak go malują. — Co dla jednych jest nieszczęściem, dla drugich może być rozkoszą. Nędza, kalectwo i wszelkie niedogodności żebraków, smutny widok w prawdzie przedstawiają, ale trzeba nam wejść w ściślejszy stosunek z temi nędzarczami, a przekonamy się, że między nimi częstokroć zadowolenie, a nawet pewny rodzaj dumy panuje. Dziad szczyci się tem, że z dziada po-

chodzi, niech no jaki obdartus obcy pojawi się i stanie obok niego, zaraz go przywita gładem słów obelżywych: A ty widki? Ja z dida did, a ty zawołoka, perejdeswit, zjebojda, ty nechrest, ty pokircz! Dziad lirnik, to akademik, graduowany, śpiewał niedokoniecznie śpiewy nabożne, ale też światowe; często nawet bluźniercze były przedmiotem jego muzyki. Dziadowoda przy nim będący ostrzegał go zwykle mówiąc: Pany idnt! to dziad wtedy śpiewał: Preczystaja Diwo Maty ruskoho kraju! gdy przeszli, to pytał; a dały szczo? Gdy nic nie dali, to mówił: Trysta matier im mordowało, naj im bude na bezhołowie, tą na korotki wik! i poczynał pieśni światowe:

Hańdziu, Hańdziu szczo ty rebysz  
Szczu za soboju chłopci wodysz,  
Jakże chłopciw newodyty,  
Koly chozczu ich lubyty.

Albo po polsku czasem wycinał sobie podobną piosnkę:

Nasza Kasia chwala Bogu  
Nasza Kasia leży w brogu,  
Tak się modli panu Bogu  
Aż się siano trzęsie w brogu.

Czasem znowu drwiąc z biedy swojej nucił następującą zwrotkę:

A z weczera komary tnut,  
Piwnoczy spaty ne dajut,  
Oj wlizu ja w sołomońku  
Zawynu ja hołowońku  
Nechaj w s . . . . tnut.

Na dowcipie prawie nigdy im niezbywa, raz śpiewającego dziada: Wszyscy po niej łazili, tylko ja po niej nie łazil! zapytał przechodzący: a po czym wy dziadku nie łazili? Bez namysłu odpowiedział: po górze Kalwaryi: — Powszechnie wiadoma jest owa zwrotka:

Święty Antoni broń tylko bydła i koni  
A świnia psiabestyja niech się sama broni.

Dziady po największej części są libertynami pierwszego rzędu, rzadko kiedy, który z nich spowiada się, a przewrotność i obłuda głównymi są znamionami żebraczego ich

rzemiosła. Powiadają, że ubogi człowiek idąc drogą, pomyślał sobie: gdybym co znalazł, podzielił bym się z pierwszym człowiekiem, którego bym tylko zdybał. Zaledwie to wyrzekł, znalazł spory woreczek pieniędzy. Natychmiast policzył pieniądze, połowę wziął sobie, a drugą połowę niósł w rękach, żeby onę oddać pierwszemu lepsze mu człowiekowi. Jakoż obaczył przy drodze siedzącego ciemnego dziadka, przybliżył się do niego, a opowiedziawszy mu to zdarzenie, oddał pieniądze. Dziad schowawszy pieniądze do torby, powiada: Pokaż mi myni waszi broszki, naj ich pereżehnaju. Nie myśląc nic złego, dobył pieniądze swoje pocziwiec i oddał dziadowi, który takowe prędko pochwycawszy, rzucił do torby swojej. Pocziwiec do niego, oddaj mi pieniądze. Dziad na robił tyle krzyku, że aż ludzie powybiegali z bliskich chałup. „Bijte sia Boha ratujte mene, rozbijnyk mene napadaje“. Wszyscy uwierzyli dziadowi, a nawet i sędzia zgromił pocziwego dawcę, który niczem nie mógł udowodnić swego dobrodziejstwa dziadowi wyświadczonego, zwłaszcza niemając na to świadków.

Idzie tedy drogą i płacze na niesprawiedliwość ludzką. W tém zbliża się do niego dziadowoda i pyta; czego ty człowiecze płaczesz? Opowiada on mu wszystko, co się stało. Wiesz ty co mówi dziadowoda: ja cię zaprowadzę do chałupy tego dziada, będziesz tam cichutko siedział, może ci się uda odebrać pieniądze, ja tymczasem pójdę po drugiego dziada ślepego, z którym on lubi gawędzić. Wkrada się więc cichaczem do chałupy dziada, który właśnie pieniądze do worka zsypywał mówiąc. Krot' mat' mu mordowało, chotiw myni toj zawołoka wsi broszki zabraty. I położył się na łóżko, w celu bawienia się pieniędzmi. Podrzuca tedy jeden worek do góry i mówi: to tobi spasytelu, rzuca drugi i mówi to myni Chrystytelu. Było tego kilka razy, pocziwiec zbliżył się i uchwycił jeden worek. Dziad do worka, widdaj Spasytelu woła na całe gardło, ale spasytel niechciał oddać. Dziad ze złości już ledwie dycha. Przychodzi kolega ślepecun i woła: Zdrasty batiuszka, szczo czuwaty. Dziad skarży się, że się bawił z Spasytelem, to tobi Spasytelu, to mini Chrystytelu,



i że ten Spasytel ukradł mu pieniądze. A ty durnyj! sztrofuje go dziad przybyły, ne brataj sia z Spasytelom, czy Spasytel twij brat, czy szczo? ja ne taki durnyj jak ty, dywysia kolko ja maju hroszi. Nuż tedy podawać sobie woczki z rąk do rąk, a wędrowiec poczeiwy cichaczem pod sunął się i zabrał obydwu worki. Dziady w krzyk, jeden drugiego szturka, wołając; widdaj myni hroszi, nareszcie gdy się oba ślepcunni za włosy uchwycili w największej złości, wędrowiec wyniósł się z chaty i podzielił się z dziadowodą, który mu jak dobrze poradził.

Było też dwóch dziadów, jeden ślepy, ale zdrowe miał nogi, drugi chromy na obydwie nogi, ale zato dobrze widział. Owoż ten ślepy brał tego kulasa i stawiał go jak lalkę na swoje ramię, który mu mówił dokąd miał iść, lub co zrobić wypadało. Razu jednego mieli oni pełne torby kielbas, kołaczów, pierogów i nieco grosiwa. Złodziej zwąchawszy kielbasy na pewne wlaź do chałupy i zabrał im całą torbę, w tem mniemaniu, że za nim nie pobiegną. Lecz stało się przeciwnie. Kulas krzyku narobił, a ślepy natychmiast posadził go na ramieniu i wybiegł za złodziejem, który w różne strony obracał się widząc pogoń za sobą. Ale Kulas zawsze wołał sob, lub caba w miarę obrotów złodzieja. Nareszcie gdy już się zbliżyli, zawołał ptrr. Ślepy uchwycił złodzieja, odebrali torbę i nabili go, co się weń wlaźło.

## Fanaberja.

Jako znakomite pochodzenie nie może być zasługą, tak podobnież urodzenie z ubogich przodków, nie powinno być za przestępstwo poczytane. Był atoll czas, w którym podobną genealogię w wielkiem miano poważaniu. Sam byłem swiadkiem, jako ta szlachta chodackkowa nie mając często kroć czem przyodziać się, jednak nos do góry zadzierala. Widywano, jako na jednych saniach przybywalo ich po dwanaścioro, a przed kościołem, jak gdyby się nieznali; wchodzili osobnemi drzwiami i witali się jak gdyby z daleka przybyli i dawno się nie widzieli, a powitawszy siebie wzajemnie, pchali się do ołtarza, żeby się nie mieszać z tłumem. Otoż

do domu takiego szlacheica chodaczkowego przybył pewny Jegomość, a niezastawszy nikogo prócz dzieci zawołał: Dzieci! My nie dzieci odpowiedzieli potomkowie rasy szlacheckiej. A cóż wy? My panicze. Poprawił się ów Jegomość mówiąc: Panicze, a gdzie wasz ojciec? To nie ojciec. A cóż? Jegomość. A gdzież Jegomość? Ubrał się w wór, wziął w rękę kół i poszedł świnie paść. A gdzie wasza matka? To nie matka. A cóż? To Jejność. A gdzie Jejność? Poszła chusty prać, obiecali suchej rzepy dać.

Albo to, nie fanaberja? Jeżeli chcesz, to przyjdź do mnie, bo ja do ciebie nie pójde. Rozumny odpowiada: Taka tobie droga do mnie, jak mnie do ciebie.

## Figle.

Pewny kaznodzieja wyszedłszy na ambonę w dzień Zadzuszny, począł z całego gardła krzyżeć: pali się! pali się! Wszyscy w nogi, a tak gdy z kościoła uciekają, stojcie! znowu zawołał: Kiedy dom się pali, jak biegniecie ratować, a dusze palą się w Czyscu, wy nie myślicie o podaniu im pomocy?

Drugi kaznodzieja mając o ważnej bardzo rzeczy rozprawiać, wziął strzelbę na plecy i idzie na ambonę. Ludzie patrzą i powiadają, że kaznodzieja zwarzował. Ale on stanawszy na ambonie, zaczyna strzelbę nabijać, podsypał na panewkę prochu i wymierzywszy między ludzi wypalił, lecz tylko na panewce proch się zajął, strzelba nie wystrzeliła. On drugi raz podsypał cokolwiek prochu i znowu wymierzył między ludzi, którzy widząc, że to nie żarty, tłumno cisnęli się do drzwi, wtedy kaznodzieja zawołał: Stójcie! widzicie jak się śmierci lękacie, a grzeszyć nieboicie się. Nuż tedy kazanie prawić o zbrodniach ludzkich, które na słuchaczu wielkie sprawiło wrażenie.

Inny kaznodzieja wylazłszy na ambonę, począł wołać: Upilem się! Upilem się! ale nie śmierdzącą gorzałką, lub szkaradnym piwkiem, ale upilem się słowem Bożem, którem i was poczęstować myślę.

Proboszcz miał mieć kazanie na Zesłanie Ducha świętego namawia tedy Organistę, żeby złapał gołębia i przywiązał koło sygnaturki, a jak zawoła: Przyjdź Duchu święty! żeby go puścił dziurą od sygnaturki do kościoła. Organista zrobił tak, jak mu było nakazano. Proboszcz stanął na ambonie i prawi wstęp do kazania o zesłaniu Ducha świętego, a tym czasem Organista poszedł na strych, żeby gołębia mieć w pogotowiu, którego już nie było. Proboszcz woła: Przyjdź Duchu święty! gołębia niema. Woła drugi raz: Przyjdź Duchu święty! a organista odzywa się przez dziurę od sygnaturki: Niema, kot zjadł.

Jezuici zaprosili dobrego kaznodzieję z kazaniem na uroczystość św. Ignacego. Kaznodzieja przez całe kazanie wychwalając zasługi fundatora Towarzystwa Jezusowego, powiada przy końcu: Święty Ignacy był tak potrzebny, jak piąte koło u wozu, ale o tem wam powiem da Bóg doczekać za rok i zlaźł z ambony. Ojcowie Jezuici strasznie zalterowani, już nie prosili tego kaznodzieję na rok przyszły z kazaniem, ale innego. Gotuje się tedy kaznodzieja, żeby konfuzję zakonowi wyrządzoną zmasać. Zbliża się uroczystość św. Ignacego, on kaznodzieja lubo nie proszony, jedzie także cichaczem, i przed samą Sumą pokryjomu wlaźł na ambonę, a zamknąwszy drzwi za sobą, siedział spokojnie aż do Ewangielii, podczas której, podniosłszy się, ukazał się ludowi. Ojcowie Jezuici ledwie niepoumierali z gniewu, sami niewiedzieli co z nieproszonym gościem robić. Tymczasem odezwał się nieproszony kaznodzieja. Obiecałem wam najmilszą słuchacze dowieść, że św. Ignacy był tak potrzebny, jak piąte koło u wozu. Dobry gospodarz bierze zawsze piąte koło na wóz, jeżeli w daleką wybiera się drogę, bo gdy mu się w drodze koło jakie popsuje, ma zaraz pod ręką piąte koło i może dalszą podróż bez przerwy odprawiać. Otoż i w kościele katolickim przez Lutra zламаło się czwarte koło, św. Ignacy był piątym kołem, za pomocą którego, kościół katolicki istnienie swe zabezpieczył. Jak zaczął tedy wychwalać Towarzystwo Jezusowe, tak Ojcowie Jezuici uradowani znowu niewiedzieli, jak kaznodzieję przeprosić i uraczyć.

Pewny kaznodzieja, chcąc zbyć kazanie, na które przygotować się niechciał, wylazł na ambonę i powiada: A wiecie wy, co ja mam powiedzieć? Wszyscy odpowiedzieli, że nie wiedzą. Otoż jeżeli wy nie wiéci, oczém mam mówić, to wam nic nie powiem. Na drugą niedzielę wylazł na ambonę i pyta: A wiecie wy, co mam powiedzieć? Wszyscy powiadają: wiemy. Otoż jeżeli wiecie to wam nic nie powiem. Na trzecią niedzielę wylazi znowu na ambonę i pyta: A wiecie wy, co mam powiedzieć? Jedni powiadają, że wiemy, drudzy zaś, nie wiemy. Otoż ci co wiedzą, niech powiedzą tym, co nie wiedzą.

Dwóch błaznów stało przy ogniu; jeden porwawszy garnek popiołu uderzył w łeb drugiego mówiąc: wara, wara bracie, bo grzmi. A ów porwawszy głównię, a bijąc go po łbie rzecze: żegnaj się, bo się błyska.

Wiózł chłop żyda, a gdy miał go wywrócić, powiada: szczoś tu bude, szczoś tu bude! Żyd ciekawy pyta: Iwane a szczoż bude? Jakże już wywrócił, powiedział: ot wże jest. A lecho tobi na matier! odparł żyd potluczony.

Złodziej ukradł konie francuzowi; który za nim wołał: Ekute, Ekute! Na co złodziej odwracając się powiedział: Co mi tam do tego, czy kute, czy nie kute, to ja biorę.

Chłop dostał w twarz w karczmie, idzie tedy do domu i powiada: „Synu mij! Mykieta mene w pesok wdaryw“. Syn oburzony woła. Anu chodim Tatuniu do korcзмы, naj win pry myni strybuje was wdaryty. Ojciec myśląc, że syn pomści się jego krzywdy, idzie do karczmy z synem, który stanawszy w karczmie zawołał: Mykieta jak ty śmiw moho Tatunia w pesok szmałyty, a nu strybuj pry meni, Mykieta niewiele myśląc, hop w pysk z jednej strony starego. A nu jeszcze raz woła syn, a Mykieta drugi raz hop w pysk starego. Chodim Tatuniu powiada syn, bo i myni pry was sia distane.

Mazury złapawszy wilka, radzili, co z nim począć. Jeden mówi: pałką w łeb, taj zabić bestyję. Drugi powiada: żywcem skórę zdjąć z niego. Trzeci woła: ozenić bestyję, a do tego jesce z moją Kachną.

Koło klasztoru szła matka z córką, która postrzegłszy

mnicha przy oknie klasztornym zawołała: Dywit mamuniu jaki krasny Czorneć. Nedywy sia doniu, koby to szczo dobroho buło, toby nesediło za kratamy.

Szedł żyd na jarmark do Czortkowa i powtarzał sobie idąc; Czortków, Czortków. Ale nareszcie zapomniał nazwę miasta, do którego dążył. W tem zdybuje chłopca i pyta: Neznajesz ty Iwane kuda ja idu? A czort tebe znaje, zawołał chłop rozgniewany, kuda ty idesz. No no diekowat' tobi — ja idu do Czortkowa na jarmarok.

## Figura.

Ojcowie Jezuiti odprawiali Majales w polu pod figurą. Mieli tam z sobą puzderko niezgorsze napelnione przepysznyimi trunkami. — Ale zaledwie rozłożyli się do wesołej biesiady, postrzegli zdaleka nadchodzących Bernardynów. Co tu robić, rada w radę, postanowili puzderko zakopać pod figurą. Jakoż wykonawszy to przedsięwzięcie, puścili się w przeciwną stronę ku lasowi. Nadeszli Bernardyni pod figurę i powiadają; tu byli Jezuiti, spoczniymy tu także i posiadali sobie. Jeden z nich spostrzega świeżą ziemię, zaraz mu przyszło do głowy, czy też Jezuiti niezakopali tu jakiego skarbu, dalejże kopać i dobyli puzderko nie próżne, wycudzili wszystko do ostatniej kropelki, a domyślając się że Jezuiti wrócą na to miejsce, przyklepili karteczkę na puzderko z napisem: Już się owo spełniło, co pod figurą było.

## Filuty.

Był filut na Rusi, który ludzi tumaniąc, przyszedł do wielkiego majątku. Dawniej i teraz jeszcze znajdują się ludzie, którzy nie tylko łatwo, ale nawet bardzo chętnie dają się oszukać. Wiedział otem figlarz ruski, zabił ciele, skórę napelniał szerszeniami i w świat poszedł. Przychodzi do pewnej chaty wieczorem, gdzie uprosił sobie nocleg na strychu. Włazł na strych, zrobił sobie dziurkę do chałupy, przez któ-

raż postrzegł, że gospodyni gacha u siebie przyjmuje, że później dopiero sam gospodarz przybył. Rano wstawszy, idzie do chaty, by podziękować gospodarzowi za nocleg i widzi, że gospodarz kawałek suchego chleba zajada. A cóż to niemacie co zjeść gospodarzu, że się tak biédzicie tym sucharem? A niema rzecze gospodarz, biédny jestem. Pakażę ja wam zaraz waszą biędę, otwórzcie no piec, patrzcie jaka tam gęś pieczona w smalcu pływa. Prawda! zawołał gospodarz. — Zagłádnijcie no pod poduszkę gosposi, jaka tam fiaszka krupniku. Gospodarz aż podskoczył na widok wódki miodem zaprawionej. A tu pod łózką leże wasza bieda, i wyciągnął gacha młodego z pod łózka. A z tym dragalem co mam robić? zapytał gospodarz. Obedrzyj do koszuli, a bij co się weń wliżie. A czy można? Gacha złapawszy przy żonie można bić do woli. On też niewiele myśląc, nabił się gacha i wyrzucił gołego między psy, żeby mu pończoszki skroili. Oporawszy się tedy należycie powiada: Majsterku (bo tak włóczęgów dawniej nazywano) zkąd wy to wiecie wszystko, ja przecie gospodarz, a niewiem, co się w moim domu dzieje? Mam taką torbę, co mi wszystko powiada. Mój majsterku, a sprzedajcie mi tę torbę. Po wielu targach, gospodarz dał majsterkowi wszystkie swoje pieniądze. — Bierze torbę i słuha, że tam wielki ruch. Ciekawością uniesiony, co by tam było, rozpruł cokolwiek torbę, aż tu wylaża szerszenie jeden za drugim, nuż tedy kąsać wszystkich. Uciekają z domu, szerszenie za nimi wypadają na wieś i wszystkich ludzi pokasali.

Filut tymczasem powrócił do swojej wsi z pieniędzmi. Wszyscy dziwiają się, zkąd on przyszedł do tych pieniędzy. Pytającym odpowiada, zabijcie ciele, skórę napelnijcie szerszeniami i zanieście do Witelówki, tam dobrze wam za to zapłacą. Biją tedy cielęta wszystkie, a wypchawszy skóry szerszeniami idą do Witelówki. Lecz skoro ich tam spostrzegli ludzie, wybiegli z kijami, łopatami i kocinbami na nich, nuż tedy walić śmiałych przybyszów. A wy niecnoty, a łotry, znowu nam szerszeniów przynieśliście. Ledwie życiem poniekali oszukani ludziska. — Filut myśli sobie, już szer-

szeniów znają, trzebaby czem innem świat oszukać. Robi tedy ładną skrzynkę, zwierzechu wypoliterował, a w środek włożył pełno nawozu i idzie do Kulikowa. Przychodziżna noc do żyda, który wypytuje filuta do kąd idzie i co zamysła robić. On mu powiada, że idzie do cesarza z tą skrzynką, który obiecał za to bardzo dobrze zapłacić. Żyd myśli, żeby mógł co zprofitować i prosi żeby mu tę skrzyneczkę sprzedał. Za wielkie pieniądze sprzedaje skrzynkę filut i powraca do wsi. Tym czasem idzie żyd z skrzynką do cesarza, gdzie odbierają od niego skrzynkę i patrzą, a wewnątrz sam nawóz, bij tedy żyda niegodziwego i na całe miasto nałożono za to podatek wielki, że się odważyli cesarzowi taką zniewagę uczynić. We wsi zaś wszyscy dziwią się i proszą filuta, żeby ich nauczył, jakim sposobem mogliby oni przyjsć do majątku. Filut powiada, naróbcie skrzyneczek dużo zwierzechu politerowanych, a wewnątrz napełnijcie nawozem i zanieście do Kulikowa, tam wam dobrze zapłacą. Narobili tedy skrzyneczek co nie miara i niesą do Kulikowa. Lecz zaledwie zbliżyli się do miasta, wszyscy żydzi wybiegli z drogami, jak zaczęli bić i sojkiesami okładać, tak to wszystko ledwie z duszą uciekło.

Do domu wróciwszy, poczęli radzić, żeby się zemścić na filucie. Jakoż uradzili, żeby utopić filuta. Wzięli go tedy do worka i niesą do wody. Ale jeden powiada do nich, pójdźmy do karczmy i napijmy się jeszcze wódki na ochotę. Poszli wszyscy do karczmy, a filut wrzeszczy z worka na całe gardło; Gwawtu! neumiju ni czytaty ni pysaty, choćzut mene za króla oberaty“. — Nadjeżdza wielki pan i słyszy te słowa: Stój! ja będę królem, uwolnił filuta z worka, sam zaś wlaższy w worek, darował filutowi cztery konie, karetę, służbę i dużo pieniędzy. Wyjechał filut w lasek bliski, by się tam ukryć. Tymczasem wybiegli ludzie z karczmy i rzucili pana z workiem do wody, sądząc, że się pozbyli oszusta. Lecz w tej chwili sady przez wodę filut w karcie, a wszyscy poczęli wołać na niego, żeby im powiedział, zkąd on dostał konie. To wszystko znalazłem w wodzie powiada filut, tam to bogactwa żebyście wiedzieli, i począł im poka-

zywać co było w karecie. Rozłakomili się sielanie, dalejże do wody, najprzód wójt. Lecz gdy tonął, wypłynął jeszcze pokazując ręką, żeby go ratowali, a oni myśleli, że on obaczył tam skarby i wołał ich za sobą. Nuż tedy za nim wszyscy poskakali do wody i potopili się. (2).

Mieli mazury także filuta, który mając żonę i czworo dzieci, szacherką nadrabiał, żeby utrzymać liczną rodzinę. Pewnego razu przyszło do niego dwóch zgonników świńskich i prosili, żeby ich u siebie przenocował, on na to zezwolił, ale widząc, że oni dużo pieniędzy mieli, przemyślał nad sposobem wyłudzenia od nich tego grosiwa. Jakoż gdy rano powstawali, prosi on ich, żeby się cokolwiek zatrzymali w domu jego. Sam zaś wybiegł do miasta, a pożyczwszy sobie nieco pieniędzy, udał się do traktyerni, obstałował i zapłacił jedzenie na trzy osoby i powiedział, jeżeli on po traktamencie potrząsie czapką, to żeby oni powiedzieli, że jest wszystko zapłacone. Tak zrobił w drugiej i trzeciej traktyerni. Po tej zmowie wraca on do domu i prosi zgonników do traktyerni na śniadanie. Idą zgonniki za nim, a on każe dawać dobre śniadanie, po którym trząsie czapką i pyta czy już zapłacono? Gospodarz powiada, że już wszystko zaspokojone. Wychodzą tedy na ulicę, filut pyta swoich gości, czy nieposzliby na drugie śniadanie? Oni powiadają, dobrze. Idą tedy do drugiej traktyerni, tam znowu jedzą i piją, a filut po traktamencie trząsie czapką i pyta, czy już zapłacono? Traktyernik odpowiada, że już wszystko zaspokojono. Podobnież zrobił i w trzeciej traktyerni. Zgonniki myślą, żeby im się taka czapka przydała bardzo i mówią, sprzedaj nam tę czapkę. Filut powiada, ja niemogę sprzedać, gdyż ta czapka mię utrzymuje. Ale oni poczęli nalegać na filuta, który postrzegłszy jak się oni zapalili powiada: Je-

---

(2). Nowosielski Antoni Lud Ukraiński Wilno 1857. T. II. str. 339 powiada o Szuciu figlarzu, który był szewcem, Litwinów tumaniał wózkim z góry lecącym i garnkiem bez ognia warzącym. Nareszcie gdy go topić miano, oszukał jeszcze żyda, który chciał być królem i wlaż w worek, a Litwini go utopili. Moja bajka o ruskim filucie więc jej ma zawikłania i powabu.



zeli mi dacie czterysta guldenów, to będzie wasza czapka. Po wielu targach zapłacili oni trzysta guldenów i wzięli czapkę. Pożegnawszy filuta ndali się wielce uradowani w swoją drogę. Przyszli do wielkiego miasta i ndali się wprost do traktyerni, gdzie kazali sobie i dużo i smaczno zastawiać, a najadłszy i napiwszy dobrze, bierze jeden czapkę, trzęsie i pyta, czy już zapłacono? Traktyernik powiada, że nie jeszcze. Drugi mówi; ty nieumiesz trząść, daj mnie czapkę, ja będę trzął. Trzęsie drugi i pyta, czy już zapłacono? Traktyernik powiada, że nie jeszcze. Musieli więc z kieszeni zapłacić i dużo słów niepotrzebnych nasłuchac się, któremi ich gospodarz obdarzyć raczył. — Idą tedy dalej i przychodzą do drugiego miasta, gdzie podobnie udali się do traktyerni, ale już cokolwiek mniej zastawiać kazali. A gdy sobie podjedli, obracają czapkę na wywrót i trzęsą i pytają, czy już zapłacono? Lecz gospodarz za każdym trzęsieniem mówił że nie zapłacono, nareszcie zniecierpliwiony odebrawszy od nich zapłatę, nazwał ich cyganami i za drzwi wytrącił. Zhańbieni zgonniki postanowili wrócić się i czapkę oddać filutowi w celu pozyskania swoich pieniędzy. Przychodzą oni do miasta, a żona filuta pracująca w polu postrzegłszy gości nieproszonych, zaraz pobiegła do domu, by o tem uprzedzić męża, który natychmiast zrobił się umarłym i dał żonie wałek, żeby go tym wałkiem wskrzesiła. Przekryła go prześcieradłem białem, zapaliła świczki, dzieci nabiła, żeby płakały, sama też usiadła przy nieboszczyku i płacze. Przychodzą zgonniki do domu, patrzą, że filut umarł, a żona i dzieci we łzach toną, uklękli też i oni, a zmówiwszy pacierz, pytają co mu było, na co on umarł. Żona jak może tak kłamać, nareszcie powiada do nich: dobrze żeście panowie przyszli, jest tu w domu taki wałek, jeszcze po nieboszczyku ojcu mego męża, którym on wiele ludzi ratował, jeżeli mężczyzna uderzy tym wałkiem trzy razy w piętę umarłego, to umarły zaraz wstanie. Nuż tedy w prosby, żeby jej męża wskrzesili. Bierą oni wałek do ręki, biją w piętę, za trzeciem uderzeniem, ruszył się umarły i powstał na swoje nogi, a żona i dzieci cieszą się niezmiernie. Zgonniki zapo-

mnieli już o czapce, walek się im bardziej podobał i pytają o cenę tego waleka. Filat powiada, że niemoże tego sprzedać, gdyż nim wielu umarłych do życia powołał. Lecz jak zaczęli oni nalegać, tak on im za bardzo znaczną sumę pieniędzy odsprzedał. Idą tedy zgonniki znowu z tą zdobyczą do wielkiego miasta, gdzie królowa umarła. Oni mówią, że tę królowę wskrzeszą, byleby ich wpuszczono do pałacu. Natychmiast zawołano ich do pałacu, gdzie zamknęli się z umarłą i bili walkiem po piętach i po każdej części ciała bezskutecznie. Pomęczeni biciem usnęli. Na drugi dzień przychodzą panowie i patrzą jak królowa baniebnie potłuczona, chcieli ich potracić, ale oni przyznali się, że ich mazur oszukał, że udawał umarłego, a oni go walkiem wskrzesili i zapłacili dużo pieniędzy. Wyznanie zmiękczyło sędziów, niekazali ich tracić, jeno wsadzili ich na zawsze do więzienia za to, że się tak pastwili nad umarłą królową.

Żydzi także mieli swego filuta, o którym powiadają, że pewny król jadąc na polowanie, zdybał żyda i zapytał go, co ty za jeden? Żyd powiada: ja jestem śpiewak, właśnie idę na wesele rozweselać gości. Król kazał mu śpiewać. Żyd zaspiewał, a tak ujął króla, że mu tenże obiecał darować pierwsze zwierze, które miał tego dnia spolować. Pojechali do lasu i złapali wilka. Król darował żydowi wilka, którego on na sznurku do domu prowadził. Wdrodze zdybali go kupcy prowadzący handel owcami macedońskimi i pytają żyda, co ty prowadzisz? On im powiada, że to cap amerykański. Oni do niego, sprzedaj nam tego capa. On mówi, że go nie sprzedaje, bo on dużo kosztuje. Kupcy naważyli się dokoniecznie mieć capa, wyliczyli dużo pieniędzy i zamknęli capa w owczarni z owcami macedońskimi. Na drugi dzień przychodzą kupcy do owczarni, w której wszystkie owce leżały pozagryzane, a wilk po pod nogi wysunął się i poleciał na cztery wiatry. Idą oni do tego żyda, co im takiego capa szkodura sprzedał. Ale żyd miał także gołębia łaskawego, który siadywał na ramieniu i groch z ucha wydobywał. Wychodząc z domu, powiedział żonie, co ma na obiad zgotować, sam zaś udał się do miasta. Za ledwie uka-

zał się w rynku, aż tam żydzi kupcy oczepili się go o tego capa amerykańskiego. On włożył groch do ucha, a gołąb przyleciał, siadł na ramieniu i jadł groch sobie. Wpadło to w oczy kupcom, nuż tedy żyda prosić, żeby im powiedział co mu ten gołąb do ucha szeptał. Po wielu korowodach powiada on im, że ten gołąb wszystko mu donosi, co się w domu dzieje, że właśnie powiadał, co żona na obiad gotuje. Mówią ci kupcy, chodźmy do domu dla przekonania się czy to prawda. Przychodzą do domu, żona wsamej rzeczy te, a nie inne gotowała potrawy, o których żyd filut wspominał. Myślą kupcy, żeby to dobrze mieć takiego gołębia i poselać w cudze kraje dla powzięcia wiadomości, co się tam dzieje. Kupują tedy za wielkie pieniądze tego gołębia i wyselają go aż do Jerozolimy, ale gołąb nie poleciał do Jerozolimy, jeno wrócił nazad do swęgo żyda. Kupcy czekają i czekają na gołębia i nie mogą się doczekać. Za pół roku, idą oni znowu do tego żyda, który zobaczywszy ich zdaleka, przybiegł do izby i mówi żonie, ja się zrobię umarłym, ty siadź nademną i płacz, a jak oni przyjdą, to ty wezmiesz walek i uderzysz mię trzy razy, a ja wstanę. Przychodzą kupcy do izby, żona siedzi i płacze nad umarłym figlarzem, oni mówią, cóż teraz będzie, a ona mówi, czekajcie jest tu taki walek, którym nieboszczyk jakiegoś pana wskrzesił, i uderzyła go trzy razy, a żyd wstał. Kupcy powiadają: straciliśmy owce przez ciebie, ale dajmy ci jeszcze więcej pieniędzy, tylko daj nam ten walek. Niechciał z początku filut, ale jak oni zaczęli się z nim harkać i sypać pieniądze, tak on przestał na sprzedaż wałka. Idą kupcy z tym wałkiem do stołecznego miasta, w którym królowna umarła. Kupcy mówią, że oni wskrzeszą królownę, byle ich tylko samych w pokoju zostawić. Zamknęli ich tedy na całą noc z królowną. Oni walą wałkiem królownę na wszystkie strony, dosyć że ją tak stłukli, iż była nie do poznania. Na drugi dzień powiesili kupców za tę sztuczkę, wkrótce też i figlarz żydowski umarł.

---

## Flak.

Pan Kiszka litwin, gdy się domagał na sejmie głosu. Marszałek zapytał, a pan Kiszka co? Ktoś z przytomnych zawołał: taki flak, jako i drugi, póki go nie nadzieją.

## Gandziaboross.

Nieboszczyk Ważyński archiwista brodzki w swojej Nosologii powiada: nosy garbate są oznaką zmysłu spekulacyjnego. Zdanie to samo przez się upada, bo gdyby wartość moralna do pewnych znaków ciała ludzkiego była przywiązana; natenczas byłby człowiek maszyną, nie zaś wolną istotą. Ale i godny synaczek państwa Gandziaborossów był przeczącym tego dowodem. Urodził on się wprawdzie z garbatym nosem i kędziorami na głowie, z ruchliwymi jak żywe śrebro ślipakami, słowem powiedziawszy, cała postać tłustego dzieciaka zapowiadała wielką przyszłość, na którą też rodzice uradowani wiele bardzo liczyli. — Lecz niestety było to ciele w ludzkiej postaci. W koszuli biegający pędrak do marnotrawstwa wielką okazywał skłonność, uciekał też od książki szukając podobnych sobie, by czas drogi na niczem przepędzić. Ulubione zwrotki powtarzał bardzo często: Ecie, pecie, pistolecie, nabijecie, wystrzelecie. Ecze, pecze, kotka pieczenie wlecze. — Razu pewnego zmęczony przybiega do matki jak gdyby skarby jakie odkrył i powiada: Mamo zeby wy wedzeli jak nasa koza wogonem macha, fik, fik. Matka rozplakała się, że takiego durnia porodziła. Nie mniej też bolał nad tem ojciec, że takiego niezdarę żywić musiał w domu. W nadmiarze swego utrapienia, powiadał do żony: Moja rybeńko, co my z tym durniem będziemy robili. Rada w radę, stanęło wreszcie na tem, żeby tego durnia na księdza wykierować. Jak zaczęli mu tedy wszyscy kleptać, księżuniu, księżuniu, tak księżunio jak fura siana wlaźł do głowy młodego niezdary. — Szkoły gimnazyalne przepłynął jakoś przy troskliwości rodziców, którzy nauczycielów pieczonym i gotowanym starannie opatrywali. — Potem odwie-

zligo do stołecznego miasta, i ulokowali u krewnego księdza kanonika, żeby pod jego okiem słuchał filozofii i sposobił się do stanu duchownego. Tam miał dwie przygody, które w całym blasku jego stronę moralną postawiły. Przyszło mu raz do głowy w niebytności księdza kanonika ubrać się po kanonicku. Przedzierzgnął się tedy w palendrony, mucety, rokiety i zawiesił Order na sobie. Tak tedy przystrojony, począł przechadzać się po pokojach kanonickich, stanął wreszcie przed dużym zwierciadłem bardzo zadowolniony z siebie i z całej swej nadobnej facjaty, dalejże machać rękami, jak gdyby na ambonie, a kiedy już był w największych susach, „Dubie co robisz?“ zawołał kanonik wchodzący. Skręcił się jak piskorz pan Gandziaboross. Ja nie, ja chciałem naśladować księdza kanonika i jego pięknego kazania. Było tam więcej przymiotników ze strony księdza Kanonika pod czas rozbierania hojnie zlewanych, ale jakoś minęła ta przygoda bez guzów przynajmniej. Lecz czekała nań druga nierównie większa jeszcze od pierwszej. Był wtedy na Filozofii Katecheta wielki pedant, któremu jeżeliś od słowa do słowa z książki niewybębnił, to ci nie dał klasy, a proszącym o łaskę odpowiadał: nie mogę! Otoż tedy zdając religję, nieotrzymał pierwszej klasy pan Gandziaboross, skarży on się przed koleżkami na Katechetę. Koledzy poczciwi wiedząc o tem, że rodzice poselają Gandziaborossowi dosyć pieniędzy, powiadają do niego: Wiesz ty co, daj nam dziesięć guldenów, to my wręczymy pewnemu Jegomości, przez którego Katecheta bierze łapowe. Dał on im dziesięć guldenów, które oni zaraz przepili, a na drugi dzień zdybawszy się z nim, powiadają, że wszystko dobrze poszło, Katecheta wziął guldeny, a jak wyjdiesz na poprawkę, to mu szepnij tylko: „Memfis“ to on już będzie wiedział. Wychodzi pan Gandziaboross poraz drugi na egzamin, Katecheta zadał mu pytanie i stanął nad nim według swego zwyczaju. Niemogąc odpowiedzieć na pytanie, wstaje pan Gandziaboross i do ucha szepcze Katechecie: „Memfis.“ Co? pyta zdziwiony Katecheta. Memfis Panie Dobrodzieju odpowiada głośnie. Może pan słaby? Nie, ja jestem Memfis panie Dobro-

dzieju. Koledzy w ławkach unierają od śmiechu. A on na całe gardło woła: Memfis. Katecheta obraca się do słuchaczów mówiąc: Niech kto odprowadzi tego pana do domu, gdyż jest słaby, jak uważam. Koledzy ciągną go za sobą a on wrzeszczy „Memfis“. Nareszcie gdy już byli za drzwiami. On jeszcze raz drzwi otworzył, wystawił głowę zgarbatym nosem i zawołał: Me! Me! Me! Memfis! fis! fis! Memfis!. Dostyć że Memfis pomogło, pan Gandziaboross został księdzem.

## Gawęda.

Mamo! zawołał chłopaczek odchylając drzwi pokoju, kogut pieje na progu. Dobrze mój synu rzekła matka, będziemy mieli gości. Pan podsędyk nie słysząc tej mowy, chodził tylko, myślał i mruczył, jak gdyby całego kraju dobro, na jego zwałilo się głowę, nareszcie dwa razy musnął się po czuprynie, dwa razy tupnął nogą i w zapalczywości zawołał: „Tego jak żyw nie daruję, oddam za swoje“. Panie Macieju, co wam takiego pytała troskliwa żona. Co Asani do tego odpowiedział rozgniewany. Ależ moje serdeńko? Do stotysięcy Tatarów — do million.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! przerwał groźby pana podsędka, toczący się opasły pan sędzia, dobry dzień życzę. Dzień dobry odpowiedziała pani Maciejowa. Na wicki, mruknął pan Maciej. A witam z Warszawy panie sąsiedzie, toż to się pan Maciej tam wyhulał, tam to dopiero życie?

Niech piorun trzaśnie takie życie, odezwał się pan podsędyk.

Coż to, niema tam ludzi najuczestniejszych?

Aha sowizrały same, mruknął pan Maciej.

A zabawy, bale, teatry?

Co teatry? zapytał pan Maciej, o świszczopały mosanie, darmojadę, włóczokije!

Co to jest pani sąsiadko? rzekł z cicha pan sędzia. Coś mu na nos wsiadło odpowiedziała gospodyni. Od kiedy

przyjechał z Warszawy, ni mowy, ni rozmowy z nim niema, siedzi by tymanisko jakie, mruczy tylko, odkazuje, jak gdyby mu kto matkę zabił, biedna moja głowa, i poszła do kuchni.

Panie Macieju, jaka piękna pogoda, aż miło się człowiekowi robi. Ale, ale, wczoraj złapano żydka naszego, — oho już jest, — i nie wyjdzie mi ztamtąd, aż się nam dobrze sprawi, — słyhać, że ma pieniądze, my to jakoś zrobimy. — Ajuście rzekł pan Maciej nieco odobruchany. W tém ukazała się kontuszkówka na stole i zrazy spore na talérzu. Uśmiechnął się do nich Podsędyk, a nalawszy spory kielich wódeczki, rzekł: Do ciebie panie sąsiedzie! Na pewno do mię pijesz krząknął pan sędzia. Poczęstowawszy się siedli do stołu by zmłocki z cepami, trzepali, a pili, — kontuszkówka jakoś przed, między i po zrazach bardzo często się rozlewała, — ku końcu gwawiej rozmawiać poczęli, a gdy nadeszła Pani Maciejowa, zerwał się Podsędyk jak opętany i cmoknął ją w czoło mówiąc: Otoś mi Marysiénko dogodziła. — Bóg zapłać! powiedział pan Sędzia i miał się już ku drzwiom, ale pan Maciej zatrzymał go jeszcze i mówi: Niewiesz panie sąsiedzie co mi się też przytrafiło w Warszawie?

Niewiem!

Wystaw sobie ci paliwody, tfu bisurmany, mię człowieka zbrojnie wysłużonego, mię pana na swej Woli, za drzwi wytrącili.

Matko Boska! panie Macieju, jakimże to sposobem?

Siadaj no! opowiem ci, jak to było. Zajechawszy do Warszawy, stanąłem w zajezdnym domu, tam mię obstarpiłi jacyś wierzpięty i pytali mię o coś, a mnie się jeść chciało. Gdzie jest garkuchnia, proszę mi pokazać, powiedziałem. Na to rozśmiał się jakiś drągalisko i otworzył drzwi mówiąc: proszę do Restauratorni. Wszedłem do tej Waltorni, ależ tam wcale było pięknie, patrzę! — na środku był stół duży wyłożony i pokryty zielonem sukmem. To mi się podobało, oto teraz wygodnie jeść można, talerz bezpieczny, nie można go rękami strącić. Tam zapytano mię, gdzie będę jadł?

Tu na tym stole proszę mi nakryć. — Ależ ten stół jest do grania. Co mi tam do tego, ja tu chcę jeść. — Nakryto mi, lecz zaledwie jeść począłem, kilku Jegomościów wpada z kijami w rękach, aż mi się źle zrobiło, pomyślałem sobie, to mię tu pięknie potraktują, — zabrałem talerze na inny stolik, oni poustawiali jakieś kule, jak zaczęli wywijać patykami, stuk, puk, naraz krzyknęli; partja już skończona. — Potem wszedł jakiś bulbogryza z pyska frant, miał dużo papierów w rękach, tamci panowie rozbierali po jednym, nareszcie przyszedł do mnie, a pan niewezmiesz? Naco zapytałem? Jest to afisz na teatr dzisiejszy. Wiele kosztuje? Co łaska odezwał się. Dając mu złotego, pytam go, a mię tam puszcza? Dlaczegoż nie, odpowiedział famulus. Aby być pewniejszym, jeszcze jeden wziąłem arkusz i dałem mu drugiego złotego. Jakoż wieczorem idę z temi papierami do teatru. Na samym wstępie wstrzymano mię pytając o bilet. Dobrze odpowiedziałem, mam ich tu aż dwa, dobywam te papiery, a cóż? To nie są bilety rzekł odźwierny, jeno afisze, tu trzeba kupić bilet. A niech was licho weźmie, ja za to zapłaciłem dwa złote. Co mi tam do tego, ja pana nie w puszcze. Musiałem więc kupić bilet, i wszedłem do teatru. Stoję, patrzę, jedni chodzą, drudzy rozmawiają, inni patrzą na jakieś pomalowane, niby niebo, niby bożki, pozał się Boże moich złotych pomyślałem sobie, toż to teatr? Nareszcie zadzwoniono, wszystko się uciszyło, podniosło się niebo i las ukazał się tak piękny, ażem się przeżegnał. Wyszła jakaś dziewczyna, zaczęła coś gadać, narzekać, nakoniec szlochać. Tfu do licha! ja przyszedłem bawić się, nie zaś płaksów słuchać. Potem schowała się za krzakiem, ja to wszystko dobrze widział. Nareszcie wchodzi jakiś włóczęga, zaczyna kogoś szukać i pytać, gdzie moja kochanka, a tu nikt się nie odzywa, ja niemogąc dalej wytrzymać, tam siedzi za krzakiem zawołałem. Aż tu wszyscy jak osy na mnie syceć i psykać poczęli. Ale co psst odezwałem się, jako żywo, na moje własne oczy widziałem, jak się tam za krzakiem schowała. Wtem dwóch przystąpiło do mnie, i po pod boki prowadząc za drzwi mię wypchnęli. Ja krzyczałem, manife-



stuję się, — niepozwalam! — Pod strzechę z temi wyrazami powiedzieli hultaje.

A to za nadto! krzyknął palnawszy pięścią po łysinie pan Sędzia. Kondemnata! Bannicja! Pan Maciej zawtorował: niepozwalam i uderzył o stół ręką tak silnie, że aż okna w domu zadzwoniły. Natem się też zakończyła cała zemsta braci szlachty, że jeszcze raz powtórzyli „Niepozwalam“.

## Generał.

Zdobywszy miasto pewny generał, obchodził najprzód kościoły, a potem bióra urzędników miejscowych zapytując się każdego z osobna: Szczo ty za oden? Na to mu odpowiadali: Ja konsyliarz, ja sekretarz, kontrolor i. t. p. On zaś na to mówił każdemu: „Ja bolszoj“! Nareszcie w jednej kancelaryi zdobył się urzędnik na odwagę i pytającemu, szczo ty za oden, odpowiedział: ja durak, naco bez namysłu dumny generał rzekł: Ja bolszoj:

## Generałowie.

W pewném mieście było dwóch kupców, którzy się bardzo miłowali, a przykro im było, że ich pokrewieństwo żadne nie wiązało. Postanowili tedy uroczyć się; jeżeli jeden z nich będzie miał syna, drugi zaś córkę, to ich pożenią dla wzmocnienia między sobą przyjaźni. Przyrzeczenie to urzędowym aktem było stwierdzone, ażeby kiedykolwiek nie poszło w zapomnienie. Stało się też, że jeden miał córkę, a drugi zaś syna. Dziaatki bardzo się miłowały między sobą. Razem się uczyły, razem modliły się, razem bawiły się, jedno bez drugiego żyć niemogło. Serdeczne uczucia z każdym dniem bardziej się wzmagaly, a lata wzmacniały między niemi węzeł przyjaźni. — Ale ojciec syna był ubogi, nie mu się nieszczęściło, prosił tedy bogatszego, aby go zapomógł i wyżyczył cokolwiek pieniędzy. Bogatszy nie odmówił mu tej przysługi. Lecz niestety, wszystkie towary uboższego ku-

peca zatopiło morze. Pożyczył drugi raz, lecz morze znowu zatopiło. Pożyczył trzeci raz, ale morze i trzeci raz zatopiło towary zakupione. Czwarty raz niechciał już bogatszy dać pieniędzy uboższemu. Ten mu posłał ów zapis przyszłej przyjaźni ich dzieci; bogatszy podarłszy w drobne kawałki ów zapis, odpowiedział, że z hołyszami niema nic do czynienia.

Tym czasem córka pozbiierała te kawałki papieru i dowiedziała się, że urzędowym aktem była już przyrzeczoną kochankowi pierwiej, niżeli na świat przyszła. Zebrała dużo pieniędzy i pokryjomo wspomagała biednego kupca, który temi pieniędzmi dorobił się znacznego majątku. Lecz starzy niechcieli się już do siebie zbliżyć, przezco też ostygnać mogła miłość kochanków. Córka bogatszego namawia swego kochanka, żeby szedł do wojska i dobijał się znaczenia, w celu przejednania wstrętu rodziców. Usłuchał rady swej nadobnej kochanki syn uboższego kupca, idzie do wojska, pisuje listy do swojej Bogdanki, która go hojnemi zapomogami zasila. Pieniądze kochanki i męstwo wrodzone, utorały mu drogę do wyższych godności, nareszcie został generałem. Wyniesiony na taki stopień godności, już nie pisywał listów do swojej kochanki, która z wielkiej rozpaczki udaje się za nim, przybiera suknie męskie i przystaje do wojska, chcąc mu dowieść, że godną jest serca jego.

Prypadkiem stała na straży koło pałacu króla, gdzie też była młodzintka królowna i postrzegła ślicznego żołnierza na straży stojącego. Tak się w nim rozmiłowała, że nie dała spokoju ojcu, póki jej nie przyrzekł, tego młodego żołnierza dać za męża. Ponieważ zaś nie wypadalo królownę wydawać za prostego żołnierza; przeto król codziennie oglądał wyższe promocyje dla niego, nareszcie zrobił go generałem i zawezwał do siebie, żeby się żenił z jego córką. Lecz ona w żaden sposób tego uczynić niechciała. Król rozgniewany, kazał jej głowę uciąć, ale córka przebłagała ojca, który pod tym jednym warunkiem darował mu życie, jeżeli przyniesie wodę prędej od baby, która zwykle za sto mil nim się obiad skończył, wodę do stołu przynosiła.

Lubo z wielkim smutkiem, jednak przyjęła ten warunek dla uratowania życia swego. Idzie tedy i widzi, że człowiek przykłada noha do ziemi. Co ty robisz? zapytała go.

Ja słucham, co się o sto mil dzieje.

Czy nieposzedłby ty do mnie na służbę?

Dlaczegoż nie i przystał do niej.

Idą dalej i widzą, że człowiek mierzy do kogoś strzelbę. Co ty robisz?

Ja chcę zabić kaczora na stawie, który jest o sto mil ztąd oddalony.

A czy nie poszedłby ty do mnie na służbę?

Bardzo dobrze.

Idą dalej, i widzą, jak człowiek styrtę siana w nos w pycha, już jedną styrtę wepchał do jednego nozdrza, drugą zaczynał wpychać do drugiego nozdrza. Co ty robisz?

Ja wiatr jestem, zatykam sobie dziury w nosie, bo bym wszystko co jest około mnie na sto mil rozwiął.

Czy nie służyłby ty u mnie?

Czemu nie i stanął na służbę.

Idą teby dalej i widzą, że człowiek pod mostem jé błoto.

Co ty robisz?

Ja jestem żarłok, zapycham sobie gębę, gdyż inaczej na sto mil zjadłbym wszystko, co tylko jest do zjedzenia.

Czy stanąłby ty u mnie na służbę?

Czemuż nie i przystał do niej.

Idą dalej i widzą, że człowiek przywiązuje sobie nogi do drzewa.

Co ty robisz?

Ja jestem szybko-nogi, dla tego przywiązuje się do drzewa, gdyż na godzinę sto mil bym ubiegł.

Czy nie służyłby ty u mnie?

Czemu nie, i przyjął służbę.

Idą dalej i widzą, że człowiek niesie cztery okrutne dęby.

Co ty robisz?

Ja jestem siła, niesę sobie te cztery paliczki dla zabawki.

Czy nie służyłby ty u mnie?

Czemu nie i stanął na służbę.

Gdy się taka piękna kompanja zebrała, baba z dzbankiem wyszła po wodę, ale szybkoconogi poleciał po tę wodę także i zaledwie baba pół drogi odbyła, on już z wodą powracał i spać się jeszcze położył na kobylej głowie. Jak spi, tak spi, a tym czasem baba nadeszła i ukradła mu wodę sądząc, że prędzej się wróci i generał zginie. Ale ten, co słuchał dobrze, dowiedział się o tem, strzelec wypalił do kobylej głowy, szybkoconogi przebudził się, odebrał babie dzbanek, a wiatr jak dmuchnie, taj baba aż za sto mil poleciała. Przyniósł tedy generał wodę nim jeszcze sztukę mięsa zjedli, a zatem daleko spieszniej i zręczniejsz sprawił się od baby, która na drugi dzień ledwie przywlekleła się.

Oh! bratku powiada król, jeżeli ty taki zuch, to zjedźże wszystkie zapasy całego magazynu wojskowego, a to jednego dnia, a jeżeli tego niedokążesz, to zginiesz.

Poszła tedy zasmucona do swojej kompanii i oznajmiła wolę królewską. Nieturbuj się powiada Żarłok, dam ja temu radę. Otworzono magazyn, woły dziela na cztery ćwierci, które żarłok jak drobne kluseczki polyka. Mąka i kasza, gdzieś zniknęła. Nim słońce zaszło, już cały magazyn był pochłonięty, a do tego jeszcze dziesięciu żołnierców wlazło się do żołądka żarłoka.

Zdziwiony król zawołał: Wiesz co generale, jeżeli mi całą kasę dworską w jeden worek zabierzesz, to ci daruję pół królestwa, a jeżeli tego nie dokążesz, to łeb stracisz.

Poszła tedy znowu smutna i oznajmiła swej kompanii, na co Siła odezwała się: nie turbuj się, już to ja jakoś temu poradzę, niech no worek uszyją z całej sztuki płótna. Szyją wór, a gdy już był gotowy, pakują złoto, srebro, ale cała kasa zaledwie pół worka zajęła. Siła nie wiele myśląc, wpakował jeszcze kasyera, ze wszystkimi skrzyniami do worka, a wyniosłszy z kasy postawił przed króla, który widząc zwycięstwo generała, darował mu pół królestwa i żeby się żenił dokoniecznie z jego córką. Ale on wtedy objawił królowi, że jest panną i prosił, żeby ją wy-

dał za generała pierwszego jej kochanka, co też król bardzo chętnie uczynił, a oni bardzo długo z sobą żyli i bawili się.

## Głuchy.

Opaliński między innemi gośćmi, miał też u siebie na obiedzie szlachcica bardzo głuchego, którego próbując i pijąc do niego mówi: bodaj cię obwieszono. On rozumiał, że ceremonię jaką do niego czyni, odpowiedział: niegodziemem ja tego, przed innymi Ichmościami, lepiej kolejno.

## Głupcy.

Pewien gospodarz miał syna i córkę już dorosłych. Przyszli do nich ludzie wswaty, aby ich córkę godnemu kawalerowi zasławić. Lecz matka i ojciec wyszli za próg i poczęli radzić: Jakże ta dytyna bude sia nazywaty, szczo nasza Maruni bude maty, jak pide zamuż. Wyszła do nich i córka, a matka zafrasowana powiada: Doniu moja, neszczasływa moja hodyna, jak ty pidesz zamuż, jak sia ta dytyna bude nazywaty, szczo ty budesz maty? Syn mądrzejszy od rodziców, wyszedł także do nich gniewając się: Ale szczo wy robyty, w chati starosty, a wy ich niczem nepryjmajete, nehodytsia czesnym ludiam taku pakość robyty. Ale matka i ojciec do niego się odzywały: neznajesz ty synu, jaksia ta dytyna bude nazywaty, szczo nasza Marunia bude maty, jak pide zamuż? Tfu jaki wy durni, szcze niezoho nema, a wy sia tym żuryty. Pidu w świt i pokienu was, nema szczo z wamy robyty. Jak zdyblu takich durnych w świti, jak wy, to sia wernu do was, a jak rozumniejszych znajdu, to ne pryjdu do was, buwajte sebi zdorowi.

Poszedł tedy w świat nieznany, w świat daleki, a przechodząc przez pewną wieś zobaczył, że baba biła kwokę bardzo. Żal mu było biednej kury, zwłaszcza że piskłeta przy niej skwierczały. A za szczo wy kwoku ubywajéte gazdyni? A czomu suka nechoczy daty cycki kuritam? odpo-

wiedziała baba. A szczo myni dasty, to ja zrobiu, szczo kwoka dasz kuritam cycki. Obiecała mu sto złotych za tę dogodność. Wziął tedy krup nasypał i nalał wody, — kurczęta najadły się i napiły, a kwoka wzięła ich potem pod skrzydła swoje. Babie zdawało się, że ona im daje cycki, podziękowała i zapłaciła za dobrą radę, której na potem pilnie się trzymała.

Idzie dalej, a w drugiej wsi chłop przetakiem chwytta światło i zanosi do chałupy, — nastawia worek ku słońcu i zatula. Dziwną tą robotą zniecierpliwiony zawołał: a co ty robisz człowiecze?

A cóż ciemno u mnie, chwytam światło przetakiem i chciałbym kawałek słońca zarwać, żeby się rozjaśniło cokolwiek w mojej chacie.

A co mi dasz, to ja ci zrobię światła tyle, że już niebędziesz miał potrzeby uganiać się za niem. Obiecał mu sto złotych za tę przysługę. Wziął tedy siekię i wyrąbał mu okna w chacie, przez co zrobiło się tak jasno u chłopca, że z radości prócz nagrody przyrzeczonej, drugich sto złotych dodał.

Już widział babę i chłopca podobnych jego rodzicom, a do tego jeszcze uzbierał 300 złotych, co pod ówczas wielkim było majątkiem, chciał już wracać do domu, ale chęć przysporzenia majątku przemogła w nim i przeciągnął swą wędrówkę szukając głupich ludzi. Wkrótce nadarzyła się sposobność oglądania pięknej osobliwości. W pewnej wiosce wylazł chłop na cerkiew i ciągnął woły za sobą. A co ty robisz człowiecze? zapytał go.

A szczo, mij Tato umerajuczy widkazaw woły na cerkwa bożuju, tiehnu woły do hory, a woły ne chozczut listy na cerkwu.

Ihi durnyj, ta tebe durny pip chrestyw, taj sztany nadtovoja strieś i sebe zhubysz i woły newytiahnesz, sprodaj woły, ta hroszi daj na cerkwu. Usłuchał dragalisko, sprzedał woły, połowę pieniędzy dał za dobrą radę, a połowę na cerkiew.

Ledwie uszedł kilkanaście kroków, a tu baba bije kro-

wę, i napędza żeby na chałupę wylazła. A zaco ty bijesz krowę? zawołał na nią:

A jakże niemam bić krowy, jaka piękna trawa wyrosła, a ona niechce wyleźć na chałupę po tę trawę.

Co mi też dacie, a ja wam to zrobię, że krowa zje tę trawę. Obiecała mu 50 złotych za tę sztukę. Wziął tedy siérp, wylazł na chałupę, narznął tej trawy, rzucił i krowa napasła się do woli. Baba tedy uradowana, że na swoim postawiła, zapłaciła co do grosza wszystko i jeszcze kola-czem obdarzyła pocziwego doradcę.

Idzie on tedy dalej i slyszy jak mąż do żony powiada: Zabyłyśmy teper paciuka, kowbasy budut na rizdwo, solesynna projist' sia czerez symu, a sało schowajem dla zeleneńki. (to jest do wiosny, kiedy wszystko pozielienieje.) Ale baba myślała, że to jest taki człowiek, co się zwie zeleneńki. Pochwyciwszy tę rozmowę nasz podróźny, przebrał się całkiem zielono i przyszedł do baby, kiedy męża w domu nie było.

Skoro go postrzegła, zaraz zapytała się, czy to wy zeleneńki? Ja to zeleneńki odpowiedział zapytany. Wozmit że sobi sało, kotore mij czołownik widkazaw dla zeleneńko-ho. Wziął tedy sadło, a mąż powróciwszy do domu wytłukł dobrze żonę, że zeleneńkoho potraktowała sadłem.

Nabrawszy tyle korzyści ów Doświadczyński poczał sam z sobą rozmawiać przez drogę. Zdawało mi się, że tylko moi rodzice są nieroztropni, a tu co krok, to dureń, dobrze to powiadają, że durniów ani sieją, ani orzą, sami się rodzą. Ale może to tylko naszej wiary są tacy, może żydzi przecie mądrzejsi, muszę ich jeszcze doświadczyć. I wstąpił w pewnem mieście do goapody, w której żydówka była szynkarka. Zaraz na samym wstępie zapytała go. A widki wy Iwane?

Ja wid Buha, (od Bugu rzeki) odpowiedział jej Iwasio pocziwy.

Żydówka sądząc, że on od Boga, z tamtego świata zaczęła się wypytywać. A szczo tam czuwały, szczo tam mij taty i mamy robiat?

Pomiarkowawszy, że trafił na swego, począł jej opowiadać niestworzone rzeczy o ich nędznym stanie, jak oni muszą, tam pracować, drzewo nosić na plecach, i tym podobnie, a po każdym wyliczeniu pracy, dodawał: „duże bidujut.“

Żydówka rozplakala się nad nędzą swoich rodziców i prosiła Iwana, żeby wziął pieniądze, konia i wózek dla nich, żeby już tak nie bidowali.

Iwasio uszczęśliwiony, założył konia do wózka i zwinawszy pieniądze do worka, poczwałował do domu z tem przekonaniem, że daleko głępsi od jego rodziców znajdują się ludzie na świecie. W przejeździe zdybał jeszcze żyda, który miał dużo pieniędzy przy sobie i prosił bardzo, żeby go wziął na wózek do blizkiej wioski. Wziął go na wózek i skoro wyjechali na pole, żyd obaczył zdaleka, jak owczarz pędził przed sobą trzodę owiec macedońskich, a jemu zdawało się że to jakie wojsko i zapytał: Czujesz Iwane, skaży myni szczo to takoho?

To Moskali idut odezwał się Iwaś niby sam przestraszony.

Śmiertelne poty wystąpiły na żyda. Czujesz ty Iwanuku, woźmy ty brosi i schowaj mene w miszok, a jak przydut Moskali, to skaży im, szczo ty szkło wezesz.

Tego mu właśnie było potrzeba. Wziął pieniądze, zawiązał dobrze worek z żydem! i skoro tylko parę set kroków ujechał, zmieniając głos zawołał: Pastoj sukin syn, szczo wezesz?

Ej pane! ja bidny, szkło wezu.

Pasmotri da é to szkło i pociągnął żyda tęgim bucziem, a żyd zawołał: dzień, dzień, dzień. — (3).

Charaszo da é to szkło: — Pasmotri drugoj raz, da é to szkło, znowu żyda pociągnął bucziem, a żyd znowu zawołał: dzień, dzień, dzień. Ale trzeci raz jak go palnął po łbie,

---

(3). Nowosielski Antoni Lud Ukraiński Wilno 1857 T. II. str. 217. przytaczając bajki o żydach bojących się wilków, powiada o żydzie, którego furman udając rozbójników bił tylko, a on wołał dzień, dzień, dzień.



żyd już ani dziękował. Wyrzucił tedy żyda między łopuchy, a sam zaciąwszy konika, do domu przyjechał. —

Serdecznie powitał swoich rodziców i rozpoczął gospodarstwo na wielką stopę, ludzie bardzo się dziwowali, z kąd on przyszedł do takiego majątku, osobliwie sąsiad jego mocno mu dokuczał, żeby mu wykrył tajemnicę swego zubożenia się. Otóż aby go się pozbyć, poradził mu, żeby nagotował w ogromnych garnkach kaszy rzadkiej i zkipiątkiem jeszcze wraz z żoną udał się do miasta, gdzie za to wiele pieniędzy nabierają.

Usłuchał sąsiad tej rady, nagotował moc krupniku i wraz z żoną wzięli duże garnki tej kaszy na plecy. A gdy już mieli wychodzić z domu, Iwasio cichaczem pcdrzucił im na drogę, którędy iść mieli dwa srebrne szóstaki. Idą tedy pełni nadziei marząc o przyszłych swoich dostatkach, a tu na drodze widzą szóstaki srebrne, z największą tedy radością zawołali: będzie szczęście i schylili się po te szóstaki, a kasza wylała się im na głowy i okrutnie ich poparzyła i musieli oboje zginać marnie, a Iwasio pozbywszy się zazdrośnych sąsiadów, często bardzo powtarzał po rusku: *Durniw ne sijat, ne orut, samy sia rodiat.*

## Gospodyni.

Był proboszcz bardzo skąpy, posiadał tłuste Beneficium, lecz nikomu grosza złamanego dać niechciał. Książek nigdy nieczytał, a nawet w wielkiej nienawiści miał tych, którzy książki pisali. Parafianom swoim plół ostatnie duby, gdyż nawet niewiedział, czy istnieli jacy Ojcowie święci, słowem powiedziawszy, był to ideał sknérstwa i głupoty. Miał on też Wikarego lubo młodego, jednak w skapatwie arcy wybornego mistrza, istny worek nienasycony. Najgorzej przy nich wychodził Organista, gdyż prócz tego, że mu mało co dawali, jeszcze gębę sobie haniebnie pokrzywił z tego powodu, że kiepskie były organy w kościele. Proboszcz dostrzegłszy w prawdzie na nich jakieś herby rycerskie, narobił dużo hałasów po gazetach i cały świat zawezwał do

składki w celu restauracyi pomników narodowych. Lecz ludzie rozumni nie lali wody do studni, wiedząc o tem bardzo dobrze, że fundatorowie nie dlatego fundusze porobili, żeby proboszcz wszystko w swój kaldon pchał, ale żeby też pamiętał o zabytkach narodowych, z których łaski panoszył się. — Otoż ponieważ nikt nic nie dał; przeto dudy zostały dudami, a gdy piszczalki odpowiadać niechciały; Organista świstać, huczeć, krząkać i dmuchać był przymuszony. I tak n. p. kiedy ksiądz zaspiewał: Dominus vobiscum, to Organista odpowiadał: Et cum fu! fu! spiritu tuo wo, wo, wo, hou, hou, hou; fu, fu, fu, z czego też gęba mu się tak wykręciła.

Razu pewnego zginęło prosie proboszczowi. Niestychany w domu powstał rwetes, wszystko było na nogach i szukało, gdyż u skąpcy prosie więcej znaczyło, niżeli duszy zbawienie. Lecz niestety wszelkie poszukiwania były nadaremne, drogiego prosięcia nigdzie nie było. A ponieważ skąpcy nikomu nie wierząc zwykli są podejrzliwi, począł też i proboszczunio posądzać swego Organistę, którego krzywdził w dochodach, ażali nie bawi on się przemysłem, czy nieuchwycił on jemu jego ulubione prosie. Lecz jak tu dojść tego, rada w radę, postanowił swoją gospodynię w wielkiej skrzyni wyprawić do Organisty, czyby się kradzież jakim sposobem niewydała. Jak pomyślał, tak też zrobił. W sadzili oba z Wikarym gosposię do skrzyni i uprosili Organistę, żeby u niego cokolwiek postąpiła ta skrzynia, póki nieznajdzie się dlań miejsce na plebanii. Stała skrzynia spokojnie od rana aż do obiadu, przy którym dzieci zaczęły rozprawiać o owym prosięciu księdza proboszcza, jakie było tłuste, jakie smaczne, przyczem też obławiały swoje życzenia, żeby można jeszcze drugie podobnym sposobem z konsumować. A bodajście niedoczekwały tego, a bodajście popeękały szelmy! zaczęło z skrzynki wydziwiał i wołać. Organista niewiele myśląc siekierą odważył wieko, a zobaczywszy w skrzyni gospodynię księdza proboszcza, ostatnią sekutnicę, dał jej kilka razy po łbie obuszkiem i zabił tę czarownicę. Ażeby zaś, niewydało się zabójstwo, wsadził jej kawałek piéro-

ga w gębę, że niby udławił się babszel i wieko skrzyni nazad zamknął.

Na drugi dzień proboszczunio ciekawy posłała po skrzynię, razem z Wikarym otwiera i patrzy z przerażeniem, że babszel jego udławił się pierogiem. Coż tu teraz robić? zawołali oba z podziwu srogiego. Tu niema innej rady, powiada proboszcz, jeno trzeba zawołać organistę, żeby on ten interes na siebie wziął. Na takie wezwanie stawia się Organista. Panie Zerefecki odzywa się proboszcz, wielkie nieszczęście stało się, moja gospodyni nagle dziś umarła.

Jak to? sine crux, sine lux et sine comedere Deus, a wszakże ja jej wczoraj już niewidziałem, hanu kiedy nagle umarła, to trzebaby do sądu dać znać.

Ale Panie Zerefecki, ja niechęć tych ambarasów mieć, weź ty na siebie to wszystko.

A mnie co do tego, jeszcze powiedzą, że ja ją zabił, a mnie na co tego kłopotu?

Ale panie Zerefecki, zrób to dla mnie, już ci o dwa krajcary podwyższę pensyi rocznie, a Wikary poczęstował go tabaczką wyżebraną od dziadka kościelnego.

Organista poznawszy widoczne zakłopotanie obu, wsiadł na nich z większą odwagą. Róbcie sobie, co chcecie, kiedyście zamęczyli gospodynię, ja się do tego mieszać nie będę.

Ale zmiłuj się panie Zerefecki, weź to na siebie, co chcesz to ci dam.

Pomiarkowawszy Organista, że można dobrze udrżyć proboszczunia, powiada, jeżeli mi dacie 200 guldenów, to wezmę ten interes na siebie, jeżeli zaś nie dacie, to pójdę i będę głośił, żeście udusili gospodynię.

Jezus Marya! zawołał proboszcz, czy ty oszalał, żądać odemnie takiej sumy, aż mdłości na mnie uderzyły. A mnie frébra trzęsie powtórzył Wikary, któremu także nic dobrego z ócz niepatrzało.

Daj Boże, żeby ja miał tyle pieniędzy powiada Organista. Na Michałową także mdłości były, gdy musiała ostatnią krowę sprzedać, aby miała za co męża pochować. A gą-

lony złote, kto poodpruwał z ornatów? he! kto złupił grobowce królewiczów? he! Medaliki, krzyże, pierścienie i pasy lite, kto pobrał z grobów fundatorów? he! ani krajcara nieustąpię od dwiestu guldenów i pójdę na ulicę i będę na całe gardło wrzeszczał, żeście zamęczyli gospodynię. I wyleciał jak oparzony na ulicę, a za nim Wikary w grubej a brudnej koszuli, za nim zaś proborszcz w polatanej kapocie, uchwycili go za poly i ciągną go nazad do plebanii. Ale Fesiu, chodź no do nas, masz pieniądze, czego chcesz od nas. Organista niby się ociągał i groził, że krzyknie. Z ciężką biedą wciągnęli go na plebanję, wyliczyli z płaczem 200 guldenów i skrzynkę z babą znowu odniesiono do Organisty.

Żona jego przełękła się bardzo, ale on jej pokazując pieniądze mówi: patrzaj no się, co tu guldenów, a jeszcze ich będzie więcej, zapłaci mi jeszcze tkacz i garbarz dobrze, widzisz no go teraz nosy zadzierają, ale nauczę ja ich, będą się nisko kłaniać przed panem Zerefeckim. Jak postanowił, tak też zrobił. Wieczór poniósł babę do ogrodu tkacza i wsadził między mak. Tkacz widzi przez okno, że ktoś mak kradnie, wybiegł z laską i palnął babę po głowie, że aż się przewróciła. Przy świetle księżyca poznaje, że gospodynię księdza proboszcza zabił. W największej tedy trwodze biegnie do Organisty, a płacząc i narzekając opowiada mu swoje nieszczęście.

Toście sobie posłali powiada Organista, teraz będziecie dyndali.

Ej zmiłuj się panie Zerefecki, zrób to jakoś, ja ci dobrze zapłacę.

A dacie mi sto guldenów i dwa pół setki płótna? pyta Organista.

Dam co chcesz, woła tkacz zakłopotany, tylko mię uwolnij od tej biedy.

Bierze Organista babę, pieniądze i płótno, a nad rankiem posadził ją przed strzechą garbarza, gdzie skóry wisiały. Garbarz z okna postrzegł, że ktoś skóry kradnie, wylatuje z pałką i tarach po głowie, zabił babę. Ale patrzy

i poznaje, że to gospodyni x. proboszcza, leci tedy co temu do Organisty. Ej zmiłuj się panie Zerefecki, ja zabił gospodynię x. proboszcza.

A toście sobie posłali, zawołał Organista, teraz będziecie dyndali.

Ej zmiłuj się, ratuj mię, dam ci cztery pary butów i sto guldenów.

Organista bierze buty, pieniądze i babę w dodatku. Przez cały dzień myślał, co tu robić z babsztelem, nareszcie bierze babę do worka i niesie w las. Ale tam byli złodzieje i spali pod drzewem, zakrada się on do nich, bierze im worek, w którym były dwa polcie słoniny, a babsztela w worku im zostawia, sam zaś biegnie do wsi i zwołuje ludzi, żeby mu pomogli złodziejów polapać. Biegną tedy ludziska jak gdyby na złamanie karku, otaczają rabusiów, którzy ze snu ocknąwszy się, uciekają co mogą wyskoczyć, czapki pogubiwszy. Pozbierali ludzie czapki i worek znaleźli, w którym była gospodyni x. proboszcza, i zaraz ogłosili, że zbóje okradli x. proboszcza i gospodynię mu zabili. Byli nato świadkowie, jasna tedy była rzecz jak na dłoni. X. Proboszcz legalnie pochował swoją gospodynię, tylko kiedyś, niekiedyś nienawistne oko rzucał na pana Zerefeckiego.

## Groch.

Zygmunt III. król polski najlepszy bankiet, kiedy był bez grochu, zwał śniadaniem. Gdy go Torunianie bardzo kosztownymi częstowali bankietami, przez kilka dni zawsze im za śniadanie dziękował. Przestrzeżeni na mniej kosztownym bankiecie dali groch, który król smacznie zjadłszy, za obiad podziękował.

Tenże gdy sobie grał w pokoju, przed pokojem tańcował młody starosta, co król postrzegłszy rzecze: Panie bracie, nie darmośmy wam grali, trzeba nam zapłacić i wziął mu starostwo.

---

## Św. Grzegorz.

Dwoje kochanków milując się bardzo, żyło sobie szczęśliwie, gdyż przy zamożności na niczem brakować im nie mogło. Lecz w chwili gdy cieszyć się mieli pierwszym owocem swej miłości, dowiedzieli się z przerażeniem, że ich związek był zbrodniczy, gdyż ona była siostrą, a on jej bratem rodzonym. Porodziła tedy siostra nieszczęśliwa synaczka, którego ochrzciwszy, dali mu na imię Grzegorz, przywiązali do szyi kartkę z opisaniem tego wypadku, a włożywszy w sitowie, puścili go na morze, sami zaś udali się na puszczę, by za grzechy pokutować.

Przechadzała się na brzegu morskim królowna i spostrzegła sitowie ku niej płynące, z którego śliczne pacholátko rączki do niej wyciągało. Kazala rybakom wydobyć dziecię, a przeczytawszy kartkę, zlitowała się nad opuszczoną sierotą i przyjęła za swoje. Rósł chłopaczek w lata, używał królownę matką i do nauk wielce się przykładał.

Jednego razu, dworzanin młody wygadał mu wszystko, że królowna nie jest jego matką, że jego rodzice, brat i siostra, gdzieś daleko na puszczy pokutują, a może już poginęli. Ta wiadomość tak go przeraziła, że postanowił opuścić dwór i udać się na pokutę za grzech swoich rodziców. Wiedząc zaś o tem, że królowna mocno go kochała, i niebyłaby w żaden sposób zezwoliła na jego przedsięwzięcie; po kryjomu namówił owego dworzanina, ażeby go gdzie w świat daleki odprowadził. Idą tedy razem i przychodzą do jakiegoś zameczyska starego, który bardzo podobał się Grzegorzowi. Oto tu zostanę, zamknij mię towarzyszu mój, a klucz rzuć do morza.

Zrobił tak dworzanin, jak go prosił Grzegorz i opuścił tę bezludną pustynię. Odtąd bardzo wiele lat minęło, gdy w pewnem mieście z powodu wyboru nowego biskupa wielkie powstały zatargi. Gdy żadną miarą zgodzić się niemogli, postanowili do wyższej pomocy pukać, aby ich natchnąć raczyła. Jakoż gdy się wszyscy modlili, usłyszeli głos z nieba: „Szukajcie Grzegorza pustelnika, ten będzie biskupem wa-

szym.“ Nikt nie słyszał o Grzegorz pustelniku, ale był wtedy w kościele staruszek, który opowiadał, że młodym będąc, zamknął Grzegorza dworzanina i klucz rzucił do morza. Wszysey zgodzili się nato, że to ten sam musi być Grzegorz, którego Bóg na biskupa przeznacza i prosili owego starca, żeby ich na to miejsce zaprowadził. Idą tedy wszyscy kilkanaście mil i stanęli wreszcie obok spustoszonego zamczyśka. Lecz nie było czem otworzyć. Przypadkiem ułowili rybacy w morzu rybę, którą rozplatawszy, znaleźli klucz od tego zamczyśka. Starzec poznał ten klucz i uradowany przystąpił do otwierania drzwi zamku. Otworzył, a poważny starzec klęczał i modlił się z wzniesionými do góry rękami. Niemiał na sobie odzienia, jeno włosy i broda okrywała resztę ciała. Przed zamkiem lud woła: Grzegorzu wyniǳ, a bądź biskupem naszym. Starsi z ludu wkładają nań szaty biskupie, a przyodziany starzec wyszedł, by zadosyć uczynić woli Najwyższego, który go do tej godności powoływał. Sprawował ten urząd z wielką chwałą i pożytkiem ludu sobie powierzonego. 4)

## Helena.

Caryca Helena jakimiś tajemnemi sztukami, wesz do

---

4) Wojeicki Klechdy starożytné, podania i powieści ludowe, wydanie drugie, Warszawa 1851) T. II. str. 61 powiada, że siostra pod ziemię poszła, gdy się chciał znię brat żenić, na str. 141 przytacza pieśń, w której małżeństwo brata z siostrą wyjawia się. Oto ostatni ustęp tej pieśni:

Bodaj maty propała  
Sestru z bratом zwinczała  
Oj ty sestro taj bud,  
A ja idu w Bođu put;  
Czerezykiw szukaty  
Hrychiw spowidate.

Nowosielski Lud ukraiński Wilno 1857 T. II. str. 149. wspomina, że brat i siostra niewiedząc o swem pokrewieństwie pobrali się. Potem dowiedziawszy się o tem oddali się rozpaczy, Bóg przemienił ich w Bratki, gdzie w kwiecie dwubarwnym wiecznie z sobą połączyli się. Czeczot napisał o tem Balladę.

wielkości wieprza wykarmiła i w wielkiej szklanej bani trzymała. Przyczem też ogłosiła, że kto zgadnie co to za zwierze, temu razem z państwem swoim odda swoją rękę. Każdy zaś, któryby niezgadł i niepoznał śmiercią karany będzie. Mnóstwo młodzieży i pięknością Carycy i żądzą panowania ujętej, próbowało szczęścia, lecz żaden tego zgadnąć nie mógł, wszyscy też śmiercią ukarani zostali. Nareszcie pojawił się solodowy (parszywy) Buniak istny potwór, którego oczy kaprawe takie miały powieki, że dwóch ludzi widłami one podnosiło, jeżeli co widzieć chciał, a wtedy wszystko i wszędzie na sto mil widział. Przyszedszy do Carycy Heleny, a kazawszy sobie ślipie podnieść widłami, obaczył zwierze w bani szklanej i rzekł: owo szczo za dywo? taż to wosz!

Przerażona Caryca, że takiego brzydkiego człowieka mężem swoim mianować miała, z ludźmi uciekła, zostawiwszy mu państwo w dowolne jego panowanie. Ale Buniak kazawszy sobie ślipie podnieść, zobaczył, gdzie ona się kryje i pogonił za nią pędem wiatru, gdyż bardziej Carycy, niżeli państwa pragnął. Caryca zaś uciekająca, kazała za sobą sypać wielkie góry, które Buniak lubo z trudnością, jednak przekraczał. Przeto wszystkie te góry, które od Lwowa aż do Kijowa jednym prawie pasmem ciągną się, Caryca Helena przeciwko Buniakowi sypała. Nareszcie stanąwszy w Podhorcach, obwarowała się należycie niedaleko miasta Pleśniska. Ciągnął też podówczas królewicz polski z wielkiem wojskiem w celu podbicia jakiego kraju i znalezienia dla siebie małżonki, a dowiedziawszy się o kłopotcie carycy Heleny, przyszedł z wojskiem do Podhorzee, aby stanąć w jej obronie. Caryca bardzo pokochała królewicza i obiecała mu rękę oddać, skoroby zwyciężył srogiego napastnika. Lecz Buniak przyciągnąwszy pod góry podhoreckie i dowiedziawszy się, że tam dla obrony jest królewicz, tak krzyknął, że aż ziemia się zatrzęsła: Ty królewiczu chcesz z wojskiem wiarołomnej bronić i mnie żonę odebrać. Ojciec twój, wysyłając cię w świat z wojskiem, kazał ci prawej drogi trzymać się, jeżeli niezechcesz siebie i wojsko zgubić.



Przestraszona Caryca chciała z królewiczem i wojskiem jego dalej uciekać, ale Buniak czarami ich tak zawikłał, że się z miejsca ruszyć nie mogli, zwłaszcza widząc przed sobą daleko większe niżeli przed tem góry. — A ponieważ Caryca trzymając się królewicza, żadną miarą do Buniaka przyjść niechciała; przeto rozgniewany Buniak zaklął ich oboje temi słowy: Ty Caryco z swoim pałacem, skarbami i ludźmi zapadniesz się, raz tylko do roku na wielkanoc i to na chwilę tylko, ukazesz się na wierzchu ziemi z twoją okazałością i dobytками. Ty zaś królewiczu zapadnij się z całym twojem wojskiem i będziesz tam pokutował. — Gdy zaś Polska zaginie, wtedy co roku robić się będzie do twoich przybytków na wielkanoc otwór, a kto tak szczęśliwym będzie, że na tę chwilę wejdzie do otworu i na twoje zapytanie, czy już czas? odpowie, a jużci czas, stanie się twoim wybawicielem, wtedy wyjdiesz z wojskiem i odbijesz od wrogów królestwo twoje. To wyrzekłszy, krzyknął Buniak, ale tak przeraźliwie, że ziemia i góry zatrzęśły się, a pałac z Carycą, z ludźmi, skarbami, królewiczem i wojskiem jego zapadł się. 5)

W samej istocie co roku na wielkanoc, pałac ten przepyszny na chwilę występuje z ziemi, ale tylko godny u Boga

---

5) Lucjan Siemiński Podania i Legendy polskie, ruskie i litewskie. Poznań 1854. na str. 38 powiada: W okolicach Zbórowa na Podolu pokazuje lud ciągnący się przerwami wał, nazywany wałem Ołgi. Księżniczka ta uciekając przed Batym wodzem Tatarów, przemieniła się w mysz i szła pod ziemią i wszędzie gdzie nurtowała, wysypał się taki wał. Bezpieczne schronienie znalazła dopiero na Horodyszczu zwanym Pleśnisko w pobliżu Podhorzec, gdzie zamknąwszy się w Grodzie, dała odpór hordom tatarskim. Na tem miejscu widać dziś kilkadziesiąt mogił, a w pobliżu stoi monasterek Xięży Bazylianów. — Niewiele tu światła, gdyż p. Siemiński nie starał się o to, by rzecz wyjaśnić. Wszystkie swoje podania i legendy wypisał z książek drukowanych, gdyż p. Siemiński należy do rzędu tych pisarzy, którzy cudzą pracą posługują się. To też z największą łatwością przychodzi im pisać o dziejach i grodach Polski, lub układać polsko-lacińskie słowniki. Niech też nikogo niezastanawia, że tacy są Autorami, gdyż lada partacz z kapoty szpencer uszyć potrafi.

te widzieć może. Razu pewnego dwóch małych pastuszków widziało, jak naraz on wystąpił z ziemi. Ciekawością uniesieni, popatrzyli się w otwór, a tam było dużo pieniędzy, na których panicz jak niemieczyk ubrany siedział. Chłopiec bogacza z figlów, drugiego chłopczyka ubogiego sąsiada czapkę do tego lochu rzucił. Biedny chłopczyzna w płacz, ta mnie ojciec zabije, gdy powrócę bez czapki. Rozpacz przemogła strach i chłopiec wskoczył do tego lochu w celu wydobycia swojej czapki, w którą ów panicz nasypał mu pełno dukatów, pomógł mu wydostać się z lochu, poczem pałac natychmiast zniknął. Opowiadał chłopiec ten wypadek bogaczowi ojcu, od którego był ponczony, aby na drugi rok, gdy to widzenie zobaczy, naumyślnie swoją czapkę do lochu rzucił, po nią włożył i z taką ilością dukatów do niego powrócił, jak synek jego sąsiada. Na drugi rok, chłopcy znowu to widzenie mieli. Chłopiec bogacza, uczynił podług rozkazu ojca, lecz go panicz ndusił, oknem wyrzucił, a czapkę dukatami napełnioną ubogiemu dał chłopcu, żeby dał matce, której ojciec z przeszłorocznych pieniędzy nie niechęciał dać na urządzenie domu. Tak tedy bogacz straciwszy jedno dziecko, umarł z utrapienia, a ubogi został wielkim bogaczem, i zawsze za Carycę Helenę najmuje mszy i parastasy, daje jałmużnę ubogim, a niezadługo skończy się jej pokuta. 6.)

6) Siemieński Podania i Legendy polskie, ruskie i litewskie Poznań 1845 dzieło z książek wypisane na str. 70 powiada: W pobliżu Gnieźna, są dwa szance, czyli okopy, jeden z nich nazywa się Gniezniczkiem. Jeden z pastuchów sierota upuścił raz czapkę, aż w samą głębię rozpadliny i płakał, że samego skrusił biesa, który tam przesiadywał, napełnił czapkę chłopcu tynfami i wyrzucił na wierzch. Później inni bogatsi pastuchy rzucali swoje czapki, ale bies napełniał je kamyczkami, suchym liściem etc. — Z podobną baśnią wszędzie zdybać się można, do każdej niemal wyżyny, przywiązane jest podanie o skarbach tamte ukrytych. — Razu pewnego student przechadzający się po wysokim zamku we Lwowie postrzegł znaczny otwór do jaskini, której pierwiej tam nie było. Z ciekawości wszedł do tej jaskini, gdzie było dużo światła, widział tam skrzynie żelazne złotem napełnione, a gdy wyszedł z tamtąd, aby dać znać ludziom zaraz wszystko się zamknęło na powrót i już więcej niemógł trafić do tej jaskini. — W Petrylowie są okopy, na górze była mogiła jakiegos rycerza, podobnież marzą tam o skar-

Raz na wielkanoc czerniec staruszek (Bazylian) pō śniadaniu święconem, wyszedł z monasteru podhoreckiego na spacer. Lecz zaledwie kilka kroków zrobił, patrzy jakiś otwór ukazał się w górze, czego tam nigdy przedtem nie było. Wchodzi do tej jaskini, a tam same rycerstwo w zbroi żelaznej na koniach siedzi. Na przodzie stojący w świetnej, a złotej zbroi, porwał bęben i zapytał Bazyliana, czy można uderzyć, czy już czas? Ale Bazylian przelękniony uciekając krzyknął: nie czas! Zaraz za nim ziemia się zamknęła, a królewicz z wojskiem tam czekać będzie do pōty, pōki jaki szczęśliwy u Boga człowiek nie trafi na czas otworu, a niezastraszywszy się odpowie na pytanie: już czas! Wtedy wyjdzie królewicz z wojskiem, odbije Polskę, a tego, co go wybawi, postanowi królem, lub królową, podług tego, czy to będzie mężczyzna, lub kobięta. Lecz cała donosność tej sprawy na tem zasada się, żeby się niezastraszać, jak Bazylian, który wiedział dobrze i chciał powiedzieć: już czas, ale w przestrachu rzekł: nie czas jeszcze, i kto wię jak dlugo jeszcze tam siedzięć będzie ten królewicz. 7)

bach ukrytych. Zadarów mianują osadą rzymską, woda razu pewnego wymuliła bardzo duzo pieniędzy srebrnych rzymskich: „Iwan hołowki“ zwanych, byly tam i naczynia gliniane, lecz tak potluczone, że niemożna było w całość złożyć. Horodyszcze koło Tyśmienicy, ma zawierać wielkie skarby, które mielnik chciał wydobyć i umarł dlatego, że pomyślał o tem skarbie. W Kuttach w górze Owidyusza, czy też Duwida żyda, mają być skarby, urzędnik pewny ciągle tam kopał, że aż dostał pomieszanie zmysłów.

7) O księżniczce Helenie mało co wiemy z historii. Powiadają, że była córką Wszewołoda księcia kijowskiego, że za czasów Bathgo wodza Tatarów uszła z Kijowa do Pleńska, stawiała czoło licznemu pogaństwu i monaster Bazylianów w Podhorcach założyła w roku 1180, gdzie też obraz olejny przedstawiający księżniczkę Helenę gromiącą tatarskie zastępy, widzieć można. Według jednych miała odnieść znakomite zwycięstwo, według drugich legła na polu sławy, po zburzeniu Pleńska. — Co do Buniaka także niemamy pewnej wiadomości. Powiadają, że to był wódz i xiążę Połowców w pierwszej połowie 12 wieku między 1118 a 1140 rokiem. Mięszal się w wojny domowe xiążąt ruskich. Xięcin Władymirkowi Halickiemu i Przemyskiemu pomagał w jego wybiciu się z pod władzy wielkiego Xięcia kijowskiego Izaśława II., którego razem z królem węgierskim podobno Gażją pod

## Hreczuszki.

Chłopiec kradł węgle Alchemikowi i nosił babom na targu siedzącym, za co mu też one dawały hreczuszki na śniadanie. Postrzegłszy to Alchymista, wywiercił dziury w węglach i takowe prochem nappełnił. A gdy chłopiec niewiedząc o tem, przysługę babom czynił, wszystkie za rozpaleniem się węgla, strachu, bólu i szkody nabawił, za co też dobrze kijem otrzepany nie dostał więcej hreczuszków.

## Jaga.

Gospodarz miał kłótniawą i złośliwą żonę Jagę, której nigdy gęba nie zamykała się, wiecznie z mężem kłóciła się, a nawet jeżeli spała, co bardzo krótko trwało, gębą ruszała i zębami kłamała. Nieszczęśliwemu, acz wielce cierpliwemu małżonkowi nareszcie oierpliwości już nie stało, postanowił tedy pozbyć się domowej biedy. Udało mu się przecie żonę w las na grzybobranie, a potem dla odpoczynku na skałę wyprowadzić, która z jednej strony gładko do lasu przypierała, ale z drugiej strony za to, sterczała nad wielką przepaścią w której wielkie było topielisko. — Żona usiadłszy na krawędzi skały, swoim obyczajem z mężem kłócąc się, na-

---

Przemysłem na głowę pobił. W Czernicy pod Brodyma jest zabytek jakiegoś rowu, ciągnącego się od granicy rossyjskiej przez Ponikwę, lud zowie go: „Buniakiw szlak“. — Wagilewicz, Berda w Uryczu umieszczone w Bibliotece naukowego zakładu Ossolińskich. Tom VI. 1849 str. 163. powiada: Kiedy Tatarzy zalawszy księstwo halicko-włodzimirskie na ich czele ów straszny Szeludywy Buniak pół-demon z parchami, szeludami na głowie powiekami długimi spływającymi do ziemi, które czeladź na rozkaz podejmuje złotemi widłami i z brzuchem otwartym. str. 166: Tatary w pierwszym groźnem wystąpieniu na Ruś, pod wodzą, Szeludowego Buniaka puł-demon! jest to jedna osoba z Batorychanem. Józefowicz kronika miasta Lwowa. Lwów 1854. str. 268 powiada: Inni Bolesława Chrobrego najbitniejszego w owych stronach króla polskiego pod sołodywym Buniakiem być rozumieją. — Może ta mistyfikacya wcale jest niepotrzebną, gdyż imię Buniaka w różnych epokach pojawia się, a nawet są rodziny na Rusi Buniakami zwane.

reszcie usnęła. Wtedy mąż korzystając z chwili, pchnął ją w przepaść, gdzie też wody pochłonęły babę nieznośną.

Po niejakiem czasie idzie gospodarz lasem i zdybuje, Duch święty przy nas; diabła, ale tak skulonego i znędniałego, że aż przykro było nań patrzeć. Bodaj cię licha wzięło gospodarzu co ty mi narobił, powiada diabeł utrapiony, tak mi dobrze i swobodnie było siedzieć w owej bajurze pod skałą, lecz jak mnie swoją Jagę nasłateś, przepadł mój spokój, uciekać musiałem przed kłótliwą, a złośliwą babą. Oho! pomyślał sobie gospodarz, jeżeli sam diabeł nie mógł nic poradzić z moją żoną, jakież nieskończone dzięki należą się panu Bogu za to, że się tego czarta pozbył z domu. — Ale w kilka miesięcy rozeszła się pogłoska, że diabeł pana opanował, że tam byli łacinscy i ruscy księża świeccy i mnichy obojga obrządków, lecz wszystkie modlitwy, zaklinalnia i kropienia wodą święconą były bez skuteczne, gdyż diabeł rękami i nogami uczepiwszy się pana niechciał go porzucić. Idzie gospodarz do tej wsi i powiada, że tego diabła wykurzy z dworu. Każę sprowadzać muzykę. Już skrzypce, basy, cymbały i bębny huczą, da! dum! da! dum! ba! bum! ba! bum, hej budem hulaty, woła tłuszcza towarzysząca muzyce, diabeł pyta co to takiego. Nareszcie w pada ów gospodarz do pokoju, jak krzyknie do ucha panu: Jaga ide, tak diabeł czempredzej w nogi. 8)

---

8) Lucian Siemieński. Wieczornice, powiastki, charaktery, życiorysy i podróże T. III. Wilno 1854 str. 118. Diabeł w Krakowie powiada: Signor Provano diabeł z piekła żeni się z córką bogatego kupca w Krakowie, traci majątek, uchodzi do Grzeška, któremu obiecuje wielkie skarby, — wiazi w Wojewodzinę, potem w królowę Bonę, nareszcie w córkę Elektora rzeszy, z której za pomocą muzyki i wywołaniem żony diabła Agnieszki wypędza go sielanin Grzeško. Jest to prosta bajka o Jadze ruskiej, którą pan Siemieński niewiedząc dla czego przeniósł do Krakowa w strojach tak jaskrawych. Dziwna tu miessanina: zdań przewrotnych widocznie przebija się. Już to całe dzieło pana Siemieńskiego Wieczornice, powiastki, pisane jest na drwiny czytającej publiczności. — Trzeba być zupełnie pozbawionym gustu, żeby w tych jego ramotach zasmakować można. Stosowniejszy byłby tytuł: Ciemnice, plotki, brudy etc.

## Jakały.

Pewny pan posłał sługę zająkającego się, w celu powinszowania świąt drugiemu dla uciechy. Ten zaś zdobywszy gdzieś podobnego posłał także do onego, żeby mu podziękował i oddał wet za wet.

## Jarmark.

Pędził chłop swinię na jarmark, za nim na bryczce siedzący pan pospieszał, któremu zdaleka świnia się podobala. Targ w targ, zgodził się za sześć talarów. Ale myśląc sobie, chłop głupi nierozumi się na talarach, niedam mu wszystkiego i wyliczył mu tylko trzy talary. Chłop wziął trzy talary nie mówiąc, jednak potajemnie zaprzysiął trzy razy bić pana za szachrajstwo. Jakoż upatrzawszy sposobność ku temu dobrą, kiedy ten pan przez las jechał, zaczął się za drzewem, a chłopca swego wysłał na konin, żeby przed bryczką wołał: Dąb nie brzoza, świnia nie koza. Chłopiec woła, pana gniewa ta pustota, kazał stanąć woźnicę i pogonić za chłopcem szydzącym. Gdy się woźnica oddalił, chłop z tęgim drączkiem wypada i bije pana na bryczce siedzącego; to za moje talary ciągle powtarzając. Podobnie zrobił drugi raz, ale tak silnie, że pan położyć się musiał do łóżka i posłano po doktora. Chłop przebrał się za doktora i gdy wszyscy wyszli z pokoju, począł trzeci raz bić pana tak straszliwie, że aż duszę pan wyzionął.

## Julia.

Pewna pani miała córkę ładną, lecz na to niezważając, sobą samą się zajmowała. Ciągle siedziała przy zwierciadle wołając: Lustro, lustro, powiedz mi, czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro odpowiadało: Julia twoja córka. Tak ją to rozgniewało, że postanowiła zgubić córkę, aby tylko ona była najładniejszą na świecie. Udała się do czarownicy, żeby

ze świata zgladziła jej córkę. Udarowana czarownica podjęła się tej szatańskiej przysługi. Lecz gdy ujrzała taką piękność, żal się jej zrobiło pięknej panny, nie zabiła ją, jeno ukrywała jakiś czas u siebie. Matka złośliwa kontenta niezmiernie była z tego, że już nie było ładniejszej na świecie. Ale stanąwszy przed zwierciadłem, znowu z ciekawości późnej zawołała: Lustro, lustro! czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro nie umiejące kłamać powiedziało: Julia twoja córka. Rozgniewana pobiegła do czarownicy sztrofując onę, dlaczego nie zgladziła córki. Czarownica rada nie rada, włożyła pannie piękny trzewiczek na nogi, a panna żyć przestała. Niedowierzając czarownicy matka znowu stanęła przed zwierciadłem zapytując się: Lustro, lustro! czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro odpowiedziało że niema. Nuż tedy tryumf wielki pośród niezliczonego tłumu gachów, którymi jak ulegalkami przerzuciła. Ale córce czarownicy podobał się bardzo trzewiczek na pannie zmarłej, a korzystając z niebytności matki, zdjęła ten trzewiczek, lecz skoro zdjęła obuwiu zaczarowane, panna ożyła i precz uciekła.

Przyszła do pałacu, w którym było 12 rozbójników, skryła się przed nimi, jeść im gotowała, sprzątała wszystko, a oni niewiedzieli, kto im taką przysługę czyni. Jeden z nich zaczął się i postrzegł kryjówkę tej panny; oznajmił to wszystkim i wszyscy szalenie się w niej rozkochali. Matka złośliwa, lubo wiedziała, że jej córka już nie żyła, jednak z próżności razu jednego zapytała się: Lustro, lustro! czy jest kto ładniejszy odemnie? Lustro odpowiedziało: Julia córka twoja. Rozgniewana poleciała do czarownicy, która się tym wymawiała, że sama niewiód, gdzie się ona podziła. Dużo dała jej pieniędzy, aby dokoniecznie odszukała córkę i zgubiła. Idzie czarownica przebrana za dziadówkę i przyszła do pałacu, gdzie była Julia, tam prosiła o jałmużnę, którą gdy brała, nieznacznie posypała proszkiem głowę Julii, która w krótkce umarła. Przyszli zbójcy i znaleźszy Julię umarłą, wszyscy rzewnie plakali. Nareszcie gdy ją umyli i wyczesali, Julia ożyła i była wielka radość. Matka pytała się wtedy przy zwierciadle i pocieszającą otrzymała odpo-

wieść. Ale po jakimś czasie, znowu chcąc usłyszeć pechle-  
bne wyznanie lustra, zapytała się: Lustro, lustro! czy jest  
kto piękniejszy odemnie? Lustro odpowiedziało: Julia twoja  
córka. Rozgniewana matka poszła do czarownicy i prosiła,  
żeby dokoniecznie zgubiła córkę. Obdarzona czarownica  
idzie do tego pałacu i rozmawia z Julią, która się żali, że  
ją matka chce zgubić. Radzi jej czarownica, żeby kupiła  
sobie taki pierścień, który broni od wszelakich czarów.  
A jakto wszystkie kobiety lubią pierścienie, wnet wytargo-  
wała pierścień od czarownicy, a skoro go na palec włożyła,  
umarła. Przyszli zbójcy i wielki płacz uczynili nad nią, ubrali  
kosztownie i do złotej trumny włożyli, trumnę zaś wynieśli  
na wysokie drzewo, a sami z wielkiego żalu pozabijali się.

Wyszedł królewicz na polowanie i widzi coś błyszczą-  
cego na drzewie, kazał zdjąć i otworzyć, a tam śliczna pau-  
na umarła leży. Szalenie rozkochał się królewicz w umarłej  
pannie, wziął trumnę do pałacu i codziennie przypatrywał  
się z upodobaniem trupowi. Razu pewnego, gdy nie było  
królewicza w domu, służąca przypatrywała się także pannie  
i zobaczyła śliczny pierścień, który ściągnęła z palca,  
a w tym momencie ożyła panna. Królewicz nie mógł sobie  
miejsca znaleźć z radości, zaraz wyprawił gody weselne, na  
których była także matka Julii, o której już zupełnie zapo-  
mniała. Po uczcie powiada królewicz: Co też zasługuje taka  
matka, która swoją córkę zabijać każe? Matka nieznając  
Julki, sama wyrwawszy się z sądem, rzekła: taką matkę  
przywiązać do ogonów końskich, aby ją w sztuki rozszar-  
pały. Zaraz przyprowadzono cztery bystre ogiery, przywią-  
zano niedobrą matkę i w kawałki rozszarpano. 9)

---

9) Nowosielski Lud ukraiński. Wilno 1857 T. II. str. 245. podobną cokolwiek przytacza bajkę: Zabłąkany królewicz widzi na wysokiej górze coś błyszczącego od promieni zachodzącego słońca, ciekawością zdjęty wchodzi na górę i znajduje tam pod wysokim jaworem szczerem złotem obitą trumnę, a w niej jakby żywą, tak prześliczną, ale martwą księżniczkę, w której się królewicz szalennie kocha — nareszcie żeni się.



## Kłamstwa.

Chłop poganiając szkapy leniwe, przeklinał ciągle: A bodaj tebe di'ko wziaw, pocichu zaś mówił: borone Boże. A bodaj na was choroba wdaryła, — pocichu: borone Boże. i t. p.

Inny chłop życzył sobie śmierci, żeby się już raz bięda jego skończyła. Pewnego razu zarzucając drzewo na plecy wzywał śmierci, która niestety przyszła na jego zawołanie. Chłop zobaczywszy śmierć, znowu począł narzekać. A wszakżeś sam chciał, powiada śmierć. Ja brechawem tak, odzywa się chłop.

## Knabe.

Ubogi młodzieniec podróżował w wielkim niedostatku. Znalazł na drodze skrzyneczkę, na której była mała karteczka z napisem: Knabe. Gdy w głos wymówił to słowo, zjawił się mały chłopak, wołając: Czego żadasz? Jeść odpowiedział młodzieniec. Zaraz był stół nakryty, a na nim najwyborniejsze potrawy się znajdowały. — Pożywił się należycie i pomyślał sobie, kiedy już najadłem się, to mi więcej dać musi i zawołał: Knabe! Czego chcesz? zapytał chłopak. Pieniądzy dużo, karetę, cztery konie, furmana i lokajów w złotej liberyi. Wszystko to było na poczekanie, jak to mówią. Oho! jeżeli on mi tyle dał, pomyślał młodzieniec, to musi on mi zrobić, żebym się z królowną ożenił i zawołał: Knabe! Czego chcesz? zapytał chłopak. Zrób mi żeby królowna rękę mi oddała. Wyjednał mu chłopak dobre przyjęcie u króla, wnet odbyło się huczne wesele i on młodzieniec rokoszował w pałacu. Chłopak musiał mu jeszcze wybudować złoty pałac i innym zachciankom dogadzać.

Razu pewnego zbliżył się do niego chłopak i prosił bardzo, żeby mu tę karteczkę oddał. — Młodzieniec myśli sobie: mam złoty pałac, królownę, pieniędzy moc, jestem sobie panem, na co mi tej karteczki i oddał chłopakowi karteczkę, którą on z wielką radością odebrał. Wnet ukazały

się złe skutki z pozbycia się tego talizmanu. Zniknął pałac złoty, pieniądze rozleciały się, służba rozbiegła się, a młodzieniec zamiast na przepyszném łożu, leżał na barłogu. Król rozgniewany, odebrał córkę i srodze mszcząc się z tej przyczyny, że taki bolysz śmiał pomyśleć o królownie, kazał swego zięcia byłego przywiązać do drzewa i zostawić bez pomocy, żeby marnie zginął.

Wisiał tedy nieszczęśliwy młodzieniec mając jedną rękę do jednego drzewa, a drugą do drugiego drzewa przywiązaną. Gdy mu już tak ginąć przychodziło, spostrzegł zdaleka 12 bryk okrótłych naładowanych podartými trzewikami, a za temi brykami szedł ów chłopak, który odebrał ową karteczkę nieszczęsną, a zbliżywszy się do niego, zawołał szydyczko: Może ci usłużyć, możebyś sobie podjadł? Może ci królowny potrzeba? ha nicponiu, patrz! ile to trzewików podrzeć musiałem, nim tę karteczkę od ciebie odebrałem. Nuż tedy ową karteczką bić po oczach, po nosie, po twarzy. Ale jak to zwykle bywa po śmiechu płacz, chłopak za blisko ust podsunął ową karteczkę, którą młodzieniec bardzo zręcznie zębami pochwycawszy zawołał: Knabe! Chłopak skulony we dwoje poskrobał się jeno w głowę i zapytał: Czego chcesz? Odwiąż mię i dawaj co jeść. Najadł się młodzieniec i zawołał; Knabe! Czego żądasz? zapytał usłużny chłopak. Aby mi tu był nazad pałac złoty, pieniądze, służba i królowna. Wszystko w okamgnieniu stanęło tak, jak było przedtem, a chłopak począł prosić, żeby mu oddał karteczkę. Ale raz oszukany młodzieniec niewierzył już chłopakowi i zaszył karteczkę do woreczka, który przy sobie zawsze nosił i żył szczęśliwie z swoją królowną przez bardzo długie lata.

## Kocigroszek.

Gospodarz miał siedm synów i jedną córkę. Synowie pracowali koło roli i prosili razu pewnego, żeby im siostra jeść wynieśta. A jakże ja do was trafię? pyta siostra. My wyrzemy skibę z domu, aż do miejsca, gdzie będziem orać

i zasiewać, a tak idąc skibą trafisz do nas. Tym czasem diabeł zarzucił ten ślad i wyorał skibę do domu swego. Siostra jeść wyniesła, ale trzymając się skiby, przysła do domu szatana, który ją uchwycił grożąc, jeżeli nie zostanie żoną jego, to ją zabije. Rada nie rada, musiała zostać diabła żoną. Synowie wrócili głodni do domu i zmartwili się bardzo, że im siostra gdzieś przepadła. Idzie najstarszy za siostrą, a trzymając się wyoranej skiby, przyszedł do domu diabła, gdzie była siostra.

Uciekaj ztąd, zawołała siostra, bo cię diabeł zabije. Lecz zaledwie to wyrzekła, już był diabeł w chałupie, napalił ognia dużo pod blachą, uciał bratu łep, a tułow postawił na blachę, spiął i zjadł, żonie rzucił kawałek zioberka, które ona razem z głową schowała. Podobnie stało się ze wszystkiemi braćmi, że wszystkich zrobił sobie diabeł ucztę, a biedna siostra, zioberka i głowy ich starannie zachowała. Ojciec z umartwienia zmarł, pozostała tylko matka w domu, która niechciała iść szukać córki, aby się jej podobnie jak synom nie stało. Raz przyniósł diabeł cokolwiek grochu zelnego i smacznie zajadał, jeden upadł na ziemię i potoczył się aż do domu wdowej matki, która podniosszy takowy zjadła i porodziła syna, którego nazwano: Kocigroszek. Gdy podrośł, był bardzo silny, a matka opowiedziała mu przygodę z synami i córką. O czem dowiedziawszy się Kocigroszek postanowił sprawić się z diabłem o tę krzywdę.

Przybył tedy do domu tego, gdzie była siostra, i oznajmił, że jest bratem jej, a ona bardzo zasmuciła się z tego w przeczuciu, że się i z nim to stanie, co się stało z siedmiu jej braćmi. Ale on pocieszał ją mówiąc: że się nie boi tego, że jest mocniejszy od diabła. Padczas tej rozmowy wszedł diabeł, a on do niego ostro począł przemawiać, że nie przyszedł po to, aby być spieczony i zjedzony, ale po siostrę i swoich braci. Diabeł kazał mu nanosić dużo drzewa, ale on rozniewany rzekł; ja tu nie przyszedłem służyć, przynieś sobie sam drzewo. Diabeł nanosił dosyć drzewa, sądząc że mu się uda zabić Kocigroszka i napalił dobrze pod blachą i kazał mu położyć się na blachę, ale Kocigroszek zbeształ

go okrutnie wołając: ty się kładź na blachę, kiedy chcesz, żeby ci ciepło było, ja sobie za piec polizę i tam się wyspię. Jak mówił, tak też zrobił. Nazajutrz powiada do niego diabeł, chodź ze mną spróbować się kto z nas mocniejszy? Poszli też obydwa na błoto, gdzie diabeł rzucił Kocigroszka w błoto. Ale zaledwie dotknąwszy się błota Kocigroszek jak kopnie diabła, to zapadł aż po kolana. Drugi raz kopnął diabeł Kocigroszka, który zapadł po kostkę, ale wylazłszy z błota, jak nie kopnie diabła, tak zapadł aż po brzuch. Wylazło tedy diablisko i kopnęło po raz trzeci Kocigroszka w błoto który zapadłszy po kolana wybrnął i kopnął diabła, który aż po samą szyję zanurzył się w błocie. Wtedy zabił go kołkiem osikowym, żeby już ztamtąd nie wylazł. 10). Sam tedy zwyczajko powrócił do siostry, która wyjęła wszystkie głowy i ziobierka pomordowanych braci, Kocigroszek posmarował jakąś maścią i wszyscy ożyli i zabrali się do domu swojej matki razem. W lesie zanocowali, a ponieważ bali się bardzo Kocigroszka; przeto uciekli wszyscy od niego.

Nazajutrz osierocony Kocigroszek nieszedł za niewdzięcznikami których wybawił, ale poszedł prosto lasem i zaszedł do domu pewnego, gdzie był dziadek, który mu kazal sprowadzić księżniczkę zaklętą z samego piekła. Powiada do siebie Kocigroszek, jeszcze nie byłem w piekle, pójdę tam, przynajmniej zobaczę co się w piekle dzieje. Idzie tedy i zdybuje człowieka wąsala, co miał okrutne wąsy, bierze, go z sobą, dalej zabiera mordacza z wielką gębą, następnie przybrał się długoręka, nakoniec zaś długonogi. Idą tedy w kompanii wesoło i stają nad wieczorem w piekle i proszą o wybawienie księżniczki zaklętej. Ale w piekle powiedziano im, przenocujcie tu, jutro wezmiecie sobie pannę. Tymcza-

---

10) Ludwik Adam Jucewicz. Wspomienia Żmudzi. Wilno 1846 str. 86 przytacza podobnież walkę z diabłem. Mądry Uburtis walczy z diabłem, lez podstępem — mocije się z niedzwiedziem, diabeł rzuca kamienie do góry — człowiek skowronka puszcza — potem goni za zającem. Zupełnie inna bajka. — W mojej więcej rzeczywista siła przemaga bez podstępu.

sem Lucypet kazał mocno napalić, żeby się wszyscy upiekli. Ale wesał wymiół wszystkie węgle i ogień zagasił. Przenocowali szczęśliwie i oddano im księżniczkę, z którą przyszedli nad wielkie morze. Tam rzuciła ona swój pierścień z palca i powiedziała, jeżeli mi dobiedziecie pierścień, to pójdę z wami dalej, a jeżeli tego niedokażecie, to wrócę nazad do piekła. Mordacz wypił pół morza, a długonogi wziął długorękę na plecy i wydobyli z morza pierścień, oddali pannie, którą zaprowadzili aż do domu dziadka.

Ztamtań poszli wszyscy na rozdobędy, a znalazłszy dla siebie chałupę, zostawili jednego dnia wesała, żeby dla nich obiad zgotował. Nałapał tedy kopę wróbla, smarzy, pieczę i gotuje, a gdy obiad był gotowy, przyszedł dziadek ze środka ziemi, nie tylko że zjadł wszystkie wróble, ale jeszcze nabił dobrze wesała i wrócił do swego podziemnego pałacu. Zeszli się wszyscy na obiad, a tu nic nie było, jeno wesałisko jęczało od bólu. Na drugi dzień zestawili mordacza, żeby obiad gotował, lecz z mordaczem to samo się stało. Na trzeci dzień otrzymał podobnież plagi długolaba. Na czwarty dzień nie minęły cięgi i długonogiego. Piątego dnia został sam Kocigroszek, nałapał cztery kopy wróblów, gotuje, smarzy i piecze. A gdy gotów był obiad, przyszedł ze środka ziemi dziadek i zabierał się już do jedzenia, ale Kocigroszek jak go palnie po łbie, aż się dziadek przewrócił, wtedy rozłupał dęba, włożył brodę dziadka w szczelinę i zabił dobrze. Nuż tedy dziadka okładać kijami, dziadek wrzeszczy, a on wali, aż z dziadka fałaty lecą, nareszcie dziadek wyrwał się jakoś i z dębem uciekł do swego pałacu. Zeszli się wszyscy na obiad i pożywili się doskonale, przyczem uradzili, żeby pójść za owym dziadkiem i zabić go.

Poszli tedy za śladem krwi, która z dziadka płynęła i przyszedli nad jeden otwór i patrzą, że ziemia wewnątrz jest próżną, a tam prześliczne pałace. Spuszcza tedy Kocigroszek wszystkich na dół i nakazuje im, żeby tam zrobili dla niego drabinę, po której mógłby się też do nich dostać, ale oni się tam poženili z księżniczkami i zapomnieli o Kocigroszku. Zasmucił się z tego bardzo Kocigroszek i chciał

już odejść z tego miejsca, ale patrzy, tam na skale było gniazdo, z którego wyglądały młode orlęta, a tu deszcz z gradem pada, zlitował się nad niemi i przykrył płaszczem, potem nadleciał stary orzeł i dziękował mu bardzo mówiąc: co roku burza z gradem niszczy mi orlęta, a tyś mi je zachował, co chcesz to ci uczynię. Zaniesi mię na dół prosił orla Kocigroszek. Dobrze tylko nałapaj dwie beczki wróblów i siadaj na moje barki. Uczynił tak Kocigroszek, skoro orzeł obrócił głowę na prawo, rzucił mu wróbla z beczki, która na prawym boku wisiała, a gdy obrócił na lewo głowę, dał mu wróbla z lewej strony, gdzie również beczka wróblów wisiała. Nareszcie gdy zabrakło wróblów, uciął kawałek łytki swojej Kocigroszek i dał orłowi, który go na dół spuściwszy, wyrzucił z siebie kawał łytki i nazad do nogi przylepił.

Chodzi Kocigroszek po dole i widzi piękne pałace, ale towarzysze jego niechęcą się przyznać do niego, jeno puścili przeciw niemu straszego ogiera, którego on jednym zamachem o ziemię powalił. Za tę szkodę kazali mu dać 16 kijów. Odebrał 16 kijów idzie dalej, a tam psy na niego wypadły, szarpia i gryzą go, a on powoli ich dusi i zabija. Nareszcie przychodzi do pałacu, gdzie była sama królowna pilnowana przez dziadka, który obaczywszy Kocigroszka z dębem okrutnym w którym była jego broda precz się wyniósł, a Kocigroszek ożenił się z królowną, kazał też przywołać do siebie Wąsala, Mordacza, Długolapę i Długonogę i kazał wszystkim dać po szesnaście kijów. 11)

---

11) Podobną bajkę przytacza Wójcicki Klechdy starożytne II. wydanie w Warszawie 1851 T. II. szósta bajka. — Opowiadają też, że ów Kocigroszek nazywał się Sysak, z tego powodu że ssął piersi matki przez lat pięć. Kazał pałkę zrobić siedm cetnarów wążącą, pod ziemią będąc uwolnił trzy królowny od trzech dziadków, pierwsza dała mu kłębek, który go zaprowadził do domu <sup>drugiej</sup> królowny, druga dała jabłko, które się potoczyło do domu trzeciej królowny, że wszędzie dziadków śpiących zabił. — Nakoniec przez orla wyniesiony na wierzch ziemi, za to, że piskłeta jego ochronił od niepogody.

## Koń.

Pewny pan miał konia ładnego, w którym się bardzo rozmiłował. Często też powtarzał, że gdyby kto nauczył konia gadać, dalby mu za to tysiąc dukatów. Znalazł się filut, który podjął się za rok wyczyć konia. Pan dał mu dobry zadatek i marzył już o ósmym cudzie świata, jeżeli koń jego rozmawiać będzie. Filut kazał konia zamknąć w stajni, dawać dobrze jeść, i codziennie, rano, w południe i wieczór odwiedzał swego ucznia. Ale pan był bardzo ciekawym, co ów Maestro mówi do konia. Namawia tedy koniuszego, żeby baczne oko zwracał na Signor Maestra. Udało mu się dośłuchać słów ciągle powtarzanych i pospieszył zdać z tego sprawę, a stanąwszy przed panem rzekł: to jakaś komedja panie, on koniowi nic więcej do ucha nie mówi, jeno: albo, albo, albo. Obruszył się pan i kazał przywołać do siebie końskiego mistrza, którego gdy stanął przed nim surowo przywitał: słuchajno co ty za błażństwo wyrabiasz z koniem co to ma znaczyć, albo, albo, albo, które koniowi do ucha gadasz? Mistrz z największą flegmą odpowiedział: ja codziennie powtarzam koniowi, że albo koń zdechnie do roku, albo ja umrę, albo też pan umrze do roku, gdyż konia nikt jeszcze nie nauczył gadać. A żeby cię wszyscy diabli wzięli szachraju! zawołał pan na wynoszącego się mistrza.

## Kopciuszek.

Sliczna panna niechcąc iść za tego, którego niekochala, prosiła ojca, żeby jej sprawił piękne suknie i wózek latający, że skoro to będzie miała, to pójdzie za tego, za którego ojciec rozkaże. Ale gdy to wszystko sprawił ojciec, ona wsiadła na wózek i z domu uciekła. Wszystkie swoje szaty i wózek w lesie ukryła, a sama przebrawszy się w kożuszek zakrywający oczy i twarz, poszła służyć do pewnego pana, który często bardzo bił ją szczotką i głowę wodą polewał. W mieście dawano wielki bal, na którym był też

pan. Kopciuszka poszła do lasu, przebrała się w swoje suknie i przyjechała swoim wózkiem i wszystkie piękności blaskiem swojej urody przyćmiła. Najwięcej zajmował się nią sam pan i pytał się z kąd pani? A ona mu odpowiedziała: ztamtąd gdzie szczotką głowę biją i wodą głowę polewają. Po balu zniknęła i znowu przebrała się za Kopciuszkę. Drugi raz dawano bal, gdzie podobnie pan zachwycony pierwszą otrzymał odpowiedź. Myśli sobie pan zakłopotany, dam także bal, czy ta panna przyjdzie do mnie na bal. Daje tedy wielką ucztę z tańcami, Kopciuszka przebiera się i zachwycą wszystkich, a szczególnie pana swego, który pytał się z kąd pani? A ona mu odpowiedziała: ztamtąd, gdzie szczotką głowę biją, a wodą głowę polewają. Wpadła mu w oczy ta odpowiedź, a wyszedłszy z salonu, kazał wołać Kupcuskę, lecz jej nie było, tylko suknie zakopcone. Zaraz się domyślił pan, że to jego Kopciuszka taka ładna, już jej nie puszczał z domu i poszła za niego, bo go bardzo kochała. 12).

## Korona.

Było trzech braci, jeden z nich był niby głupi, za co też jako upośledzony wiele cierpiał od swych braci. Gdy mu się już sprzykrzyło to prześladowanie, prosił braci, żeby mu dali jego część, na co bracia bardzo chętnie zezwolili, aby się durnego pozbyć z domu. Wziął tedy majątek i poszedł w świat i przehułał wszystkie pieniądze. Z biędzy musiał przyjąć służbę u żmyi, która w nadgodę za rok służby, dała mu złotą koronę mającą tę własność: jeżeli kto wyrzekł te

---

12) Wójcicki Klechdy starożytne, podania i powieści ludowe wydanie II. Warszawa 1851. T. II. przytacza podobną bajkę pod napisem dąb, albo barani kuźszek. str. 52. piękna królowna uciekła od ojca, przystaje do wdowy po królu za pomywaczkę, chodzi do lasu, dąb otwiera się i dostarcza doayć bogatych sukien — królewicz nareszcie żeni się z nią. Opowiadają tę bajkę jeszcze inaczej, że panna przebrała się w skórę wilczą i służyła, tam bili ją palicą i miotłą. Ona do kościoła chodzi przestrojona, którą ściga pan, i niemoże się dowiedzieć o niej, nareszcie przy stole gdy pierogi dla niego robiła poznał ją.



słowa: nie za korony, ale za Boską pomocą, niech się to stanie, wszystkiego mógł dokazać.

Takim sposobem dostał się do domu braci, którzy go znowu poszturkiwali, ale on wziął koronę i zawołał: nie za korony, ale za Boską pomocą niech będą pieniądze. Wnet poczuli bracia koło niego bogactwo i więcej go też szanowali. Nakazał też im, żeby szli do króla prosić o rękę królowny dla niego. Ale król powiedział, jeżeli zbuduje most na morzu, to mu dam królownę. Za pomocą korony, stanął most na morzu. Lecz król jeszcze niechciał dać córki, póki by nie wystawił pałacu złotego. Za pomocą korony stanął pałac złoty. Król rad nie rad musiał dać córkę, która miała innego królewicza za kochanka i niechętnie bardzo szła za głuptasa. Dziwiło ją to nie mało, z kąd ten oślısko przyszedł do takiego majątku i zrzeczności. Dokoniecznie też chciała z niego wybadać tajemnicę, z której gdy sobie podpił raz jednego wypowiadał się przed nią pod wielkim sekretem. — Żona ukradła tę koronę i przeniosła się do swego kochanka królewicza. Król zaś rozgniewany, że taki głuptas śmiał pożądać jego córki, kazał go żywcem zamurować, aby zgłodu zginął.

Opuszczony zięć królewski, miał w pałacu psa i kota ulubionego, na których całą swą nadzieję pokładał. — Jakoż nieomylił się, gdyż pies z kotem przynosił mu ukradkiem jeść i podawał mu przez małą szczelinę muru, którą mularze zapomnieli zamurować. Powiada on do nich, żeby mogli gdzie znaleźć moją koronę, to by ja był wolny. Dowiadują się oni, że królowna ma w swoim pałacu czarnego kota, z którym lubiła się pieścić, i że ten kot umiał tańczyć. Idą tedy do pałacu, łapią i zagryzają tego kota, a na jego miejsce idzie kot przyjaciel zamurowanego i udaje bardzo smutnego. Królowna zaczęła go pieścić i wspominać o koronie, którą zamknęła w skrzyni żelaznej na 12 kłótek, okazując przytem obawę o nią, żeby kto nieukradł. Wybiegł kot z pałacu i powiedział to psowi. Złapali więc króla szczurów, i niechcieli go puścić, póki im nieprzyrzekł dostać koronę. Wszystkie szczury gryzły do póty skrzynię, dopóki nie

wydobyli korony. Wziął tedy kot w zęby koronę, i siadł na psa i płył przez morze. Ale przypadkiem upuścił koronę, pies pytał zawsze; masz koronę? a on ze strachu mówił, że ma, a skoro przebyli morze, kot na drzewo uciekł. Pies za nim woła, czego ty uciekasz? Zgubiłem koronę, dlatego uciekam; odpowiedział kot. Nie bój się, ja złapię króla raków, a ten wydobędzie koronę. W samej rzeczy złapał króla raków, który wydobyl z morza koronę i przynieśli do zamurowanego zięcia królewskiego, który uchwyciwszy koronę zawołał: nie za korony, ale za Boską pomocą niech będą wolny i niech się żona moja tu stawi.

Został wolnym, przybyła też i żona, ale z wielkiego strachu umarła. Idzie za nią na cmentarz, płacze i modli się, bo ją bardzo miłował. — Ojciec jego wstaje z grobu i perswaduje, żeby nie płakał za nią, żeby nie życzył sobie jej zmartwychwstania, gdyż ona stanie się zguby jego przyczyną. Ale on na to niezważając, prosił bardzo ojca, żeby ona wstała, gdyż bez niej żyć nie może. Ojciec zlitował się nad nim i dał mu takie ziobro, które jak tylko położył na grobie królowny, ona ożyła. Lecz ponieważ go niekochala, ciągłemi intrygami do tego przyprowadziła, że musiał na szubienicy haniebną śmiercią ginąć. Przy skonaniu prosił, żeby to ziobro położyli na jego grobie. Skoro położono ziobro, on ożył i zażądał być królem na jedną godzinę. Stało się według woli jego. W tym czasie kazał stracić żonę swoją i jej kochanka, a po skończonej godzinie rządu, sam się położył do grobu i umarł.

## Kowal.

W miasteczku niewielkiem, obok stuku młotów w kuźni, słyszano także częste śpiewy nabożne, bo majster kowalski był pracowity i do wiary ojców przywiązany. Lecz aby bardziej uwydatnić to nabożeństwo, miał w kuźni wizerunek Pana Jezusa i diabła. Przed panem Jezusem co piątku palił świeczkę, a diabłu dawał szcztka w nos. Razu pewnego, staje przed nim diabeł i powiada: ty sobie pal

świeczek tyle ile ci się podoba przed panem Jezusem, ale mnie daj pokój.

Dobrze że wiem o tem, że ci to przykreść sprawuje, o toż od dnia dzisiejszego będę ci dawał po dwie szcutki w nos. Przyszedł piątek, kowal pali świeczkę przed panem Jezusem, a diabłu daje dwie szcutki w nos. Rozgniewany diabeł, zrobił wielką kradzież w kościele i podrzucił te rzeczy w dom kowala. Ażeby zaś pewniej trafiono do kowala, rozsyłał komunikanty od kościoła, aż do domu kowala. Widoczny ten ślad naprowadził urząd miejscowy do domu kowala, gdzie rzeczy kradzione znaleziono. Bierą tedy kowala do kozy, a pomimo najsolenniejszej protestacyi jego, wydano wyrok, ażeby jako świętokradzca został powieszony. Siedzi tedy kowal na wystawie trzydniowej, płacze, modli się, aż tu wieczorem w samą wigilię tracenia, staje przed nim diabeł i mówi: A co dobrze ci tu siedzieć, niemówiłem ci daj mi spokój, niechciałeś mię słuchać, teraz będziesz dyndał.

Ej zmiluj się czorcie, wybaw mię z tej biedy, już i tobie świeczkę zapalę. Uwolnił go diabeł z więzienia, sam zaś został się na miejscu jego. Z rana prowadzą niby kowala na plac stracenia, diabeł w postaci kowala spiewa sobie, tańczy, zaczepia ludzi po drodze, płata figle różne, wszyscy się dziwiają jego dobremu humorowi, nareszcie powiesili niby kowala. Lecz powracające ludzkie, słyszą w kuźni stuk młotów i spiewy pobożne kowala, przychodzą do kuźni i patrzą, ten sam kowal, powiadają mu, co się z nim stało, a on się żegna i wmawia w nich, że się im to wszystko sniło pewnie, gdyż on nie był ani w kozie, ani też był sądzony i egzekwowany. Idą do szubienicy, a tam wisi wór strasznie smrodliwy nawozem wypechany. Wszyscy żegnają się idąc tłumnie do kościoła w celu przebłagania Boga, że ich na czartowskie przywiódł pokuszenie. Kowal zaś odtąd niedopalki świeczki kładł przed diabła, nareszcie zupełnie usunął go z kuźni powtarzając często ruskie przysłowie: Boha ne haiwaj a czorta nezaczypaj.

---

## Kowal.

Król miał syna, który do nauk niechciał się przykładać, jeno pragnął być kowalem. Ojciec niebronił mu tego, owszem dopomógł mu jeszcze, żeby się wyćwiczył w tem rzemiośle. Pewnego razu poszedł kowal do miasta, młody królewicz korzystając z nieobecności swego mistrza, zrobił na przódce pałasz i położył cetnar żelaza, by nim przeciąć, ale pałasz złamał się. Robi on drugi pałasz mocniejszy, którym cetnar żelaza jak pióro przeciął. Z tym tedy pałaszem puścił się w świat doświadczać różnego szczęścia. Przeszedł do pałacu, w którym była zmyja i zastąpiła mu drogę, żeby uniej służył, gdyż inaczej śmiercią karany będzie. — Myśli on sobie, niezawadzi służyć u zmyi i przystał na podane sobie warunki.

Ta zmyja miała konia i wieprza w stajence pałacowej. Zobowiązała królewicza, żeby wieprza obrokiem, konia zaś ściernem karmił, sama zaś odleciała na rozdobędy. Wchodzi królewicz do stajni by nakarmić konia, który już ledwie dycha od głodu, ulitowawszy się nad nim, dał mu obroku. Ale wieprz skoro to postrzegł, tak zaczął kwiczyć i wrzeszczyć przeraźliwie, że aż zmyja przyleciała i zbesztala okrutnie królewicza, — sama zaś znowu odleciała. Królewicz myśli sobie, coś w tém musi być, że ona tak konia głodzi, dam ja koniowi jeszcze raz obroku. Lecz zaledwie nasypał owsa cokolwiek, wieprz narobił tyle hałasu, że zmyja znowu przyleciała i mówi: jeżeli koniowi jeszcze raz dasz obroku, to ci śmierć zrobię, i znowu odleciała. Królewicz trzeci raz dał koniowi owsa, wieprz znowu w krzyk, ale królewicz czempredzej siadł na konia i w nogi. Przyleciała zmyja w największej złości by ukarać królewicza, którego po całym pałacu uganiając się znaleźć nie mogła. Ciągłe woła na wieprza, ty stary tumanie powiedz mi gdzie oni są? Gdzieś uciekli powiada wieprz zakłopotany i został się sam pod panowaniem zmyi.

Tym czasem królewicz z koniem przybył do źródła, gdzie napili się oba wody. Poczem na koniu złota szersć

stanęła, a na królewiczu były złote szaty. On te złote szaty skoro przyjechali pod wielkie miasto schował do worka, koniowi zaś powiedział, żeby pod mostem czekał na niego, sam zaś w prostym odzieniu udał się do miasta. W tem mieście był król, który miał trzy córki. Jedną wydał za króla, drugą za hrabiego, a trzecią miał wydać za dziada, jeżeli się jej który podoba. Schodzą się dziady na rozkaz króla z całego świata, do których przymieszał się też królewicz. Wyszła królowna wybiera, nareszcie stanęła przed królewiczem i wybrała go sobie za małżonka. Już miało być wesele, on ciągle nosił na głowie czapczkę, żeby jego złotych włosów nie było widać. Ale raz gdy spał, czapczka spadła mu z głowy, a królowna obaczyła złote włosy, i bardzo się tém ucieszyła i nikomu nie wspominała o tem. Król sprawił sute wesele, które królownę z mniemanym dziadkiem serdecznym węzłem połączyło.

Zaraz po weselu, wydano królowi wojnę, na którą zbierały się wojska pod dowództwem dwóch zięciów, ale i do dziada posłał król, żeby i on szedł na wojnę. Lecz zięciowie dali mu konia małego na drwiny, żeby mieli z czego sobie żartować i szydzić. Lecz dziad porzucił to wszystko i pobiegł do swego konia i ubrał się po rycersku, a gdy nieprzyjacielskie zastępy zwyciężać miały, on wznosił się na powietrzu i porąbał wszystkie wojska nieprzyjacielskie, potem ukrył się i wrócił pod most z koniem swoim. Na drugi dzień woła go król i pyta, dlaczego nie był na wojnie, on się tłumaczył jak mógł, nareszcie przyszli drudzy posłowie z wezwaniem do drugiej walki, on wtedy wyszedł z pokoju.

Znowu zbierają się liczne pólki pod dowództwem zięciów, do których miał się też według rozkazu króla przyłączyć dziad mniemany. Idą już wojska do boju, a dziad z tyłu jedzie i wszyscy śmieją się z niego. Lecz on porzucawszy to wszystko prędko pobiegł do swego konia. Tam przebrał się po rycersku, skoczył na konia i przybył właśnie w tej chwili, kiedy zwycięztwo przechylało się już na stronę nieprzyjaciół, on wznosił się na powietrzu i porąbał całe

wojsko wrogów, poczem skrył się i wrócił pod most z koniem swoim. Lecz gdy znużony w swoim pokoju spać się położył, usłyszał wielki zgłęb ludzi rozpaczających. Przebudził się i powiedziano mu, że gdy król powracał już z wojny, nieprzyjaciel nagle przypadł i zabrał go do niewoli. On natychmiast pobiegł do swego konia, przebrał się i wznosił się z koniem, a dopędziwszy wrogów, mieczem swoim ich pokonał i króla odbił. Lecz w tej zaciętej walce stracił jeden palec, z którego krew płynęła. Król zdjawszy chustkę z szyi zawiązał mu ten palec. Ale on ukrył się znowu i powrócił pod most z swoim koniem, ztamtąd zaś udał się na spoczynek do swego pokoju. Król chciał go odwiedzić mówiąc do siebie, co ten próżniak robi. Ale widząc go śpiącego z niemałym podziwieniem postrzegł palec jego skrwawiony i swoją chustkę poznał. Zaraz się domyślał, że to ten rycerz nieznanomy, który tak dzielnie walczył, niechcąc nadgrody doczesnej. Zbudził go i wypytał się o wszystkim. On przyznał się też do tych czynów rycerskich, przez co pozyskał sławę we dworze królewskim, i wywyższenie nad dwoma zięciami. Odtąd niebył więcej dziadem jeno królewiczem.

## Kozak.

Magnat sławny miał dużo posiadłości ziemskich. A ponieważ te włości były bardzo rozległe; przeto trzymał dwunastu kozaków, którzy rozkazy jego codziennie rozwozili. Trafilo się, że jeden kozak pod wieczór wybrał się z listem pańskim do pewnej wioski, w której kilka razy bywał, a zatem znał doskonale drogę, która do tej wsi prowadziła. Lecz naraz zastąpiły go ciemności zewsząd, gęsty las stanął przed nim, a kolące zarośla zatamowały mu drogę. Koń stanął jak wryty nie mogąc dalej pestąpić. Ztrwożony kozak zlązi z konia i rozgląda się na okolo, by rozeznać miejscowość, w której go tak dziwna zaskoczyła przygoda. Wszędzie ciemno choć oko wykol, las gęsty, że i wąż przez niego nieprzesunie się. Co tu robić? po wielu badaniach dostrzegł maleńką ścieżeczkę przed sobą, w dali zaś małe światełko,

które niezwykłym blaskiem migotało. Idzie on naprzód tą ścieżką konia prowadząc za sobą. Przyszedł wreszcie do tego ogniska, z którego światło wśród ciemnej nocy błyskało. Lecz żadnym sposobem nie mógł obejść tego ogniska, pomyślał sobie, mój Boże, jeżeli przebył gęstwinę lasu, to i ten ogień co dym i płomieniem bucha przeskoczę i siadł na swego rumaka, a spiąwszy go ostrogami, przesadził na drugą stronę ognia.

Przeskoczywszy ogień, ujrzał przed sobą bity gościnniec i więzy zaświecił, przed którego blaskiem ustępowały nocne ciemności. Jedzie on tym gościńcem spory kawał drogi, naraż stanął nad bezdenną przepaścią otoczoną skalistymi brzegami, o które rozbijały się fale szumiącego strumyka. Złaził kozak z konia i patrzy, zewsząd otaczają go wysokie góry, u stóp których kręcą się nurty spadających wód do tej bezdennej przepaści. Ręce załamał, gdyż nie było dla niego żadnego ratunku. A w tem, gdy rozpaczy się już oddawał, zawołało go coś po imieniu z tej przepaści. Jasiu! duszo szczęśliwa od Boga zesłana, pomóż mnie. Patrzy i szuka koło siebie, lecz nikogo niemoże znaleźć, a w tem drugi raz zawołało: Jasiu! duszo szczęśliwa! aniele od Boga zesłany pomóż mnie! I spojrział w otchłań, a tam pełza jakiś mały potwór, o czterech głowach razem zrosniętych i krótkich czterech rękach razem także zrosniętych, aż się cofnął przed tym straszidłem. Ale widząc i czując to utrapienie potwora, pomyślał sobie, możeby dobrze było i temu stworzeniu dopomódz, i naklonił się do przepaści mówiąc: Ktokolwiek jesteś uważ, że ci dopomódz nie mogę. Stoję prawie na samym szczycie góry, a podemną otchłań nie zgłębiona, w której jak na niebie wszystkie gwiazdy policzyć mogę, jakże ci podam rękę, gdy nie mam do ciebie przystępu?

Spuść tylko harapnik twój, a ja po nim wylizę na górę, powiada straszidło z dołu. Spuszcza on swój harapnik, a potwór nie znacznie przesunawszy się po nim, siadł już na karku kozaka. — Obrzydliwe straszidło wskazało drogę, której miał się trzymać kozak, żeby się pośród tych skalistych

brzegów mógł wydobyć. Jedzie on za tą wskazówką cały dzień i całą noc, nareszcie stanął nad wodami, gdzie mosty były do góry wzniesione. Powiada do niego potwór: Jasiu! szczęśliwa duszo, uczyn krzyż święty nad wodą. Kozak usłuchał, a skoro przetęgnął wody, natychmiast spuściły się mosty i przebyli pierwszą wodę. — Podobnie zrobili z drugą i trzecią wodą. Potem ukazał się przepyszny pałac, do którego, węże, żmyje, jaszczurki i padalce przystępu broniły. Lecz potwór świsnął tylko, a wszystko rozstało się i wolne przejście kozakowi uczynili. Zsiadł kozak z konia, którego przypiął do bramy pałacowej, sam zaś udał się do zamku, gdzie były różne bogactwa i różne rzeczy, których nigdy w życiu nie widział. Potwór na karku siedzący powiada do niego, żeby rok cały zamieszkał w tym pałacu i na krok niewychodził z niego, żeby się nietroszczył o jedzenie i ubiór, gdyż tego wszystkiego będzie miał podostatkiem, a to rzekłszy zniknęło straszdyło z karku.

Kozak chciał z początku uciekać, ale widząc, że z jego konia siodło tylko i podkowy zostały, którego węże i gadziny rozszarpały i zjadły, pozostał w pałacu samotny, gdzie ani ptaka śpiewającego, ani też głosu jakiego innego stworzenia nie słyszał. Liczy tedy i zapisuje na papierze miesiące, tygodnie, dnie, godziny, kwadranse, i wszystkie święta w roku przypadające, na którym to liczeniu, czas prędej mu schodził. Przy końcu roku przyszła do niego niewiasta i mówi: Jaki ty szczęśliwy Jasiu, żeś jeden rok przebidował, zostań jeszcze jeden rok w pałacu. Został on na drugi rok i podobnie zatrudniał się jak przedtem. Po drugim roku, przyszła do niego piękna panna i mówi: Jasiu zostań jeszcze rok trzeci w pałacu, nie ci się złego nie stanie. Został on na trzeci rok, pilnie odbywał swoją pracę niewychodząc z pałacu. Przy końcu roku trzeciego, przychodzi do niego śliczna młoda królowna i powiada: Jasiu! szczęśliwa duszo, wybawiłeś mię z pałacem i ludem moim, teraz będziesz panem, królem i mężem moim, bierz królewskie szaty na siebie. Uszczęśliwiony kozak zostawszy królem wychodzi z pałacu, a tu wojsko i lud woła: Witaj królu nowy! i wybawicielu



nasz, żyj nam, panuj i rządź nami! — Młoda zaś królowna powiada po niejakiem czasie: za nasze wybawienie powinniśmy panu Bogu czynić ofiary, wezmę ja złota i srebra dużo i pojedę rozdawać między ubogie, sieroty, a domy Boże, żeby się za nas nędzarze modlili do Boga.

Żono moja! woła kozak, chodziłaś ty przez trzy lata, a jam siedział, pozwól że mnie te ofiary Bogu czynić. Jasiu mężu mój! jedź z panem Bogiem, powiada żona, tylko żebyś w żadnym domu, ani śniadania, ani obiadu, ani też wieczery nie jadł, ile razy ci się jeść zechce, przyjeżdżaj do zamku. Wyjechał tedy w pięknym orszaku prawdziwie po królewsku, a wszędzie towarzyszyły mu oklaski, muzyki, wszędzie wołano: Witaj królu i panie nasz miłościwy. — O parę mil od pewnego miasta zastąpiła mu drogę stara baba i mówi: Najlaskawszy królu nie pogardzaj też gospodą twojej służebnicy, wstąp do mojej chaty, gdzie przygotowała dla ciebie śniadanie. Król niepomyślny na przestrogi swej żony, wstąpił dla wypoczynku do chaty baby niepoczcziwej, gdzie cokolwiek posiliwszy się, w dalszą wybierał się podróż. Baba cichaczem wsunęła woźnicy dukata i gruszki. Oto schowaj te gruszki, a jak się królowi pić zechce, dasz mu je. Pożegnał król babę i jedzie na obiad do zamku. Lecz straszne uczuwszy pragnienie, powiada do woźnicy: szukaj mnie gdzie wodę, gdyż wielkie mam pragnienie. — Królu najlaskawszy niema tu nigdzie wody, powiada woźnica, ale zjedz te gruszki, które upał pragnienia gaszą. Niedobry sługo woła król, czemuż mi rychlej niedałeś tych owoców, żebym ukoił moje pragnienie. Lecz zaledwie zjadł te gruszki, sen go zmorzył i usiadł sobie w cieniu drzewa, żeby cokolwiek podrzęmać. Aż tu konno przybiega posłaniec i list od królowej doręcza, w którym było napisano: Jasiu! mężu mój, przyjeżdżaj jak napredzej, bo całe miasto zatrzęsło się. — Ale król niezważając na to, każe po raz drugi jechać do chaty baby czarownicy. Ona go wita i stół zastawia, cichaczem zaś daje woźnicy dwa dukaty i jedno jabłko. Król posilony żegna się z babą czarownicą i wraca niby do zamku. Znowu wody zapragnął, a woźnica dał mu jabłko,

które zjadłszy, spać się położył. Aż tu biegnie drugi posłaniec i budzi króla, żeby przeczytał list królowej, na którym było napisano: Jasiu! mężu mój drogi! wracaj, pospieszaj do zamku, gdyż czas niebezpieczny, a miasto dwa razy się zatrzęśło. — Ale król lekceważąc sobie upomnienie żony, poraz trzeci, kazał jechać do chaty baby czarownicy. — Wita go uszczęśliwiona i zastawia stół wybornemi potrawami. Król smacznie zajada, a ona tymczasem cichaczem daje woźnicy trzy dukaty i jedną śliwkę. Po tej uczcie wyniósł się król, do zamku niby spiesząc. Ale w drodze znowu miał pragnienie wielkie, któremu chcąc zaradzić woźnica, dał mu śliwkę. Po tej śliwce oczy skleiliły się królowi do snu i położył się pod drzewo, i spał całą noc jak zabity. Na drugi dzień przyszła królowa zapłakana równo ze wschodem słońca i budzi męża ze snu twardego, wołając nad nim: Jasiu! mężu mój, wybawicielu mój! ty spisiesz nieszczęśliwy, przekładasz sen nad twoją żonę, wstawaj, ach wstawaj Jasiu, bo mię już nie ujrzesz! obłąkany! podaj po raz ostatni rękę twojej stroskanej żonie, Jasiu mój Jasiu! Widząc, że wszelkie jej nalegania były nadaremne, zdjęła sygnet z palca, przełamała na pół, zawinęła w chustkę i położyła mu na piersi mówiąc: o to masz ostatni upominek odemnie, abys wiedział, zem była przy tobie, a to wyrzekłszy przemieniła się w gołąbicę i wzniesła się pod niebiosą.

W tym momencie przebudził się król i słyszy głos z góry: Jasiu szukaj żonę za sinem morzem, na szklannej górze. Patrzy do góry, kto mówi do niego, lecz nikogo nie widział, jeno ptak jakiś nieznany zniknął w powietrzu. Potem wziął chusteczkę, rozwiązuje i poznaje, że to był pierścień jego żony, zacznie tedy wołać, płakać i narzekać bezskutecznie. Uspokoiwszy się nieco, powiada do swego woźnicy, daruję ci moją karekę i konie, jedź sobie, dokąd sam chcesz, przebierz się nawet w moje szaty, a mnie daj twoje ubogie odzienie. Tak przebrany puścił się do swego miasta królewskiego pieszo. Dwa dni i dwie nocy szedł do owego miasta, nad którym stanąwszy, ujrzał wielkie morze. Miasta i zamek już nie było, jeno same wody do koła, o które niebios

sklepienia opierać się zdawały. Nad temi wodami unosiły się dusze szczęśliwe miasta tego w postaci gołębi, które pan Bóg niechciał zatracić wraz z nieszczęśliwym miastem. — Dumał i płakał czyniąc sobie wyrzuty, że przez niepocziwą babę stał się przyczyną nieszczęścia całego miasta. — Rozpacz i trwoga podała mu straszną myśl, by zapomniawszy o Bogu, poszedł ludzi obdzierać i zabijać. Spojrzał po raz ostatni na miejsce, gdzie był panem i królem obwołany i odwrócił bolesne oblicze od tego widoku, by udać się w świat drogą wcale mu nieznaną. Szedł tedy cały dzień, ani jedząc, ani pijąc, a przed zachodem słońca wstąpiwszy do lasu wylamał sobie potężną pałkę by dalszą odbywać drogę. Lecz w tym lesie ciemna noc go zaskoczyła, usiadł tedy na pniaku drzewa, by cokolwiek wypocząć po dziennych trudach. Gdy tak siedząc duma sobie, postrzegł w oddaleniu światło, które pochodziło od palącego się ognia w lesie, w którym były wielkie skarby zakopane przez dwunastu rozbojników, gotujących sobie właśnie wtedy wiecezrę. Zerwał się z miejsca kozak i dążył ku ogniewi. Przy blasku światła, po dzikim a ponurym wzroku, po spadających w nieładzie włosach, po twarzach od słońca ogorzalych poznał, że to byli rozbojnicy, mrowie przeszło po jego żyłach, ale cóż miał robić, wypadło mu dokoniecznie zbliżyć się do nich, kiedy postanowił żyć za ich przykładem.

Lubo nie bez trwogi, jednak śmiało zawołał zbliżywszy się do nich: witajcie bracia! Najstarszy z bandy zbójckiej zapytał go; zkąd jesteś, coś ty za człowiek i dokąd dążysz? Kozak z flegmą odpowiada: Jestem rozbojnik, zabilem własnego ojca i matkę rodzoną i innych wiele ludzi zamordowałem, ktokolwiek się nawinał, nieuszedł mojej pałki i nie uprosił serca mego, żebym mu życie darował, teraz szukam równych sobie towarzyszków, żebym im przyjaźń i wierność zaprzysiął. A gdzie twoje skarby zapytał starszy, patrz o to w tej skali mamy dużo pieniędzy zakopanych, prócz tego, cc każdy z nas ma przy sobie, aty chwalisz się zgładzeniem tylu ludzi, a jednak goły jesteś. Pokazał im Kozak dukaty, które pozostały jeszcze u niego od wydziału dla ubogich

i mówi: patrzcie mam i ja pieniądze, lecz ja tyle tylko biorę po zamordowanych, ile mi potrzeba i co unieść potrafię. Przyjęli go w grono swoje złoczyńcy, a gdy już kilka dni bawił w tem zbójcekiem kole, jeden z nich chwając się powiada do kozaka, co to skarby, my mamy takie trzewiki jak niemi krok zrobisz to dwie mil uszedłeś, a jak raz skoczysz, toś cztery mil zrobił. Pokaż mi jeno niech obaczę powiada kozak i obuł te trzewiki. Ach bracie patrzaj jeno, wszakże te trzewiki tak pasują, jak gdyby na mnie były robione. Co to trzewiki powiada rozbójnik, my mamy taki płaszcz, jak go weźmiesz na siebie, to możesz lecieć jak ptak w powietrzu. Ej bracie powiada kozak pokaż że mi ten płaszcz niech go oglądam. Wziął tedy płaszcz na siebie i mówi: patrzaj bracie, wszakże ten płaszcz jak gdyby na mnie był robiony. Co to płaszcz, my mamy taki kapelusz, że jak go wsadzisz na głowę, to staniesz się niewidzialnym. A nu no połóż mi na głowę powiada kozak. Włożył mu na głowę kapelusz. Teraz muszę ja spróbować mówi kozak czy to wszystko prawda, cokolwiek mi powiedziales. I wstrząsł płaszczem i wznosił się w górę bardzo wysoko i zawołał z tamąd: A co bracie widzisz mię. Widzę powiada rozbójnik. Bywajże mi zdrów bracie odpowiada kozak, już mię więcej widzieć nie będziesz.

Leci tedy kilka dni ciągle w nieznane, a dalekie kraje, uleciał już kilka tysięcy mil, już ani zwierząt, ani ludzi nigdzie nie było, gdy się spuścił na ziemię, głodem a pragnieniem raczej, niżeli lataniem zmęczony. Właśnie słońce było ku zachodowi i noc zapadła, kiedy usiadł na murawie głębokiej puszczy, w której nie miał się czem posilić. Gdy tak zmartwiony siedzi i myśli, że mu w tej pustyni zginąć przyjdzie z głodu, postrzega w oddaleniu dwa małe światelka, które jak gwiazdy na niebie wesołem blaskiem migotały. Zbliża on się ku temu światłu i widać krzyż, u stóp którego klęczał pustelnik bardzo stary, siwy jak gołąb, a dwóch aniołów przesłicznych posługiwało mu, gdy starzec przy zapalonych świecach modlitwy odprawiał. Nieśmiało zbliżyć się ku niemu, jeno zawołał: Ojcze święty! każ mi się zbliżyć

do ciebie! Odwrócił się pustelnik i dał mu znak, żeby się zbliżył do niego. Lecz on sunął się na kolanach ku pustelnikowi; a zbliżywszy się cokolwiek, padł na swe oblicze, gdyż nie śmiał oglądać tej wspaniałości, która starca świątobliwego otaczała. Synu mój powiada łagodnie pustelnik, tyś szczególnie u pana Boga iześ tu przyszedł, dokąd noga ludzka nigdy nie doszła, i ptak powietrza niedobiegł lotem swoim, mów czego żadasz?

Ojczy święty czy niewiesz o morzu sinym i górze szklanej?

Tego nie wiem! ale powiedz mi synu, kiedyś się spowiadał?

W domu jeszcze będąc, spowiadałem się, lecz od tego czasu, kilka lat minęło, jak niewidziałem księdza.

Zaczął go tedy pustelnik spowiadać, po czym dał mu rozgrzeszenie, a Aniołowie zakomunikowali go. Po uczcie duchowej, nastąpiła uczta ciała, która składała się tylko z chleba i wody. A gdy posilił się cokolwiek kozak; powiedział do niego pustelnik: Synu idź teraz na wschód słońca, tam znajdziesz starszego mego brata, może on ci wskaże to miejsce, którego szukasz. Leci on kilka set mil, i przychodzi do drugiego pustelnika, który od starości prawie niemiał na sobie ciała, jeno mech na nim porastał. Zdziwiony przybyciem człowieka pustelnik zawołał: Synu zkadżeś ty! po co tu przychodzisz?

Jestem król nieszczęśliwy, szukam żony mojej, byłem u brata twego młodszego i pytałem go, czy nie wie on, gdzie jest sine morze i góra szklana, a on mię do ciebie odesłał.

O sinem morzu i szlonej górze nigdy nie słyszałem, ale ja mam brata starszego, jeżeli ci ten nie powie, to już nikt ci niepokaże miejsca, którego szukasz. Idź na wschód słońca do mego brata, lecz w przód uczyn spowiedź świętą, a żebyś godnie przybyć mógł tę pielgrzymkę. Spowiada się więc ze wszystkich grzechów swoich, otrzymuje rozgrzeszenie i ciałem i krwią Syna Bożego z rąk anielskich zasila się. — Po tej uczcie duchowej, dał mu pustelnik kawałek

chleba i wody, żeby i ciało pokrzepił do dalszej podróży.

Wstrząsł płaszczem swoim kozak i wznosił się bardzo wysoko i za kilka dni i nocy stanął w jaskini pustelnika, który od starości jak proch był nikły, jeno co dusza ożywała te znikome prochy. Synu mój zawołał pustelnik, niech będzie Bóg pochwalon iżeś przyszedł do mnie, wiem czego szukasz, ale wprzódę wypowiadaj się szczerze, nim ci wyjawię, co pan Bóg postanowił względem ciebie. Ukląkł kozak spowiada się, otrzymuje rozgrzeszenie i komunię z rąk anioła. Potem zjadł kawałek chleba i wody się napił. A gdy się już posilił należycie powiada do niego pustelnik: pan Bóg z nieskończonego swego miłosierdzia daje ci anioła, który cię zaprowadzi, aż na miejsce, do którego dążysz, pamiętaj, abyś twego przewodnika w drodze niczem nie obraził, teraz idź w pokoju.

Kozak ucałowawszy nogi i ręce czcigodnego pustelnika puścił się w dalszą podróż z Aniołem, który go przez morze sine przeprowił, i pod szklaną górą zaprowadził i zniknął. — Siadł on sobie cokolwiek dla wypoczynku pod tą szklaną górą i przypatrywał się zamkowi tamże zostającemu. Nareszcie wstrząsł płaszczem i stanął na górze. Tam zasadził swój kapelusz i idzie do zamku, przechadza się niewidzialny po pokojach, a tam czynią przygotowania jakiegoś, weselne, syn pana zamku tego miał się żenić z żoną jego. Wchodzi do tego pokoju, gdzie byli goście zgromadzeni i siedzieli za stołem. Na pierwszym miejscu była jego żona. On patrzy na nią i boleje, tu piją jej zdrowie, a jemu gorzkie łzy płyną po licu. Nakoniec rzucił do szklanki żony pół sygneta, który żona odchodząc od niego na piersiach jego złożyła. Skoro tylko szklankę do ust przytuliła zaraz poznała swój sygnet i w radości zawołała: teraz osądźcie państwo, który klucz lepszy jest, czy pierwszy umyślnie do zamku zrobiony, czy też drugi, gdy pierwszy zginął, dorabiany? Wszyscy przyznali, że pierwszy klucz lepszy jest od drugiego. Ha jeżeli pierwszy klucz lepszy jest od drugiego powiada królowa, to też pierwszy mąż lepszy będzie od drugiego, którego mi narzucić chcecie.

Niech się tu ukaze pierwszy mąż, zawołali wszyscy, a przysięgamy, że mu się nic złego nie stanie. Kozak zdjął kapelusz z głowy i ukazał się gościom. Wnet odzyskał królową i królestwo, a pan zamku na szklanej górze wraz z synem swoim stracony został.

## Królewicz.

Król miał syna, który chodząc do szkoły bardzo pilnie się uczył. Potem dał go ojciec do kowala, do którego to rzemiosła niewiele się przykładał, gdyż nie miał ochoty zostać kowalem. Ale z posłuszeństwa dla ojca był przez dwa lata w terminie. Razu pewnego poszedł kowal do miasta, on korzystając z jego nieobecności, zrobił sobie potężny pałac i uciekł od kowala, by w świecie czego doświadczyć.

Przyszedł on do jednego miasta i pyta żyda, dlaczego w tem mieście tak smutno, co tu słychać. Żyd mu powiada, jest tu król, co ma sto owiec pięknych, a żaden pastuch nie może ich dopilnować, przez co też dużo ich wyginęło. — Myśli sobie królewicz, ja ich dopilnuję i poszedł do króla nająć się za pastucha. Król mu wskazał głowy pościnanych pastuchów, że i z nim podobnie się stanie, jeżeli owiec niedopilnuje. Lecz on na to niezważając, przyjął służbę i na drugi dzień popędził owce na miejsce przez króla wskazane. Pasie do południa i przechadza się po ogrodzie, naraz postrzega wielki pałac, wstępuje do niego i patrzy, że tam srebrny kwiatek rośnie. Wyrwał on ten kwiatek, aż tu przylatuje ogromna zmyja do niego i krzyczy, kto ci tu pozwolił chodzić? Ja sobie sam pozwoliłem powiada królewicz i stanął pod ścianą z mieczem do góry podniesionym. Zmyja powiada: ja ci śmierć zrobię. A on do niej, ja tobie zrobię koniec i uciął jej głowę jednym cięciem. A ona woła: poczekaj, poczekaj, jutro przyjdzie na ciebie zmyja z pięciu głowami. Niech przyjdzie z dziesięciu głowami, to ja się jej nie boję i posiekał zmyję w drobne kawałki, sam zaś zasadził srebrny kwiatek za kapelusz i wyszedł z pałacu. Lecz owiec jego nie było, on począł krzyzczeć i wołać,

pozbiegały się owce, z którymi powrócił na dziedziniec króla rachującego, czy nie zginęła która. Wyszła też królowna i napała się tego kwiatka srebrnego, on jej podarował, a ona dała mu za to dwa dukaty.

Na drugi dzień popędził on owce na paszę i przechadza się po ogrodzie. Ale zachciało mu się znowu wstąpić do pałacu. Chodzi po pokojach, a tam złoty kwiatek rośnie. Wyrwał on ten kwiatek i zasadził za kapelusz. W tem leci do niego zmyja o pięciu głowach i krzyczy: kto ci pozwolił tu chodzić? Ja sobie pozwoliłem powiada królewicz i stanął pod ścianą z mieczem do góry wzniesionym. Ja ci śmierć zrobię powiada zmyja. A on do niej, ja tobie śmierć zrobię i począł powoli ścinać główki. Ona wrzeszczy: poczekaj, poczekaj, jutro przyjdzie na ciebie zmyja z dziesięcioma głowami. Niech tu przyjdzie i z dwudziestu głowami, to ja się jej nieboję i porąbał zmyję w drobne kawałki. Potem wyszedł z pałacu, lecz owiec jego nie było. Zawołał na nie wszystkie się pozbiegały, z którymi też wrócił do domu. Król wyszedł i porachował wszystkie, czy nie zginęła która. Ale i królowna wybiegła i napała się mocno tego złotego kwiatka. On jej darował, a ona mu dała znowu dwa dukaty.

Na trzeci dzień popędził on swoje owce na paszę i przechadzał się po ogrodzie. Nareszcie zachciało mu się wstąpić do pałacu. Chodzi po pokojach, a tam wyrósł diamentowy kwiatek. Wyrwał on ten kwiatek i zasadził za kapelusz. W tem przyleciała zmyja z dziesięcioma głowami i krzyczy: Kto ci tu pozwolił chodzić? Ja sobie sam pozwoliłem powiada królewicz i stanął pod ścianą z mieczem do góry podniesionym. Ja ci śmierć zrobię grozi zmyja. — Ja tobie zrobię śmierć, odpiera królewicz. I zaczęli się bruć, ona do niego, on do niej. Ona chlust płomieniem w oczy, a on chlust pałaszem po łbie. Ona go łup ogonem po grzbiecie, a on ją tarach pałaszem po łbie. Dosyć że ją pokonawszy, wyszedł z pałacu, zabrał owce swoje i do domu zaprowadził. Król liczy, ażali której nie brakuje. Ale i królowna wybiegła i napała się tego kwiatka diamentowego.



On jej darował, a ona mu dała dwa dukaty. Na trzeci dzień mówi on do króla, że już więcej owiec jego paść nie może. Król mu dał za trzy dni dużo pieniędzy i wyprawił go w dalszą drogę.

Idzie on drogą i postrzega stajnię przy drodze stojącą. Wstąpił on do tej stajni, a tam był jeden koń, który mówił do niego: Weźmij mię z sobą, a ja cię uszczęśliwię. Aż podskoczył z radości królewicz, gdyż nigdy jeszcze nie słyszał, żeby koń gadał. Siada tedy na niego i jedzie i staje w pewnem stołecznem mieście, gdzie wielki ruch panował. Pyta on się ludzi co tu takiego się dzieje, że taki zgielk daje się spostrzegać. Powiadają mu, że król ma córkę, którą niechce zamaż wydać. Aby zaś odpędzić natrętnych kawalerów, kazał na wysokim palu zawiesić dużą gałązkę z jabłkiem. Kto to jabłko zdejmie, ten będzie mężem królowny. Ale chociażby kto zdjął, to znowu z tyłu ukryte armaty niezawodnie zabiją go. Myśli on sobie, zdejmę ja to jabłko, ale wartałoby wprzód zobaczyć pannę, czy można dla niej się poświęcić. Jak pomyślał, tak też zrobił. Obaczył pannę i podobała mu się bardzo. Skoczył więc bez namysłu i zdjął jabłko, a tuż za nim odezwały się armaty, lecz żadna kula nietrafiła go. Idzie więc do króla i prosi o rękę królowny. Król zwlekając obietnicę, powiada, że trzeba jeszcze dwa razy zdjąć, dopiero za trzecim razem, można być pewnym ręki królowny. Wysadzili znowu jabłko i podwoili liczbę armat. Lecz on na koniu swoim skoczył po raz drugi, zdjął jabłko i armaty okropnie zagrały, ale nieszkodliwie. Wysadzili znowu jabłko, i armaty podwoili. Skoczył po raz trzeci na swoim koniu, zdjął jabłko a za nim kilkanaście armat zionęło strasznym hukiem, że aż się ściemniło do koła, ale żadna kula niedosięła królewicza. Idzie on z tryumfem do króla i prosi o rękę królowny. Lecz król zaczął kręcić po swojemu, by słowa niedotrzymać. Co widząc królowna, która już pokochała królewicza przystąpiła do ojca i swoją prośbą wyjednała dla niego łaskę. Wkrótce odbyło się wesele, a po śmierci ojca, królewicz został królem.

## Kruk.

Miała się odbyć koronacja króla nowego w pewnem mieście, na którą obywatele przygotowywali się z różnemi podarunkami dla króla. Jeden z tych obywatelów, złapał kruka młodego i uczył go wymawiać: Witaj królu najlaskawszy, panuj nam przez długie lata. Lecz kruk tego niepojmował, nareszcie gdy się już zbliżał dzień koronacyi, nieszczęśliwy obywatel namęczywszy się dosyć z upartym krukiem zawołał: Daremna moja praca. Wszyscy znoszą podarunki dla króla, obywatel myśli sobie: poniesę i ja kruka, może tam przy natłoku licznych podarunków zważać nie będą na kruka. Niesie tedy czarnego diabła i gdy stanął przed królem, obojętnie przyjął to król mówiąc: mam ja już tego dosyć. Na co kruk odezwał się: daremna moja praca. No zostań się rzekł król uradowany do kruka, który przez cały ciąg uczty był przedmiotem podziwu.

## Ktoś.

Pewny pan miał sługę, który mu często zjadał potrawy, lub wino wypijał. A gdy go zapytał, gdzie się podziała moja pieczeń? sługa odpowiadał: ktoś zjadł, kto wino wypił? odpowiadał: ktoś wypił. Razu jednego dzwoniłemu, pan zapytał sługę, na co to dzwonią? Ktoś umarł powiada sługa. Wieczny pokój, niech mu będzie, chwala Bogu, że przecie raz umarł. Zdaje się, że sługa tych słów niezrozumiał, gdyż na drugi dzień smacznie zjadał zająca, którego pan na kolację schować rozkazał. Przychodzi pan do domu i woła: dawaj zająca. Niema panie, ktoś zjadł. Hultaju obmierzły! wszakżeś wczoraj mówił, że ktoś umarł, to po śmierci jeszcze chodzi i zjada, he?

Inny lokaj gdy zbil szklankę, zwykł mawiać, stłukła się. Na co pan bardzo rozumnie odpowiedział: gdybym ci uszy oberwał, to powiesz same się oberwały, co, he?

---

## Kura.

W młodzińcu ubogim zakochała się panna bogata, a ponieważ rodzice niechcieli pozwolić na ich małżeństwo; przeto uciekli oboje do innej wioski, gdzie wielką biedę znosili, musieli dużo pracować i w licej mieszkać chałupie. Na całe gospodarstwo mieli tylko jedną kurę, która im czasem jajko znieśli. Pewnego razu przyszedł do nich ubogi, bardzo głodny i prosił, żeby go czém nakarmili. Oni zyczliwie go przyjęli i tę jedną kurę zabili, upiekli i dali ubogiemu za pokarm. Ubogi pożywiony podziękował i poszedł. A to był pan Jezus, którego oni nakarmili. Wnet kura ożyła i chata przemieniła się w pałac piękny, w którym pośród obfitości żyli bardzo szczęśliwie.

## Kwestarz.

Do pewnego dworu zajeżdżał kwestarz co roku i odbierał hojne jałmużny. Lecz stary pan umarł, a majątek przeszedł w ręce syna niemającego sławy dobrego katolika. Jadący kwestarz wiedział o tej zmianie, to też wstąpił tylko dla zwyczaju do tego dworu. Przyjęty był dosyć zyczliwie, a po dobrym obiadku, już się wybierał w dalszą drogę, gdy sam pan zagadnął, możeby się mógł czém przysłużyć klasztorowi. Kwestarz myśli, trzeba drzyć łyko, kiedy się daje, jeżeli pańska łaska, to bym prosił o korzec pszenicy. Dobrze zawołał pan, dać korzec pszenicy. Może jeszcze co? Ha nu, dureń ten, co niekorzystał z okazji pomyślał kwestarz, jeżeli pańska łaska, to bym prosił o korzec żyta. Dobrze dać korzec żyta, może jeszcze co? Kwestarz myśli sobie, dobrze idzie, jeszcze bym prosił o korzec hreczki. Dobrze dać korzec hreczki, może jeszcze co? Widzi pan Dobrodziej w klasztorze zdalaby się faska masła. Dobrze dać faskę masła, może jeszcze co? Do masła byłaby dobra berbenica séra. Dobrze dać berbenicę sera, może jeszcze co? Jakie też to ze mnie ciele, niewziąć mi woza tęgiego, jeno tę trendulkę małą, na której nie można wiele pomieścić tak sobie myśli

kwestarz, ha jeżeli łaska pańska, to chyba dla konia jeszcze korzec owsa. Dobrze dać korzec owsa, może jeszcze co? Już nie powiada kwestarz, a pożegnawszy uprzejmego gospodarza z wielką radością spieszy do swojej trendulki naładowanej. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy tylko jeden korzec owsa zastał, a gdzież reszta? zapytał woźnicę. Panie ja sam nie wiem co tu się dzieje, powiedział woźnica, przynieśli pszenicę najprzód, a potem gdy przynieśli żyto, wzięli pszenicę, przynieśli hreczkę, wzięli żyto, przynieśli masło, wzięli hreczkę, przynieśli sér, wzięli masło, przynieśli owies, wzięli sér. Uciekajmy ztąd zawołał kwestarz siadając na bryczkę, figle, figle i nic więcej.

## Latarnie.

Uboga wdowa miała syna wielkiego niezdaraę, który cały dzień nie nierobił, jeno wygrzewał się za piecem, jadł i pił, a matkę swoim próżniactwem niezmiernie trapił. Pojawił się pewnego razu czarnoksiężnik w mieście i postrzegł tego chłopca jak do góry brzuchem na przyzbie leżał i wyciągał się. Tego nicponia mógłbym użyć do swoich planów, pomyślał sobie czarnoksiężnik i wypytał się ludzi, kto w tym domku mieszka. Powiedziano mu, że tam mieszka biedna wdowa po kupcu, której mąż nie tylko, że niezostawił majątku, ale jeszcze obciążył ją synem wielkim niezdaraę. Idzie on do tej wdowy i powiada, że jest bratem nieboszczyka jej męża, i począł żałować brata swego. Wdowa rozczuliła się także na wspomnienie swego męża i żali się przed nim, że jest biedną, a do tego jeszcze wielkiego próżniaka za piecem leżącego żywić musi. Daj mnie twego syna, ja go na człowieka wykieruję powiada czarnoksiężnik. Najchętniej odstępuje mu syna, a on jej dał cztery dukaty i obiecał jej dopomagać.

Wziąwszy leniucha prowadzi go za miasto. Leniuch niechce iść dalej i woła: a dokądże u diabła prowadzisz mię stryju, ja wolę na piecu leżeć niżeli chodzić. Dosyć będzie tego leżenia, ruszaj naprzód, bo cię tu kijem pociągnę, jak

niepysznego. — Łaskotliwe mając ciało próżniak pospieszał, nareszcie stanęli nad mogiłą niewielką, którą czarnoksiężnik otworzywszy, powiada do leniucha, idź pod ziemię, tam będzie pałac, z którego przynies mi trzy stare latarnie, daję ci na palec pierścien, jeżelibyś zblądził, albo chciał wyjść na wierzch, to tylko obróć pierścien, zaraz ci się stanie, czego żądać będziesz.

Poszedł on pod ziemię, był w pałacu, wziął trzy stare latarnie, ale wracając przez ogród, podobały mu się gruszki i jabłka złote, narwał on tych owoców pełne kieszenie, nareszcie zechciało mu się pić, napił się wody z czystego źródła i położył się spać. Spał tedy na tem miejscu przez lat siedm, ani jedząc, ani pijąc. Czarnoksiężnik czekał i czekał, a niemogąc się doczekać leniucha, poszedł swoją drogą do innego miasta.

Po siedmiu latach przebudził się niezdara, sam nie wiedział gdzie zostaje, począł tedy płakać i narzekać bardzo, a tak płacząc opuścił łzę na pierścien przypadkowo, który się wnet obrócił i pokazał się diabeł wołając: czego chcesz? Wynies mię na wierzch, gdyż tu ginę z głodu. Wyniósł go na wierzch i przyszedł do domu, gdzie większa jeszcze niżeli przedtem panowała nędza. Matka ucieszyła się nim a on prosił, żeby mu co jeść dała. A cóż ja ci mój synu dam, kiedy ja sama jeszcze nic nie jadła. Wyjął on z kieszeni jedną gruszkę i powiada; sprzedajcie mamuniu gdzie tę gruszkę i nakupcie mi jadła. Poszła matka z gruszką do jubilera, który wyrzucił jej kilka dukatów. Ona kupiła w mieście chleba i mięsa, niesie do domu i gotuje. Syn podjadłszy sobie wylazł na piec i położył się na popiele. Tam poukładał swoje zdobycze i począł się latarniami bawić, otwiera drzwiczki jednej latarni, a ztamtąd wyskakuje diabeł i powiada czego żadasz. Myśli on sobie, teraz ja wielki pan, kiedy mam taką usługę. Aby mi tu były trzy półmiski srebrne. Natychmiast stanęły półmiski. Myśli on tedy bardzo długo, co tu teraz robić? Inny byłby zaraz wymyślił, lecz taki niezdara nie mógł się zdobyć na jaki concept.

Kilka dni minęło, w chacie znowu niedostatek, daje on drugą gruszkę, żeby matka sprzedała. Znowu wzięła kilka dukatów i nakupiła wiktuałów. — Leniuch leży za piecem i myśli, co by tu zrobić? lecz znowu kilka dni minęło, on nic nie wymyślił. Bieda zawitała do chaty, dał trzecią gruszkę, matka sprzedała i nakupiła, czego było potrzeba. Podjadłszy sobie, powiada on do matki, weźcie mamuniu półmisek tych gruszek i zanieście podarunek królowi. Matka idzie do pałacu, król bardzo mile przyjął taki kosztowny prezent. Tymczasem bawi się leniuch latarniami i otwiera drzwiczki drugiej latarni, a ztamtąd wyskakuje diabeł i mówi, czego żądasz? Pieniędzy dużo. Wnet były dukaty wielkie i małe w takiej liczbie, że już nie mogła nędza panować w chacie. Oho! myśli on sobie, to ja pan teraz, kiedy mi tyle ich usługuje, dobrzeby było ożenić się, a do tego jeszcze z królowną. Za tydzień posyła on drugi półmisek jabłek dla króla. Idzie matka do pałacu, król bardzo mile przyjął podarunek. Na trzeci tydzień posła królowi półmisek samych diamentów, ale tak pięknych, że cały świat jeszcze podobnych niewidział i powiada do matki: jeżeli się król zapyta, czego ja żądam za te prezenta, to powiedzcie mu, żeby mi dał królowną za żonę. Idzie matka do pałacu, król mocno był zachwycony takim darem i zawołał królowę, królowną, ministrów i domowników swoich, żeby wszyscy podziwiali te dary. Wszyscy gęby pootwierali jak gawrony z podziwu, gdyż coś podobnego nikt jeszcze niewidział. Uradowany król pyta matkę: czego żąda twój syn odemnie za tyle darów kosztownych, które mnie przysłać raczył. Matka powiedziała, że żąda ręki królowny.

Powiedz że synowi, jeżeli do jutra przemieni mój ogród w piękny staw, w którymby ryby różnego gatunku pływały, i żeby te ryby były na stole naszym, to niech przyjdzie do mnie na obiad, dam mu córkę moją. — Przychodzi matka do domu i powiada synowi o tem. Nieturbujcie się mamuniu mówi Leniuch wszystko to będzie na czas, a królowna musi być moją. — Zjadłszy obiad smaczno, położył się za piec, i peczał się bawić latarniami, otwiera

drzwiczki pierwszej latarni, a stamtąd wyskakuje diabeł i pyta: czego żądasz? On mu powiada, żeby ogród przemienił się w staw, żeby w nim były złote ryby i szczupaki, jakich nikt jeszcze niewidział. Dobrze powiada diabeł, wszystko to będzie na twój rozkaz. Rano wstaje król i patrzy przez okno, a tu staw piękny aż miło, ryby rzucają się, a tu przynoszą kuchmistrze ogromne szczupaki, liny, karpie i łososie do pokoju królewskiego i pytają jak one sprawić mają. Gotujcie według waszej nauki, ażeby zięć mój poznał wasze sztuki, powiada król widokiem stawu oczarowany.

Bije godzina obiadu, dworacy przychodzą po syna wdowy, żeby spieszył na pokoje i gody królewskie, a on leży za piecem w popiele i sługi królewskie z fukiem odprawia. Wstaje nareszcie i idzie do króla. Synu mój woła matka, nich cię przynajmniej umyję i zaczeszę, jakże tak brudno przedstawiś się królowi. On na to niezważając, poszedł do pałacu i stanął przed królem niezaczesany, kilka miesięcy nie myty, w podartem odzieniu, przez które tylną część ciała dobrze było widać i bosa zupełnie. Król na widok takiego obdartusa plugawego, ramionami tylko ścisnął, a ponieważ niechciał swego słowa złamać, przeto go za stół posadził. Królowna też ciekawa by obaczyć swego narzeczonego wpadła do pokoju, lecz obaczywszy takiego mierzeńca nazad uciekła do swojej komnaty. — Żre tedy oberwnus jak bezroga wywracając wszystko, szarpiąc palcami smaczniejsze łakocie. Nakoniec oblizawszy palce i wąsiska, prosi Adonis o rękę królowny. Mój bratku powiada król, jeżeli mi do jutra ten staw przemienisz w najpiękniejszy ogród, w którym byłyby złote drzewa, z takimi owocami, jakich jeszcze nikt na świecie nie jadł i nie widział, żeby te owoce były na stole naszym królewskim podczas obiadu, a ptactwo całego świata, żeby tam spiewało, natenczas przybywaj do mnie na obiad i dostaniesz królownę.

Dobrze powiada legejda i idzie do demu i kładzie za piec swoją nadobną postać. Bierze latarnię pierwszą, otwiera drzwiczki, a stamtąd wyskakuje diabeł i woła: Czego

żadasz? Aby mi do jutra był najpyszniejszy ogród z ptaszkami całego świata, z drzewami złotymi i owocami jakich nikt jeszcze nie widział. Tego ja niepotrafię zrobić powiada diabeł. Bierze on drugą latarnię, otwiera drzwiczki, aż tu wyskakuje diabeł i pyta: czego żadasz? A on mu mówi o tym ogrodzie. Dobrze powiada diabeł, stanie się wszystko według twego rozkazu. Niezwykły gwar ptactwa przebudził króla, patrzy przez okno, a tu najrozkoszniejszy ogród, ulice rozmarynowe, fontany biją do góry, gazony w różnobarwne kwiaty przyozdobione, drzewa złote obciążone owocem najpyszniejszym, a ptactwo najśliczniejsze lata po ogrodzie, prawdziwym rajem ziemskim. — Dworzanie dzwigają półmiski precudnych granatów, morelów, fig i pomarańczów. Bije nareszcie obiadowa godzina, leniuch stawia się gorzej jeszcze zamurdzany, król rad, nie rad sadza go za stół, a królowna otworzywszy drzwi skoro go postrzegła, precz uciekła. Po obiedzie dopomina się obietnicy swojej. Bratku powiada król, jeżeli mi wybudujesz złotą ulicę z srebrnymi brzegami od twojej chaty, aż do mego pałacu, to ci dam moją córkę.

Idzie on do domu i kładzie się za piec, duma sobie, czy to być może, co król mówił. Bierze pierwszą latarnię, otwiera drzwiczki, wyskakuje diabeł: czego żadasz? Aby mi była ulica złota z srebrnymi brzegami odemnie, aż do pałacu królewskiego, a po bokach żeby stały drzewa złote. Tego ja niemogę zrobić powiada diabeł. Bierze drugą latarnię, otwiera drzwiczki, diabeł wprawdzie wyskakuje, lecz tego uczynić niemoże. Bierze trzecią latarnię, otwiera drzwiczki, a ztamtąd sam Lucyper wyskakuje i pyta: czego żadasz? On mu powiada o takiej drodze złotej z brzegami srebrnymi. Lucyper zapewnia go, że wszystko będzie podług jego życzenia.

Jakoż z rana stanęła droga, król dziwi się i każe robić przygotowania do wesela. Królowna płacze, że z takim obdartusem stawać musi do ślubu. Poselają do niego, żeby się przebrał. Lecz on z fukiem odprawia wszystkich. Nareszcie zbliżyła się chwila odprowadzenia królowny do ołtarza, a on sobie za piecem rozciąga się w popiele. Przychodzą



ministrowie, żeby już wylazł z barłogu. Lecz on znowu ich zfukał. Nareszcie myśli sobie, trzeba przecie raz pójść. Bierze tedy trzecią latarnię, otwiera drzwiczki, a tu wyskakuje sam Lucyper, czego żądasz? Aby mi tu były złote szaty, wojsko najpiękniejsze, sto armat, i koń taki, żeby leciał w powietrzu. W okamgnieniu wszystko to było. Ubrał się tedy ślicznie siadł na konia i leci do pałacu, a tu muzyka rżnie i armaty huczą, a wszyscy dziwiają się temu przepychowi. Król bardzo kontent i królowna lzy otarła, gdyż mierzeniec wcale był przystojnym kawalerem. Odbył się ślub uroczyste wśród grzmotu armat i odgłosu muzyki, jakiej nikt jeszcze nie słyszał, a po ślubie kazał rozrzucić dukaty między lud zgromadzony, który niemógł się nachwalić hojności wspaniałomyślnej nowożeńca.

Po weselu powiada król do niego; gdzie ty będziesz mieszkał, przecież nie zaprowadzisz królowny do swojej chałupy. Ot wiész co, jest tu plac pusty na przeciwko mego okna, tam dla was wybuduję pałac, abym codziennie mógł was widzieć z okna mego. Zięć na to nie powiedział, jeno poszedł do swojej trzeciej latarni, otworzył drzwiczki, a ztamtąd wyskoczył sam Lucyper wołając: czego żądasz? Aby mi był do jutra naprzeciwko okien króla pałac złoty, jakiego w całym świecie niema, żeby wspaniałością wszystko przechodził, cokolwiek pod tym względem może być pomyślane. Zrana król okno otwiera, a tu blask bije w oczy, patrzy co to jest, a tam pałac stoi o jakim nawet nigdy nie marzył, prawdziwe cacko rajskie. — Biegnie król do tego pałacu, a tam witają go słudzy w złotych szatach i prowadzą do salonów gustownie umeblowanych, zięć wystrojony z królowną przyjmuje króla jak najświetniej. Znoszą sorbety, likwory, wina cypryjskie, ciasta, cukry i inne wyborne zakąski. Król zajada i popija, a tu zegary grają, ptaactwo w klatkach szczebiocze i śpiewa precudnie. Wiész co mój zięciu, powiada król, teraz nie żałuję, że ci dał moją córkę, gdyż tu sami Aniołowie mogliby mieszkać. Ale i córka wdzięczność swą okazała ojcu, gdyż do tego piecucha duszą i sercem przylgnęła.

Już niczego nie brakowało do szczęścia jego, zawiesił więc te swoje latarnie na strychu, matka jego mieszkała w pałacu otoczona zbytkiem bogactwa. Bawił się tedy piecuch łowami i wiele dobrego świadczył ubogim ludziom, przezco pozyskał sobie sławę ojca ludu. — Wnet rozbiegła się sława jego po całym świecie, wszędzie o niczem niemówiono, jeno o przepysznym pałacu i o bogactwach zięcia królewskiego. Dowiedział się też o tem i czarownik, który udawał niegdyś stryja, i opuścił leniucha pod ziemią. Oho! ten chłopiec niemusiał zginąć, to te latarnie takich cudów dokazują, pójdę przekonać się o tem. Jak myślał tak też zrobił, po wielu tygodniach podróży, stanął wreszcie przed pałacem, którego wspaniałość uderzająca przekonała go, że nie jest dziełem ludzkim. Kazał on sobie zrobić sześć pięknych latarni, a gdy zięć królewski łowami się zabawiał, stanął pod pałacem i woła: kto mi da trzy latarnie stare, dam mu za to sześć nowych. Usłyszała to królowna i powiada do służącego: przynieś mi ze strychu stare latarnie zamieniam za nowe i zrobię mężowi memu przyjemną niespodziankę. Zamieniała tedy latarnie. Czarnoksiężnik aż podskoczył, że tanim sposobem nabył takie skarby. Przychodzi mąż z łowów, a królowna pokazuje mu nowe latarnie, które za stare wymieniła. Mąż załamał ręce, zesmutniał, gdyż wróg zabrał mu szczęście jego.

Nazajutrz patrzy król, niema pałacu, a zięć jego jak pies na słomie leży. Mocno rozgniewany, kazał zawołać zięcia i uciąć mu głowę. — Lecz ministrowie i ludzie poczęli błagać króla, żeby mu przepuścił i pozwolił odszukać tego, co mu wydarte zostało. Ułaskawił go król, ale pod tym warunkiem, żeby królownę odszukał. Idzie on w świat daleki, w świat nieznaną przez kilka dni, aż tu mysz przebiega mu drogę i powiada: bierz mię z sobą ja ci dopomogę. Bierze on mysz i chowa za pazuchę. Idzie dalej, a tu kot wybiega i pyta, dokąd ty idziesz? On mu powiada, że idzie szukać żony. Zabierz mię z sobą. A jakże ja ciebie wezmę, kiedy ja mam mysz za pazuchą? Ja myszy nieznam powiada kot. Bierze on kota i sadza na ramieniu. Kot pacierze plecie,

a on idzie dalej, aż tu wybiega pies i woła dokąd idziesz? Idę szukać mojej żony. Ja z tobą pójdę powiada pies. Nie mogę cię wiaść, wszak widzisz, że kota mam na ramieniu. Ja kotowi nic nie zrobię, ja będę z nim żył w przyjaźni, pozwól mi tylko być twoim towarzyszem. Myśli on sobie, kiedy oni mogą żyć w przyjaźni, to może to jakie dusze szczęśliwe pan Bóg dla mego ratunku zesłać raczył. Wyjmuje mysz, siada sobie na murawie, stawia kota koło siebie i psa i powiada im, że on właściwie idzie szukać trzech latarni, gdyż jak one posiadać będzie, to wszystko do niego powróci. Po krótkim wypoczynku idą oni razem i przychodzą nad morze, patrzą na środku morza jest szklanna góra, a na górze stoi pałac złoty. Widzicie powiada podróżny, tam jest pałac mój, tam też będą i latarnie. Ale jak się tam dostać? Pies powiada, mysz i kota wezmę na plecy i przepłynę morze, ale na górze stoi wojsko i nie puści nas. Mysz odzywa się: płynmy pod wieczór, a gdy staniemy na górze, ja pierwsza pobiegnę, za mną niech kot idzie, a za kotem pies.

Jak uradzili tak też zrobili. Mysz biegnie naprzód, za nią kot, żołnierze śmieją się i wołają patrzaj! patrzaj! jak mysz ucieka przed kotem, a kot przed psem. Wpadli oni do pałacu cichuteńko czekali, aż się wszystko spać pokładło. Mysz wlaźła na strych, gdzie latarnie wisiały, odgryzła sznurki, dała kotowi latarnie, a psowi kawał duży pieczeni. Wracają tedy nazad, oddają pielgrzymowi nieszczęśliwemu latarnie, i pieczeń smacznie zjadają. Odprowadza ich do miejsca na którem przystali do niego i dziękuje im za ich bezinteresowną usługę. Otwiera latarnię trzecią, wyskakuje sam Lucyper i pyta czego żadasz? Aby mi był pałac wraz z królowną na tem samem miejscu jak przedtem. Natychmiast stanął pałac. Król patrzy przez okno jest pałac, biegnie do swojej córki i wita. — Wkrótce też sam umiera, zięć zostaje królem, a czarnoksiężnik z głodu ginie na szklanej górze.

---

## Lekarz.

Za dawnych czasów, gdy jeszcze sztuka lekarska nie była upowszechniona, był tylko jeden lekarz na całym świecie. Ze wszystkich stron zbierali się do niego ludzie: jedni dla otrzymania pomocy w swoich chorobach, drudzy zaś dla wysiedzenia tajemnic tego cudownego człowieka. Lecz niestety! wszelkie zabiegi stały się bezskuteczne przy nieuleczonej zazdrości lekarza, który nikogo nieprzypuszczając do swego towarzystwa, żony nawet niebrał dla siebie, ażeby tajemnica leczenia starannie na zawsze ukrytą została.

Z każdym dniem pomnażał się jego majątek, a z nim wzmagala się też niczem nie zwalczona obawa mędrców powtarzających smutną przepowiednię: że śmierć tego dziwnego męża, wielkiem nieszczęściem będzie dla cierpiącej ludzkości. — Przeto zwracano całą uwagę na ten ważny przedmiot, a jeden z filozofów wymyślił szczególny sposób do zdobycia tak ważnej wiadomości dla uszczęśliwienia całego świata. Zaparł się mowy i słuchu, a z poświęceniem nadzwyczajnym, jakie wytrawnego już uczonego znamionuje, podjął długą i niepewną pielgrzymkę do miejsca, w którym tajemniczy ten człowiek przebywał.

Stał wreszcie przed nim zgłodzony, zbiédzony, w postaci wcale niepokażnej, dając mu na migi do zrozumienia, że przyszedł szukać u niego służby. Niezwykła radość przebiegła oblicze lekarza, gdyż od dawna życzył sobie do pomocy człowieka głuchoniemego. Teraz jak gdyby mu z nieba spadł pożądaný służący; ale podejrzliwość z drugiej strony z czarnymi obrazami zdrady i chytrósci z taką natarczywością nań uderzyła, że zmieniając uprzejmość w surową groźbę zawołał: podły włóczęgo! znam cię lotrze niegodziwy! przyszedłeś mię okraść? Lecz filozof jak posąg marmurowy stał niewzruszony, jakoby tych słów wcale nie słyszał. Lekarz tedy przymilając się, począł szeptać do ucha: niebój się! pójdz za mną, nakarmię cię, przyodzieję cię, znajdziesz u mnie dobrą gošcinę. Lecz i te słowa niezrobiły najmniejszego wrażenia na filozofie stałym.

Uspokojony cokolwiek lekarz, gestami wołał filozofa za sobą i wprowadził go do drugiej świetlicy, gdzie mu dostarczył jedzenia i napoju. A ponieważ była to pora wieczorna, więc wskazał mu łóżko, na którym wygodnie mógł wypocząć. Sam zaś wrócił do swojej świetlicy i przechadzał się szybkim krokiem jako człowiek rozmyślający nad urzeczywistnieniem wielkich swych pomysłów. W świetlicy atoli podróżnego panowało głębokie milczenie, gdyż filozof strudzony wzniosłszy oczy i ręce ku Bogu w niemem zachwyceniu podziękował za cudowną nad sobą opiekę, a rzućwszy się na łożo, wkrótce zasnął snem sprawiedliwych. — Spostrzegliśmy to lekarz, znowu wszedł do świetlicy filozofa, a usiadłszy przy łóżku jego, pilnie śledził każde poruszenie, każde westchnienie badał, ażali nie wydobędzie się jakie słowo z ust śpiącego. Lecz troskliwe to badanie było bezskuteczne, filozof bowiem spał spokojnie. Nareszcie o północy zerwał się lekarz na obie nogi i z wielkim stukiem począł wołać: złodziej! złodziej! łapaj! ratuj! A gdy tak gwałtowne wołanie filozofa nieobudziło, powziął lekarz niejaki przekonanie, że albo spi twardo, albo że jest zupełnie głuchy, sam też udał się na spoczynek.

Piękny poranek przebudził najprzód filozofa, który w milczeniu dziękował Opatrzności, że go przyprowadziła pod strzechę świątyni cudownych wiadomości, od których szczęśliwa przyszłość współbliźnich zależała. Nie co później wstał i lekarz, a gestami wymuszonymi wskazał mu dzienną robotę. Odtąd pielęgnował filozof rośliny w ogrodzie, zbierał w polu kwiaty, i wysuszone do użytku krajał zioła. Lecz do żadnych tajemnic niebywał przypuszczony, bo chociaż praca jego szczerą mogła być zadowalniającą; jednak źródło lekarza ukrywającego starannie wszelki objaw dobroczynności przyrody, stawała mu ciągle na przeszkodzie. Razu nawet pewnego, gdy oba byli na polu, a filozof zbierał zioła mu wskazane, znieczeka przybliżył się do niego lekarz i zawołał: nocekaj wąż cię ukąsi! Lecz filozof niezmienił swej postawy, doskonale udał, jakoby niecaływał tej strasznej przestrogi. Przeżył szczęśliwie tę próbę, ale gdy pomyślał,

że po dwóch latach ciężkiej pracy nieprzyszł do żadnego rezultatu, wpadał w smutne zadumanie. — Lekarz bowiem pilnie wystrzegał się jego obecności. Lekarstwa przyrządzał wtedy, kiedy go w domu nie było. Sam na sam badał chorych i stosownie podawał leki. Żadnym słowem nie wyjawiał tajemnicy skuteczności przez siebie udzielanych środków. Lecz pomimo tej niedogodności, wkrótce miała nastąpić na biednego niemowę próba dziwnego rodzaju, — straszna pokusa miała przyjść na niego, którą rzadko kiedy człowiek w tem życiu zwyciężył.

Właśnie wtedy umarł lekarza brat wdowiec i zostawił córkę sierotę bez opatrzenia i przytulku. Przyjął do domu swego lekarz opuszczoną Zofię, ale pod tym warunkiem, ażeby nawet kosztem swych wdzięków wybadala tajemnicę skrytego filozofa. Zofia śliczna jak kwiatek polny, a do tego młodzianka, gdyż zaledwie czternaście wiosen przebujała w nierozważnej swej płochości podjęła się tego niebezpiecznego dla siebie poselstwa. Wszędzie miała na niego baczne oko; w ogrodzie, w polu i na łąkach nie odstępna była jego towarzyszką. A chociaż widok nadobnej dziewicy, na każdym mężczyźnie mile sprawia wrażenie; filozof jednak był wcale obojętnym. Jako ptaszyna łaskawa szczebiotała tedy koło niego, spiewała mu najtkliwsze pieśni, niekiedy nawet psoty mu wyrządzała niszcząc jego rośliny, które tak troskliwie pielęgnował. Filozof był niewzruszonym. — Cały rok fałszowała przywiązanie ukrywając swą chytrą i obłądę, która niestety przemieniła się w rzeczywistą skłonność. Całem sercem pokochała filozofa, bo on był w samej sile wieku, a do tego kształtny, ujmujący, pracowity i poczciwy bardzo. Szlachetne te przymioty uwięziły całą postać dziewicy, a płochość ustąpiła miejsce smętnej posępności. Gdy go niewidziela, duchem wymykała się ku niemu, a gdy się pojawił, ręce i nogi leciały ku niemu. Pewnego dnia gdy usiadł z pracowany pod cieniem lipy rozłożystej, ona do nóg mu się rzuciła, pocałunkami i łzami obsypała stopy jego ciągle powtarzając: Obym tylko jedno słowo usłyszała z ust twoich! powiedz, że mię kochasz, a Zosia będzie szczęśliwą.

Albo napisz mi to błogie słowo, na korze, lub listku drzewa, Zosia wdzięczna będzie obok serca nosić pismo twoje. Narzecie w postawie klęczącej z rękami do modlitwy złożonemi błagała go o wzajemność dla siebie. Filozof jedną rękę przyłożył do piersi, a drugą wzniosłszy do góry, dał jej do zrozumienia, że Bóg jest świadkiem, jako podziela wszystkie jej uczucia.

Zaspokojona, ale zmęczona i splotkana udała się do świetlicy, gdzie bolesnym zawołała głosem: Stryjku kochany! biedny nasz niemowa nie tylko że mówić nie może, ale nawet czytać i pisać nie umi. Na tę wiadomość rozweseliła się twarz lekarza, gdyż tego mu właśnie było potrzeba. Zupełnie się uspokoił względem podejrzliwości, która go tak srodze nękała i przypuścił głuchoniemego do tajemnic sztuki lekarskiej. Z wielkim zapalem korzystał filozof z łaski niespodziewanej i wkrótce stał się prawą ręką lekarza. Sam przyrządzał lekarstwa i wszelkie badania chorych odbywały się w jego przytomności. Równie też postrzegł, że lekarz wprzód nim wyszedł z domu, w celu szukania ziół skutecznych, wydobywał z szafy małą buteleczkę, z której kilkanaście kropeł jakiegoś płynu białego wpuszczał do ust swoich, a zatkawszy buteleczkę szczelnie znowu kładł na miejsce swoje. Dorozumiał się, że to musi być jakaś tajemnicza siła działająca przeważnie na wiedzę umysłową człowieka i postanowił doświadczyć skutku nieznanego likworu, ku czemu wnet nastroczyła się pomyślna bardzo okoliczność.

Wezwany lekarz do chorego wyjechał w daleką stronę z kądem dopiero za kilka dni miał powrócić. Nieobecność jego posłużyła nader szczęśliwie filozofowi do urzeczywistnienia zamiaru pożądanego. Wnet też przystąpił do szafy i wydobył tajemniczy likwor, który przez chwilę oglądał, a potem wpuściwszy kilkanaście kropeł do ust, zatkał starannie i postawił na miejsce przeznaczone. Natychmiast uczuł niepojęte jakieś wrażenie we wszystkich żyłach ciała swego i gwałtownie coś go w pole ciągnęło. Udał się niebawem za pociągami tego natchnienia i zaledwie stanął na łące, zdawało mu się, że wszedł do salonu ludzi uczonych, ruch

i gwar nadzwyczajny powstał, rośliny wszystkie gadały. „Ja od bólu głowy, ja na febrę, ja na zapalenie wątroby, a tuż przy nim wcale niepokazne ziółko wołało natarczywie: ja przeciwko truciznie, trzeba mię ususzyć i na proszek zetrzeć, po zatruciu zażyć, ja każdą choćby największą truciznę zneutralizuję, weź mię, wkrótce ci się przydam nie pożałujesz tego“. Nie gardząc takim wezwaniem, uszczknął filozof kilka liści tego zioła cudownego, zawinął w płatek i schował do kieszeni. Długo jeszcze przechadzał się po łące upojony weselem duszy wśród niepojętego zjawiska, a gdy wszystko się uspokoiło, rzekł rozczulony: Mój Boże! cała przyroda ręce wyciąga do człowieka, a on jej niepojawia, wszystkie rośliny rwą się ku jego pomocy, a on niebaczną depece zbawienne ich cele. 13)

Hojnie tedy wzbogacony na umyśle, wesoło powracał do domu, gdzie nadobna Zosia niecierpliwie oczekiwała przybycia jego. — Przyjął jej serdeczne powitanie prawdziwie ojcowskim uczuciem, a nie przekraczając granic przyzwoitości, dał jej tylko do zrozumienia, żeby cierpliwie wytrwała, gdyż niezadługo spełnią się ich gorące życzenia. Przybył i lekarz uszczęśliwiony bardzo, że mu się kuracja powiodła i rozpoczął się na nowo dawny monotony tryb życia, któremu wszakże trzeba było już raz koniec położyć. Dziesięć lat już ubiegało od przybycia niemowy, który żelazną wytrwałością, wykształcił się na dobrego lekarza, a nawet biegłością w tej sztuce wyżej stanął od mistrza swego.

---

13) Nowosielski Antoni. Lud Ukraiński. Wilno 1857 T. II. str. 354 powiada, że Tatarzyn kazał niewolnikowi kawałek ogromnego węża, co się płodzą w trawie stepowej, gotować siedm razy w wodzie i wylewać za każdą razą, póki wylawszy na ziemię juskę, trawa nie będzie zieloną. Z początku woda była czarna, aż za siódmym gotowaniem zieloną. Zjadł niewolnik kawałek z tego węża i rozwidniło się mu w głowie, widział jak trawa rośnie, rozumiał, co ćwirają ptaki, drzewa, zioła rozmawiały. — Z tą wiadomością ucieka niewolnik, Tatarzyn biegnie za nim i powiada: Jwane jak przyjdziesz do domu, nawary Czornobylu, napyjsia, to budesz bilsze znaty. Chłop posłuchał i nic więcej niewiedział. — Bądź co bądź, ludzie muszą przyjść do wiedzy tajemnic przyrody.



Rozchodziło się tylko o sporządzenie tego likworu, w którym cała tajemnica rozpoznania skuteczności roślin spoczywała. Przemysliwał więc nad środkami zdobycia tej tajemnicy. Razu nawet pewnego, tak się w tych myślach zatopił, iż niepostrzegł, jako dwóch ludzi przed nim stanęło. Byli to posłowie jakiegoś zamożnego pana wzywającego pomocy lekarza, gdyż zdawało mu się, że coś w głowie jego łąziło. Poprowadził ich do lekarza, który po bliższem zbadaniu posłów osądził, żeby niemowę także wziąć ze sobą.

Po raz pierwszy oba wyjechali z domu, a stanawszy na miejscu, znaleźli chorego znękanego w stanie oplakania godnym. Trzeba było dokoniecznie trepanować głowę, dla usunięcia tych cierpień przerażających. Ponieważ zaś niemowa doskonałym był operaterem; przeto trepanowanie odbyło się w okamgnieniu. A gdy podniesiono czaszkę z przerażeniem postrzegli, że duża żaba siedziała na mózgu cierpiącego, którą lekarz szczypczykami zdiąć próbował.

Stój! co robisz, zgubisz człowieka, zawołał niemowa. Żaba dobrowolnie nieustąpi, bronić się będzie, pazurkami pokaleczy błonkę mózgu i zabijesz człowieka.

Osiupiał lekarz na odgłos tak pewnej, a tak płynnej mowy głuchoniemego. Lecz ochłonawszy po chwili z podziwu, zapytał mistrz ucznia swego: cóż teraz robić wypada?

Trzeba na żabę w ogniu rozpalić szczypczyki, papier biały podłożyć, ażeby żaba miała na co wyskoczyć. W samej rzeczy to pomogło. Filozof rozpalił żelazo w ogniu, podłożył biały papier i zaledwie żabę dotknął, żaba na papier wyskoczyła. Zaraz czaszkę nazad przyłożył, skórę zaszył, posmarował maściami, obwiązał i cierpiący przy troskliwej staranności głuchoniemego do zupełnego powrócił zdrowia. Radość filozofa nieznana granic, zwłaszcza że rekonwalescent przez wdzięczność hojnie obdarzył i wyprawił zbawców majątku i życia jego.

Ale w sercu lekarza wrzały wszystkie namiętności razem. Bolesnie dotknięta zazdrość jego, jak Wulkan rozpalonej groziła srogim wybuchem. Wtedy to ujrzał przed sobą bezdenną otchłań, w którą go niczem nieuleczona nienawiść

wtrącała. Wtedy dopiero przekonał się, że niemowa nie był pospolitym człowiekiem, gdyż zaprzeć siebie samego tak statecznie, by przez dziesięć lat ani słowa niewydać z siebie, na to jeniusz tylko mógł się zdobyć. A ponieważ nienaletał do ludzi szlachetnych, którzy największemu przeciwnikowi braterską rękę podać są gotowi; przeto postanowił srodze zemścić się na niemowie. Przez całą drogę niemówili do siebie. Przybywszy do domu, razem weszli do świetlicy, którą dobrze zamknawszy, lekarz przystąpił do filozofa mówiąc: Oszukałeś mię haniebnie, dosyć już będzie tej komedyi. My razem istnieć niemożemy, jeden drugiemu musi się ustąpić, ty mnie, a ja tobie podam truciznę, razem pić będziemy, a który z nas przeżyje, ten zwycięży.

Zgoda! zawołał filozof i wzięli się oba natychmiast do przyrządzenia trucizny. Lekarz namieszał jakiegoś licha tak zabójczego, że nie tylko człowieka, ale nawet słonia mogło na ziemię powalić. Filozof zaś na prędko zgotował kawał loju i podał w szklaneczce lekarzowi. Oba naraz truciznę do ust przyłożyli, w jednej chwili oba wypróznili szklaneczki. Lekarz trupem padł od razu, bo mu gorącego sadła załzał za skórę niemowa. Filozof zaś zaledwie miał tyle czasu by wydobyć z kieszeni owe ziółko, które się tak serdecznie wpraszało do niego, a utarłszy one na proszek i zażywszy, sam też bez zmysłów powalił się na ziemię.

To gdy się działo w świetlicy, stara gospodyni wybiegła z nowiną do ogrodu, gdzie Zosia kwiaty pielęgnowała. Panienko miła, już przyjechali nasi. Ale pan tak był zmieniony, że go ledwie poznała. Jeszcze nigdy nie był w tak złym humorze i niemowa cokolwiek zesmutniała, musiała im się kuracja nieudać. Słowa gospodyni złowrogiem uczuciem ogarnęły dziewczę, która wnet poskoczyła ku świetlicy. Ale drzwi były mocno zawarte i ponura cisza wewnątrz panowała. Pobiegła tedy do okna i załamując ręce z boleścią zawołała: Oba bez duszy na ziemi leżą! Obie tedy poczęły płakać i krzyżeć, a na krzyk niewieści zbiegli się ludzie z sąsiedztwa, drzwi odbili i przekonali się, że lekarze truciznę zażyli. Filozof wybladły żył jeszcze wprawdzie, ale

widocznie pasował się między życiem a śmiercią. Podniesiono go i złożono na łóżku. Lekarza zaś skostniałego złożono na katafalku i na drugi dzień pochowano.

Zosia nieodstępowała łoża chorego filozofa, który niepotrzebował żadnej ludzkiej pomocy, gdyż w nim cudowna siła działała, ziele dobroczynne zneutralizowało wreszcie truciznę. Dnia trzeciego podniósł się, a widząc obok siebie kochankę zawołał: Zosieńko kochana! niech będzie Bóg pochwalon! ludzkość ocalona!

Ty mówisz serdenko moje, twój głos pozbawia mię zmysłów, mdleję z rozkoszy! i rzuciła się bezwładnie na łono filozofa wzruszona Zosieńka. Pochwycił w swe ręce omdlałą i wpatrywał się w jej prześliczne a niewinne oblicze. Jak we śnie magnetycznym, długo leżała dziewica i zdawało się jej, że widzi przed sobą organ wybornej budowy, z którego żaden człowiek nie mógł tonu wydobyć. Nakoniec przyszedł sam Anioł z nieba i poruszał wszystkie klawisze bezskutecznie, gdyż organ nieodzywał się. Zgniewany Anioł zapalił pochodnię, aby zniszczyć niepożyteczne dzieło. Wtem odezwały się najprzyjemniejsze tony organu i w miarę jak one harmonijnie rosły, dziewica przychodziła do siebie, oczy otworzyła i zobaczyła poważną twarz filozofa nad sobą pochyloną, a po raz pierwszy złączyły się ich usta.

Zosia została żoną jego i była bardzo szczęśliwą. Filozof pełnił gorliwie, a bezinteresownie obowiązek lekarza, gdyż podróżnym i ubogim bezpłatnie służył i pomagał. Martwiło go tylko, że przez zazdrość nieboszczyka lekarza, sporządzenie cudownego likworu zostało na zawsze tajemnicą. Znalazł jeszcze cokolwiek tego płynu w buteleczce. Dwa razy zażywszy, chodził po łąkach i spisywał starannie wyznane każdej rośliny, której imię nadawszy, dodawał zewnętrznej onej własności opisanie. Zebrał wszystkie swoje doświadczenia w jedną księgę i podał te drogocenne skarby swoim dzieciom i wnukóm, aby sztuka lekarska ustalić się mogła na całym świecie.

---

## Lokaje.

Zaproszony Dominikan na obiad Magnata, przyprowadził z sobą lokaja, który nigdy nie był przy wielkich dworach. Służba dworska poznała fryca i gdy zasiedli do stołu goście, każdy z nich miał sługę za plecyma, który odmieniał talerze. Słudze dominikańskiemu nie dano serwetki do rąk, którąby mógł talerze obcierać. Gdy zaś nalegał, żeby mu przynajmniej ścierkę dano, jeden z lokajów wskazał na biały szkaplerz Dominikana, którym też sługa obcierał talerze i podawał panu swemu. Lecz gdy z jednej strony już był brudny szkaplerz, sięga z przodu po drugą połówkę szkaplerza. A to na co? pyta Dominikan. Z tyłu już jest tak zawalany powiada lokaj, że nie można talerza obetrzeć. A żeby cię wszystkie diabli wzięli, co ty ze mnie zrobił. Była to dobra nauka dla mnicha, żeby się nie pchał do pańskich stołów.

Podczas wielkiego balu dano lokajowi dużą gałązkę z liśćmi w rękę, aby odganiał muchy. A ponieważ było w tedy bardzo gorąco i obiad niezmiernie długo trwał, przeto lokaj spuścił powoli gałązkę w kremy i zdrzymał się. Pan zawołał na niego: Michale co robisz? Aha przebudzony podniósł gałązkę dobrze zamoczoną i wszystkich dokładnie obryzgał kremem.

## Łowiec.

Wdowa jedna miała jedynaka, którego bardzo kochała. Póki był młodzieniaszek mały, póty też trzymał się domu przy pieczętotach matczynych. Lecz podrosłszy, gwałtem napierał się na łowy. Matka przyrzekła mu sprawić stosowny do tego ubior, na który on niecierpliwie czekał. Sama wyhaftowała mu prześliczny sajdak, zaciesała piękne jego kędziory, włożyła żupanik złocisty i wyprawiając go na łowy upominała, żeby niedługo bawił i wracał do swej tęsknej matki.

Młodzieniec przepasawszy sajdak z strzałami, pochwyił łuk w rękę i wyrwał się z uścisków serdecznych matki. Przyległy lasek miał być pierwszą próbą tej rozkosznej wycieczki. Zaraz na wstępie przywitała go śliczna ptaszyna siedząca na drzewie swoim precudnym spiewem, który go tak mocno zajął, że postanowił złapać tę ptaszynę. Wydrapał się za nią na drzewo, gdyż zdawała się być bardzo łaskawą. Lecz gdy już miał w rękę pochwycić, psotnica uleciała na drugie drzewo. Rozgniewany zlązł z drzewa, wyjął strzałę, wyteżył łuk i puścił z cięciwy, by ugodzić ptaszka, lecz na próżno leci strzala z cięciwy, ptaszyna ocalona spiewa jeszcze piękniej i usiada na ziemię. Młodzieniec znowu do niej, a ptaszyna dalej na drzewo. Cały dzień biegając bezskutecznie, zabłąkał się w lesie tak dalece, że już niepodobna było myśleć o powrocie do domu. Z wielką radością zobaczył w dali pałac, do którego też zdązał.

Przyszędłszy na miejsce, drzwi się otworzyły, a mężczyzna wieku średniego zaprowadził go do pokoju, gdzie były różne potrawy na stole czysto zakrytym, któremi pokrzepiwszy się, udał się do innego pokoju na spoczynek. Zmęczony rzucił się na łożę mniej zważając na to, że w jakimś tajemniczym pałacu znajduje się. Zrana dopióro otworzyły mu się oczy, gdy znowu owego mężczyznę nad sobą stojącego obaczył. Poszedł za nim do pokoju, gdzie był stół rozmaitemi potrawami zastawiony. Posiliwszy się nieco prosił, żeby mu osobliwości tego pałacu pokazano. Prowadził go wszędzie nieznajomy, nareszcie stanął przed framugą i otworzył drzwi tej framugi, a tam ukazał się prześliczny salon, którego podłoga była smaragdowa, ściany szafirowe, a sklepienie brylantowe. W tym salonie przechadzała się panna ładna, młoda, a tak lekka, że zdawała się płynąć po smaragdowej posadzce. — Młodzieniec zachwycony urodą panny stał nieporuszony jak posąg do ściany przykuty, zdawało mu się, że jego duch uleciał, żeby się połączyć z tą anielską istotą.

A co widziałeś młodzieńcze? zapytał nieznajomy mężczyzna.

Ach widziałem zawołał młodzieniec i zapłakał łzami wesołej tęsknoty. Panie ktokolwiek jesteś, zmiłuj się nademną, utul moje serce tak ciężko zranione.

Ja ci nie nieporadzę, jestem tylko stróżem tego pałacu, wiem tylko tyle, że kto ową ptaszynę, za którą dnia wczorajszego uganiałeś się, żywcem złapi, tego będzie ten pałac i ta piękna panna, która cię tak mocno zachwyciła.

Wyleciał jak oparzony młodzieniec, by ścigać ową tajemniczą ptaszynę, która jeszcze piękniej szezebiotała, a podlatując z krzaczka na krzaczek w głąb lasu młodzieńca wprowadzała, ztamtąd zaś ku wieczorowi znowu do pałacu pomykała. Znużony młodzieniec znowu powrócił do pałacu, gdzie zastał toż samo gościnne przyjęcie, gdzie znowu widział przedmiot ubóstwiany i znowu zapalił się do gonienia za ptaszyną śpiewającą. — Tak zbiegały dni, miesiące i lata, ptaszyna ciągle śpiewała i trudziła nieszczęśliwego łowca bezskutecznie. Nareszcie dnia jednego zasępiło się niebo, chmury ciężkie przeciągały w powietrzu i śnieg przyszyć poczynął. Wyszedł łowiec z pałacu i zaledwie kilka kroków postąpił, zobaczył ptaszynę leżącą na drodze, podniósł, lecz w ptaszynie życia już nie było. Pojrzy w tę stronę, gdzie był pałac, niebyło już pałacu. Starzec tylko sędziwy stanąwszy przed nim rzekł: Łowcze wybiła już ostatnia godzina dla marnej rozkoszy, za którą całe twe życie ubiegałeś się, dziś cię smutna rzeczywistość otacza, a tam, wskazując ręką, jest twoje miasto rodzinne.

Co powiedziałwszy zniknął, a łowiec biędny uczuł niemiłe poraszenie powietrza i broda siwa ukazała mu się i ciężar sześćdziesięciu lat pochylał go ku ziemi. — Idzie do miasta, ale tam wszystkie twarze nieznanym, stanął wreszcie przed domem, w którym się urodził, poznał te drzewa, które ręka ojca jego zasadzała. Wstąpił w progi rodzinne, ale tam niebyło już matki, która zapewne z tęsknoty za nim, wczesnie podziemne zwiedziła mieszkania. Wszyscy na niego z podziwieniem poglądali, nikt niewiedział o jego matce. Wyszedł łzami zalany z domu rodzinnego, który go przyjął niechęcia i przechadzał się smutny po ulicach, a przechodnie wołali za nim: Nawiedzony! Obląkany!

Siadywał na kamieniu i wpatrywał się w progi ojczyste domu swego, a kiwając głową często wołał: Wróćcie się lata młodości, jakże miło was wspominać, jak błogo podumać o was! Pewnego poranku, znaleziono starca na kamieniu, schyloną miał głowę na dłoni, zdrzymał się bowiem do snu wieczności.

## Maciek.

Był Maciek w wojsku bardzo niechętnie, bo mu tak kazali; byłby uciekł z wojska, ale go trzymali. Zecyrka bardzo go trapiła, zwłaszcza że nierozumiał swoich mistrzów. Miał początkowo jakiegoś czecha, który go uczył: jak sem powiem rechts szaut, to sem kukajcie na prawo, jak sem powiem links szaut, to sem kukajcie na lewo. Maciek był posłuszny mistrzowi, skoro zawołał rechts szaut, to on z całego gardła wołał: kuku! kuku! ale za to dostawał kolbą w gębę i w kark kulakiem. Dostał znowu Niemca za mistrza, który mu ciągle szwargotał: halbrechts, halblinks, rechtsum, ale Maciek na to wszystko stał nieporuszony, za co też dostawał mnogo bicia. Lecz tego było mu już za nadto i obracając się do mistrza rzekł: powiedzcie mi; panie Macieju obróćcie się! to ja się obrócę, ja nierozumiem waszego, harum, bizom, szwander, mander.

## Matematyka.

Syn powróciłwszy ze szkół do ojca, gdy mu dano jaj cztery, zaczął dysputę dla okazania swego rozumu uczonego dowodząc, że jest siedm jaj. Ojciec zdziwiony powiada, że tylko cztery widzi. Syn nadęty jak półtora nieszczęścia dowodzi: gdzie są cztery, tam są trzy, a gdzie cztery i trzy, tam siedm. Ojciec wziąwszy tedy jajka powiada: kiedy tak, to ja zjem te cztery, a ty zjedz sobie tamte trzy.

## Mazurka.

Matka zakazała córkom u stołu przy kawalerze wydać się z mazowiecką mową. Ale kawaler dokoniecznie

chciał wiedzieć jak panny mówią. Posunął tedy kaszę pod jedną mówiąc: proszę na ten bigos. Panna rozśmiała się i powiada: to nie bigosz, ale kasa. Druga na to odezwała się; miła głupia, na co się wydajesz? a trzecia dodała; pamiętajcieś ze ja milcała, i tak wszystkie się wydały.

## Św. Mikołaj.

Pobożny ten biskup chodził z diakiem po domach nauczając i modląc się przykładnie. Razu pewnego darowano mu baranka. W polu tedy blisko lasu będąc, św. Mikołaj powiada do diaka: zabij jahnne, a wontrubku dla mene schowajesz, ja pidu po chlib do mista. Diak łakomy najprzód upiekł sobie wątróbkę i zjadł. Przychodzi św. Mikołaj i pyta o wątróbkę. Diak przeklina się że nie było wątróбки. Po tej utarczee, zbrali się razem w dalszą drogę. Przychodzą do pewnego miasta, w którym córka pewnego pana bardzo chorowała. Zawołano św. Mikołaja do tego domu, aby uzdrowił córkę tego pana. Św. Mikołaj zamknął się w pokoju, pokrajał na kawałki dziewicę, zgotował w kotle, potem poskładał wszystkie części ciała, dmuchnął na ciało, a córka powstała zdrowa jak ryba, jak gdyby nigdy niechorowała. Pan uradowany, otworzył swój skarbiec i zaprowadził św. Mikołaja, żeby sobie wziął, co się mu będzie podobało. Diak skoro obaczył takie skarby, z radości zawołał: Wsio berim. Lecz św. Mikołaj wziął sobie tylko stoczek woskowy i poszedł w dalszą drogę.

Diak rozgniewany począł besztać św. Mikołaja, że nie dba o niego i że dalej z nim chodzić niebędzie. Opuszcza tedy diak św. Mikołaja, sam chodzi po domach naucza i modli się. Przychodzi do pewnego miasta, gdzie był wielki pan bardzo chory. On sobie myśli, przecież widziałem kurację córki chorej przez św. Mikołaja, dlaczegoż bym to samo nie mógł uczynić. Zgłasza się więc do tego pana, że go uzdrowi. Zamyka się z panem, kraje go w kawałki, gotuje w kotle, nareszcie składa członki do kupy, dmucha, chucha, lecz trup niewstawał. We dworze wielki powstał



hałas na niegodziwość dokonaną, związali diaka i na śmierć osadzili. — Prowadzą go już na szubienicę. W tłumie przestrzega diak św. Mikołaj, nuż tedy do niego: Ej światy Otcze Mykołaju, podaj ruku, nedaj propasty. A św. Mikołaj pyta; a kto zjiw wontrubku skaże prawdu? Bihme szczo ne ja, zaklina się diak na wszystko i prosi, żeby się zlitował nad nim. Coż miał robić św. Mikołaj z biędą, wyprosił go od szubienicy i uzdrowił pana zamordowanego.

Idą więc znowu razem dalej i znachodzą kupę pieniędzy. Św. Mikołaj pobłogosławił i podzieliwszy na trzy części powiedział; to dla mene, a to dla tebe. Diak rozciekawiony, dla kogo byłaby trzecia część przeznaczona pytał: a treta kupka dla koho? To dla toho powiedział św. Mikołaj, kto wontrubku zjiw. Taże to ja zjiw wontrubku odpowiada diak. A typesi synu ide do ditczoje matery wid mene, zgromił go św. Mikołaj i poszedł w dalszą drogę.

## Św. Mikołaj.

Na Rusi osobliwie na Pokuciu jest patronem wilków św. Mikołaj. Ludzie uważają, gdzie wilcy wyją na św. Mikołaj, tam też i młode mieć będą. Na uroczystość św. Mikołaja schodzą się wilki, a każdy otrzymuje przeznaczenie swoje kogo ma pożreć. Razu pewnego wylazł na drzewo ciekawy człowiek, aby się dowiedzieć co mówi św. Mikołaj do wilków. Zebrali się wilki, a św. Mikołaj każdemu mówił; ty zjész woł<sup>u</sup>, ty owcę, ty świnię, ty barana i t. p. nareszcie jeden jeszcze pozostał i pyta kogo ja mam zjeść? Tego, co jest na drzewie powiada św. Mikołaj. Poczem wszysecy się rozbiegli. Zlazł i człowiek zdrzewa i miał się na ostrożności. Trafilo mu się nocować w polu, ale wiedząc o tem przeznaczeniu, niekładł się z boku, jeno w sam środek między parobki. Wilk przyszedł w nocy, wyciągnął go ze środka i zjadł. 14)

---

14) Nowosielski Antoni Lud Ukrainski Wilno 1857 T. II str. 140, powiada że na Ukrainie jest mniemanie, jakoby wilki były pod opieką

## Mucha.

Zjadł muchę ojciec u stołu, rzecze syn: panie ojczy muchę zjadłeś. Za którą łyżką pyta ojciec. Za trzecią powiada syn. Ojciec syna w gębę, czemuś niepowiedział przędzej blaznie. Syn porwawszy się od stołu rzekł: Teraz ojczy, choćbyś i diabła zjadł, to ci więcej tego niepowiem.

## Muszenka.

Spowiadał się chłop, że znalazł woreczek z pieniędzmi. Ksiądz mu na to powiada, że to wielki grzech, znaleźć i nie oddać właścicielowi, że to tyle znaczy, jak by ukradł. A coż ja mam robić zapytał chłop, kiedy się nikt po pieniądzu niegłasza. — To trzeba obwołać, gdzie publicznie, a jeżeli się nikt do zguby nieprzyzna, to pieniądze będą twoje powiada ksiądz. Był tedy w miasteczku jarmark, staje więc chłop filut na kupę śmieci i woła: Najszowym muszenoczku, dodając jak najciszej „z hriszmy“. Wołał tedy kilka razy, ale nikt się do próżnego woreczka przyznać niechciał.

## Muzykant.

Ubogi rybak wdowiec miał syna, który wyuczył się bardzo pięknie grać na flecie. Wysłał on tego synaczka z rybami do miasta, gdyż był postanowił, że cokolwiek będzie miał zarobku z rybołówstwa, wszystko to ofiaruje na msze święte za duszę nieboszki swej żony. Chodził tedy synaczek z rybami sprzedawał w mieście, gdzie szczególnie wabiła go do siebie pewna młoda wdówka. Dawała mu nawet pewnego razu kilka groszy osobno. Lecz ojciec kazał te pieniądze oddać. Drugi raz sprawiła mu piękny surducik,

---

św. Jerzego, że kiedy wyją, proszą patrona swego o żywność gdyż nie sami przez się porwać nie mogą. Na Pokuciu patronem wilków św. Mikołaj, nawet zimę on zaczyna, gdyż wyraźnie mówią gdy śnieg upadnie świąty Mykołaj potrias borodoju.

ale i to kazał ojciec oddać. — Wdówka niezrażając się tem, namawia chłopca, żeby on do niej przyszedł, że go na człowieka wykieruje. Powiedział on to ojcu, który wcale nie bronił mu tego. Idzie on do tej wdowy niby na służbę. Ona go przebiera w piękne suknie, każe go uczyć w szkołach, gdzie w samej istocie w naukach i muzyce wykształcił się na mistrza znakomitego. Wdowa namawia go, żeby się z nią żenił. Zezwala na śluby małżeńskie z wdową, która bardzo sute sprawiła weselisko. Lecz podczas uczy czegoś się tak zaśmiała, że to nowożeńca bardzo obeszło. Gdy goście wyszli, on począł nalegać na nią żeby mu powiedziała, dlaczego się śmiała. Ona niechciała wyjawić przyczyny. Ja sobie śmierć zrobię, jeżeli mi nie powiesz nastaje nowożeńiec. Tak ona mu powiada, że pomyślała sobie, że on był dawniej holyszem, a teraz panem został i z tego się śmiała.

Tak go to rozgniewało, że zrobiwszy się głuchoniemym żonę porzucił i w świat poszedł. Przychodzi do pewnego miasta, gdzie był król utrzymujący nadwornych muzykantów, których było obowiązkiem podczas obiadu i innych uroczystości grać i gości zabawiać. Wstąpił on do nich jako do swoich kolegów. A oni pytają się, co on za jeden. On napisał na kartce, że jest muzykant. Oni mu dali instrument, on zagrał, ale tak pięknie, że się w nich zazdrość obudziła i chcieli go za drzwi wytrącić. Ale on takiego krzyku narobił, że sam król przybiegł i zapytał co to takiego? Muzykusy powiadają, że przyszedł głuchoniemy, udaje że jest muzykantem, a grać nieumi, o toż my go za drzwi wypychamy, niech sobie idzie. Dajcie mu pokój król powiada i każe mu grać na jakim instrumencie. Jak zagrał, tak król osłupiał z podziwu, gdyż nigdy jeszcze podobnej melodii nie słyszał. Zaraz go przyjął i zrobił kapelmistrzem dworskiej orkiestry, a muzykusy nosy powieszali, że jakiegoś włóczęgi słuchać musieli. Przyczem też wydał rozkaz, że ktokolwiek by wyleczył kapelmistrza jego ulubionego z niemoty, tego znacznym majątkiem wynadgrodzi. Kilku lekarzy zlakomiwszy się na obietankę podjęło się kuracyi, lecz i majątku nie dostali i głowy potracili. Nareszcie przyjechała jego żona

i zgłosiła się do dworu jako lekarka niemoty. Przyznała się do niego, całowała go po rękach i nogach, lecz on nie chciał ani słowa przemówić. Skazano ją na śmierć, już była pod szubienicą, już hycliki wiązali jej ręce, już ją do góry ciągnęli, wtedy krzyknął kapelmistrz nie pozwalam! I uwolnił żonę swoją, a król z uciechy zapisał mu dziesięć wsi. Odtąd też żył w zgodzie z swoją żoną, która mu niemógła hołystostwo przypomnieć więcej, gdyż sam dorobił się fortuny.

## Mydło.

Chłopu na dychawicę poradzono migdałów. On przez drogę zapomniał, w mieście pyta się, gdzie tu sprzedają, myg, myg, rozumiejąc ludzie, że o mydło pyta, pokazali mu. On kupił, uskrobawszy zjadł, a gdy go przeczyściło, ozdrowiał.

## Nabiał.

Szwajcarowie w poście z nabiałem jedząc, nigdy jaj nienżywają. Gdy im katolik jeden przymawiał, że i to nabiał, odpowiedzieli, że nie, bo włożyć masło, albo sér pod krowę, to nie będzie ciele, a zaś włożyć jajo pod kurę, to będzie kurcze.

## Nagrobek.

Proboszcz pewny uzbierawszy nieco grosiwa wpadł na domysł, żeby pieniądze w kościele wksztalcie nagrobku ukryć. Jakoś sam wykuł framugę w ścianie, złożył pieniądze, a zwierzchu przyłożył tablicę marmurową z napisem: „tu spoczywa złotousty Kręcicki“. Długi czas nagrobek był w całości. Razu pewnego zmiatając prochy w kościele organista wlaź za ołtarz i postrzegł ten nagrobek. Zdziwiło go to bardzo, gdyż tam niebyło przedtem tablicy, powoli przypatrując się, zaczął nożem dłubać, wysadzać, nareszcie wypadła tablica. We środku ukazał się spory worek dukatów.

Aha to ty panie złotousty Kręcicki tu spoczywasz? poczekaj-no trzeba cię ztąd wykręcić. Worek schował, tablicę nazad położył, a do dawnego napisu dodał: Zmartwychwstał nie masz go tu!

## Niedźwiedzie.

W jednym państwie był straszny niedźwiedź, który wiele ludzi pomordował, już dalej przychodziło do tego, że miał króla z jego całym dworem rozszarpać. Król w rozpaczy wydał odezwę, że ktokolwiek się znajdzie taki, któryby przespał jedną noc z niedźwiedziem, tego ożeni z córką swoją i da mu królestwo. Wszyscy uciekali od tego miejsca, gdyż nocując z niedźwiedziem, niemożna było być pewnym życia, a od tego właśnie zależało zwycięstwo, żeby przynajmniej jedną noc z niedźwiedziem przespać. Trafił się jednak żołnierz wysłużony, który podjął się tej przysługi, wziął z sobą świecę, orzechy i skrzypce i poszedł na noc do niedźwiedzia. Nim się zmierzchno, począł gryźć orzechy. Co ty robisz zapytał niedźwiedź? Jem sobie orzechy, skosztuj i ty, i podał mu czysty orzech. Niedźwiedź zakosztowawszy prosi go, żeby mu więcej dał orzechów. Żołnierz podał mu kamienie podobne do orzechów, gryź sobie sam jeżeli jeść chcesz. Niedźwiedź gryzie, ale niemógł ugryźć i wielkie powziął uszanowanie dla żołnierza, który z taką łatwością gryzł orzechy. Gdy się zciemniło zapalił żołnierz świecę. Co ty robisz? zapytał niedźwiedź. Ja robię słońce powiada żołnierz. Ale twoje słońce świeci tylko nie grzeje, szydzi niedźwiedź. Włóż no język do tego słońca, powiada żołnierz, a obaczysz czy to słońce nie grzeje. Wywalił niedźwiedź język, a przyłożywszy do świecy popiekł się niepospolicie. Żołnierz zagrał mu jeszcze na skrzypcach. Podobała się niedźwiedziowi muzyka, nuż tedy w prośby, żeby go żołnierz grać nauczył. Oho bratku nie tak to łatwo grać się nauczyć, ja muszę tobie najprzód wyprostować łapy, włóż no tu między deski łapy, aby się wyprostowały. Usłuchał niedźwiedź i włożył łapy między deski, które żołnierz klinem tak zabił

że się niedźwiedź nie mógł ruszyć, a na większą hańbę ogoliwszy mu tylną część ciała, położył się bezpiecznie na łóżko i zasnął. Rano pukają ludzie do drzwi niedźwiedzia, chcąc się dowiedzieć, co się z żołnierzem stało? Lecz nikt nieotwierał, jeno niedźwiedź zawołał:

Czego tu, cicho tam, spi mój pan,  
Zgolił mi tylek, będzie i wam.

Domysłono się, że żołnierz zwyciężył, a gdy się przebudził, dostał królową i królestwo, a z niedźwiedzia skórę zdarli.

Powiadają też, że gdy w polu siedziała stara baba i przędła, a chłopcy i dziewczęta, paśli trzodę i bawili się kolo baby: wyszedł niedźwiedź z lasu i prosto sadził do tej gromadki. Wszyscy puciekali, jeno bała niemogąc uciekać, nakryła się płachtą i oczekiwała śmierci. Niedźwiedź zbliżył się do baby i mruczał bardzo żalobliwie, co też babuleńka rozśmieliło, podnosi tedy płachtę i widzi, że niedźwiedź łapę skrwawioną jej pokazuje. Wyjęła więc kawał drzazg z łapy, a niedźwiedź uradowany zdarł z niej płachtę i udał się do lasu. Po chwili wrócił i przyniósł babie miodu pełną płachtę. Ludzie którzy mieli już babę za straconą, bardzo się dziwowali, że niedźwiedź tak pięknie się odwdzięczył.

## Nieporozumienia.

Mazury idąc drogą gawędzili sobie o różnych rzeczach, nareszcie jeden z nich przelekniony zawołał: słysycie wej coś tam idzie i wielkie i białe, i proste kieby dąb, a strasne kieby śmierć. Drudzy spojrzeli przód siebie, prawda zawołali i stanęli jak wryci, gdyż nie śmieli kroku dalej postąpić, tak się przelekli przysuwając się ku nim mary. Byli to rusini, szli sobie boso, w koszulach tylko białych, a długich łyżkiem podpasani, na głowie mieli słomiane kapelusze, na plecach nieśli kosy, u których postoły, czyli łyżaki wisiały. Gdy się do nich zbliżyli, mazury przekonali się, że to byli ludzie, a jeden z nich najodważniejszy zapytał się przecie: kto wy jesteście? Muzyki! powiedzieli rusini. Aha muzycy

a więk  
? bezpie  
vi niedzi  
alo? Leni

powtórzyli mazury. A zkadze wy idziecie? Wid Buha! (rzeki Bugu). Aha od Boga. A cóz wy niesiecie na kijach? My nešem postoly. Aha apostoły. A nacymze wy gracie? A na czorta by my hrały, odpowiedzieli rusini i poszli dalej. Widzis powiada mazur, ja ci niemówilem, ze to nie ludzie. A cóz zapytał drugi? Wszak muzycy od Boga, apostoły i na storcach grają.

gdy się pr  
wiedzia ni

Inny mazur jadąc do miasta, zgubił worek, w którym był kawałek chleba, gdy się obejrzał za swoim zapasem, żał mu się zrobiło, że go nie znalazł, ale tuż za nim nadjechał rusin, który zapewne znalazł jego zgubę. Więc tedy do niego zawołał: słysys człowieku! nieznalazł ty worecek, a w worecku torbeckę, a w torbecce bajdeckę jak wołowa mordecka, a z wierzchu poświstacem zawiązaną. Rusin mu odpowiada: ja najszow miszok, a w seredeni buła torbena, a w torbeni kawałek chliba, z werchu batohom buło zwiezane. To nie moje, jedzcie z panem Bogiem, powiedział mazur.

stara bab  
i bawili ni  
dzil do t  
e wiekai  
dz zbili  
abulek  
wiedz la  
drasz  
i i udo  
i pełna  
bardzo  
ęczył.

## Niepytaj.

Podczas konfederacyi polskiej trudne było położenie każdego, gdyż niewiedziano, której należało się trzymać strony, jak się to okazuje z następującej anegdoty. Najechali żyda konfederacy z krzykiem: żydku z kim trzymasz? Żyd śmiało odpowiedział, że z królem trzyma. A ty parchu, to ty z nami nie trzymasz? bij tedy łapserdaka i strzepali żydka. Drugą razą przyjechali królewscy i wołają: żydku z kim trzymasz? Żyd powiedział, że z konfederatami trzyma. Ty hultaju, buntowniku: ty przeciw królowi jesteś! bij żyda, zbili po raz drugi żydowinę. Trzeci raz znowu jacyś najechali żyda wołając: żydku z kim trzymasz? Żyd niewiedząc co odpowiedzieć zawołał: Nie pytaj pan, tylko bij.

ch,  
ej  
ie  
li  
i,  
o  
h  
i

## Obcy.

Pewny kaznodzieja tak był rozczulił swoim kazaniem słuchaczy, że wszyscy się rozplakali. Przecież dostrzegł

kaznodzieja, że jeden był zupełnie obojętny, wcale nie płakał. Złazłszy z ambony, prosto udał się do owego nieczułego choć się dowiedzieć, czemu on nie płakał. Mój kochany! moje kazanie dzisiaj wszystkich rozczuliło, a ty jeden byłeś obojętny. Bo ja nie z tej parafii, odpowiedział zapytany.

## Odwet.

Ubogi rolnik miał dwóch synów, których niemając czém wyżywić, posłał jednego na służbę do popa, który nie słynął z miłości bliźniego. Przyjął on wprawdzie chłopca, ale powiedział mu zaraz na samym wstępie, jeżeli się na ciebie rozgniewam, to ty mnie nos i uszy oberzniesz, a jeżeli się ty na mnie rozgniewasz, to ja tobie nos i uszy obetnę. Pierwszego dnia wyprawivszy go w pole, dał mu pop kawałek chleba i jedną cebulkę. Pracuje cały dzień w polu, nareszcie zgłodzony pod wieczór wraca, sądząc że na kolicy czem się pożywi. Ale słudzy namówili dziecko popowskie, żeby go na dwór wyprowadziło. Dziecko też naparło się, żeby z nim na dwór wyszło. Parobek wyprowadził, a ono zaczęło sobie gwiazdy liczyć, a tymczasem zjedli kolacyę, a dla niego nic nie zostawili. Na drugi dzień znowu wyprawivszy go w pole dali mu kawałek chleba i jedną cebulkę. Cały dzień pracował głodny, a w wieczór znowu dziecko gwiazdy liczyło, a on bez wieczerzy spać się położył. Na trzeci dzień toż samo mu zrobili. Już niemógł wytrzymać i rozgniewał się dnia czwartego, pop niewiele myśląc oberznął mu nos i uszy i do domu napędził.

Obszelmowany wrócił do ojca i skarży się na swoją przygodę. Brat widząc taką zniewagę powiada; pójdę ja do popa na służbę, może mu końca dojadę. Przyjmuje go pop na służbę pod tym samym warunkiem, jak jego brata. Pierwszego dnia wyprawiono go w pole z kawałkiem chleba i jedną cebulkę. Ale on nie nierobił w polu, jeno zabił wołu, rozłożył ogień, piekł, jadł i rozdawał mięso swoim towarzyszom. Pod wieczór przyszedł do domu, pop pyta, a gdzie czwarty wół się podział. On mówi, zjadłem go, gdyż



cebulką jedną żyć niemożna, a może się Dobrodziej gniewa za to? Pop powiada że nie. Na drugi dzień zjadł i drugiego wołu i nic nie robił. Pop nic nie mówił, gdyż kłopotał się bardzo zbliżającym się praznikiem, a do tego jeszcze niemógł nigdzie dostać kucharza. Parobek powiada, że on dobry obiad zgotuje. Popy zjechali na praznik, dysponuje tedy gospodarz, żeby najtłustszego zabił barana na pieczeń, a do rosółu, żeby nakrajał pietruszki i inne przysmaki, żeby nagotował. Parobek bije wszystkie owce, piecze, łapie psa, którego pietruszką nazywano, kraje w kawałki i rzuca do rosółu. Po nabożeństwie woła pop ulubionego swego psa, nareszcie idzie do kuchni i pyta; czyś newediw mojego Pietruszki? Parobek powiada, że go pokrajał i rzucił do rosółu według rozkazu. Pop już nie niemówi, jeno po chiedzie prowadzi goście do owczarni, by się pochwalić swoim dobytkiem, a tam wszystkie owce leżą zarznięte. — Woła on parobka, ale parobek powiada, że on musiał wybierać, któryby był najtłustniejszy na pieczenie, może się Dobrodziej za to gniewa. Ja się nie gniewam powiada pop, ale ci mówię, żeś zło zrobił. Jemu zaś dokoniecznie oto chodziło, żeby się pop rozgniewał. Przychodzi do kuchni, a tam dzieci płaczą i wrzeszczą czegoś, a on wziął garnek wody kipiącej i wylał na bębny popowskie.

Przychodzi pop i patrzy, że jego bębny już nie żyją, jeno gęby rozdziawiły i oczy okropnie wybaluszyły, biegnie do swojej żony i radzi się, co teraz robić. Żona powiada uciekajmy od tego parobka. Wynoszą się tedy oboje, pop napakował pełny worek książek i chciał już uchodzić, ale jeszcze poszedł po coś do świetlicy, a tymczasem parobek wyrzucił książki z worka, sam wlaź do worka i cokolwiek zwierzchu książek położył. Pop wyszedłszy z świetlicy, bierze worek na plecy i ucieka, a parobek krzyczy z worka, poczekaj, poczekaj, a popowi zdawało się, że on biegnie za nimi, tak leciał, że z umęczenia ledwie nie upadł. Przyszedł z popadnią nad rzekę i tam zanocował. A tu z worka wylazi parobek, pop powiada do żony, żeby we środek się położyła, a parobek z kraju niech będzie, to on go w nocy do rzeki

rzuci. Ale skoro pop zasnął, parobek położył popadę na swoim miejscu, a sam wlaź do środka. Około północy zrywa się pop i porywa własną żonę i rzuca do rzeki. A parobek śmieje się i powiada: a Dobrodziej co zrobił? Pop rozgniewany woła na niego, że przez jego niegodziwość stracił majątek, dzieci i żonę. Może się Dobrodziej gniewa pyta parobek? Abyś wiedział, że [się gniewam powiada pop. A parobek oberznął mu jeszcze do tego nos i uszy, i dojechał końca popowi.

## Odyniec.

Król miał trzech synów: dwóch rozumnych, a jednego głupiego. Przytem też posiadał prześliczny ogród, do którego niewiedzieć jakim sposobem wpadał dziki wieprz i wielkie bardzo szkody robił. Króla to mocno gniewało i wydał taką odezwę, że kto kolwiek zgładzi tego wieprza, to otrzyma część majątku królewskiego. Nie jeden kuśił się o to, lecz wszelkie starania były bezskuteczne. Wieprz ryje ciągle i drzewa wywraca, król powiada do swoich dwóch synów rozumnych, żeby oni tego wieprza zgładzili. Chodzili synowie przez kilka noey na wieprza, lecz nie mogli mu nic zrobić. Nareszcie przychodzi głupi syn do króla i prosi, żeby mu wolno było tego wieprza zabić. Król powiada nie twoja to głowa, bracia twoi i silniejsi i mędrsi od ciebie, a przecie tego nie dokazali, czego ty się podejmujesz, wolno i tobie, próbuj, ale ja wiem, że z tego nic nie będzie.

Poszedł głupi do kowala i kazał sobie narobić sto długich obosiecznych nożów, które mocno powsadzał w ziemię ostrzami do góry. Według swego zwyczaju przychodzi w wieczór wieprz i ryje, ale wnet zawadził na noże, i pokaleczył sobie ryło i łapy tak dalece, że ledwie zawlókł się do lasu i zdechł. Bracia dowiedzieli się o tem, radzą między sobą, żeby głupiego zabić, młodszy opierał się tej myśli, mówiąc wszakże to nasz brat? a chociaż upośledzony, przecieź niegodzi się go zabijać. Ale starszy uparł się dokończnie przy swoim zamiarze, zabił brata i pod gruszką

zakopał. Przyszli tedy oba do króla i powiadają, że głupiego wieprz rozdarł, ale oni go za to zgladzili. Król uradowany, że pozbył się już szkodnika w ogrodzie, wydzielił im część majątku, a oni za to bankietowali sobie bez końca i miary. Razu pewnego pastuch wylaźł na mury ogrodu w celu narwania kilka gruszek dla siebie, ale patrzy, a pod gruszą leżą skrzypce piękne. Bierze on te skrzypce i gra, ale te skrzypce powiadają:

Pomału, pomału pastuszkę graj.

Nie odrazu to serce moje kraj,

Bo mię brat zbił

Pod gruszką skrył,

Za tego wieprza, co w sadził rył.

Usłyszał to lokaj, bierze skrzypce do siebie, gra to samo, co przedtem. Wziął i kucharz do rąk, a te same tony wydobywają się z pod rąk jego. Dowiedział się król o tem, pociąga smyczkiem, a skrzypce mówią: Pomału pomału królu graj i. t. d. Natychmiast kazał swoich synów aresztować. A gdy już byli pod ścisłą wartą, wyprowadzono najprzód brata młodszego i dano mu skrzypce do rąk aby zagrał na nich. Pociągnął on smyczkiem, lecz skrzypce naturalny ton wydały. — Przyprowadzono starszego brata i dano mu skrzypce żeby grał, lecz skoro pociągnął smyczkiem, skrzypce odezwały się:

Pomału, pomału ty zbóju graj,

Nie odrazu to serce moje kraj,

Boś ty mię zbił

Pod gruszą skrył.

Za tego wieprza, co w sadzie rył.

Natychmiast kazał król kopać pod gruszką, gdzie znaleziono ciało jego syna, które z uszanowaniem, a płaczem pochowano, najstarszego zaś syna jako łotra na szubienicy powieszono, a niewinny brat został po śmierci ojca królem.

## Olej.

Trefnisiowi choremu, gdy dawano olej święty zawołał:

dla Boga nie bardzo smarujcie, bo jak mi się kółka rozbiegają to będę musiał prędzej wyjechać.

## Organista.

Młodzież zwykle do wszystkiego się rwie. Pragnie wszystko obalić, a nowe wybudować, chociaż częstokroć nie posiada ku temu zapasów, ani w głowie, ani w kieszeni. Otoż podobny wartogłów uroił sobie, że on może być organistą. Idzie tedy do pewnego proboszcza i staje za organistego. Proboszcz przyjął go i kazał mu mszę zagrać. Wali tedy po klawiszach palcami ni w pięć, ni w dziewięć. Organy huczają, lu, lu, lu, wo, wo, fu, fu, fu! istny zrobił się chaos. Proboszcz ledwie mógł mszę odprawić. Przy końcu sam zaśpiewał: Do ciebie Panie pokornie wołamy. Lecz i tej pieśni nie zagrał organista. Po mszy powiada proboszcz: Acan zle grasz, acan możesz sobie gdzie indziej służby szukać. Ja dobrze gram odpowiada organista obrażony. Jak to wola proboszcz, nawet: Do ciebie Panie nie umiesz zagrać. Jaktóż ja grałem do ciebie Panie, ale kalikancista, zakalikował mi: Gwiazdo morza, a to jeszcze o trzy tony niżej.

## Paska.

Ubogi gospodarz miał tylko kwartę mąki na całe gospodarstwo, a tu przychodziła wielkanoc i trzeba było dokoniecznie co dać poświęcić. Idzie on do lasu, nciął kawałek pniaka lipowego, porobił chresty z kwarty mąki, posmarował jajkiem z wierzchu i wsunął do pieca. — Chresty upiekły się, a cały pniaczek zarumieniony przybrał kształt pięknej paski. Niesie tedy do cerkwi, rozłożył przed sobą i czeka na poświęcenie. Ale widząc, że sąsiad jego bogacz ciekawie spogląda na paskę, umyślnie odwrócił oczy i zagadał się z drugim. A tym czasem kradnie ów bogacz paskę, i podsunął inną, daleko większą. Chłop obaczywszy, co się stało nic nie mówił, jeno podziękował Bogu za jego opatrność i zabrał z sobą, gdy ksiądz poświęcił do domu, gdzie

z radością zawołał: „chodim dity jisty, pniaczok staw sia paską“, i zjedli wszyscy. Bogacz zaprosił dużo gości, a nawet i księdza na święcone do siebie, a wszyscy podziwiali tylko jedną paskę, nareszcie zawołał gospodarz; a nu toji krasnoji paski i zaczął krajać, ale chresty zleciały na ziemię pozostał tylko pniaczek, a gospodarz wymówił: ubohy, ale mudry.

## Pijacy.

Spowiadał ksiądz opoja i nauczając go, zagroził mu temi słowy: jeżeli się niepoprawisz, to w piekle gorący dziegieć pić będziesz. Wziął to sobie do serca opój i wstrzymał się przez czas niejaki od trunków. Ale jak to zwykle natura ciągnie wilka do lasa, zaglądał i on czasem do karczmy i ślinkę tylko połykał, gdy drudzy pili i bawili się wesoło. Chciał nieraz złamać przyrzeczenie, ale dziegieć gorący zawsze go niepokoił. Raz przecie coś go skusiło pomyślał sobie, anu ja tego dziegciu cokolwiek skosztuje. Jak pomyślał, tak też zrobił, kazał sobie dać kieliszek dziegciu ciepłego, a zamrużywszy oczy łyknął dyabelskiego tego likworu. Splunął, skrzywił się, ale po chwili minęła odraza. Oho nie jest to tak zły dziegieć, jak to Dobrodziej straszyl, a zresztą człowiek się i do dziegciu przyzwyczai, dajcie no Moszku wódeczki, aby zalać robaka.

Mazur podpilił na konia oklep siadał, a gdy uśiąść niemógł, wzywał świętych pomocy każdego z osobna: święty Walanty dopomóż ta, święty Macieju, a nuz ta. Ale gdy to niepomogło, zawołał: Wsyscy święci dopomóż ta! a gdy przez konia aż na drugą stronę przesadził się, wołać począł: hola, hola, nie wsyscy razem.

## Pieczenia.

Przykrzył się chłopiec kucharzowi pieczeniem krającemu, który dał kość chłopcu, że jej jeść nie mógł. Oddał mu ją na talerzu mówiąc: pokraj mi ją wac pan, na co rozśmiawazy się kucharz, dał mu kawał pieczeni.

## Piekło.

W pewnym klasztorze był przełożony bardzo surowy, jeść nie dawał, bił i zamykał podwładnych. Mnichy go też niecierpieli. Opodal nieco klasztoru tego była karczma, którą piekłem nazywano. Przypadkiem zajechał tam rotmistrz od huzarów i zasnął w nocy tak niebezpiecznie, że dwóch huzarów na koniach wysłano po księdza do bliskiego klasztoru. W nocy przybywszy żołnierze zaczęli szturmować i wołać łamaną polszczyzną: Otwórzcie, przychodzimy postarszoho Pana do Pekła. Służba klasztorna, która nigdy huzarów niewidziała, przestraszyła się niezmiernie tem niezwykłym najściem i rozumiała, że w samej istocie przybyli ludzie z tamtego świata. Mnichy też przebudzone ciesząc się, że przecie raz diabli wezmą despotę klasztornego, a tak gdy jedni z radości, drudzy ze strachu otworzyli furtę, przekonali się, że to nie byli diabły, jeno huzary wzywający księdza do karczmy, którą piekłem nazywano. 15)

## Pieniądze.

Dwóch braci było rozumnych, a jeden głupi. Rozumni pędzili na jarmark woły i krowy, głupi zaś cieliczkę małą. Gdy przyszedł do brzozy, skrzypiała brzoza, a jemu zdawało się, że brzoza gada. Nuż tedy do brzozy; a kupysz telatko, a kupiesz telatko? Brzoza odpowiedziała: kupi, perewieże do mene telatko, a po hroszi przyjdziesz wi wtorek. Zrobił tak, jak mu brzoza mówiła i wrócił do domu. Bracia wyśmiali go i zgromili jego głupotę. Tymczasem we wtorek poszedł on do brzozy i znalazł tylko szkielet z cielęciami, ze złości uderzył palicą ten szkielet, a z niego posypały się

---

15) O milę jedną za Przeworskiem oddalona jest karczma, którą piekłem nazywają. Koło tej karczmy znajduje się staw, który nazywa się: święte jezioro z tego powodu, że na tam miejscu był niegdyś kościół duży, który podczas nabożeństwa wraz z ludem zgromadzonym zapadł się.

pieniądze, ale tak dużo tego było, że sam zabrać niemógł. Wrócił więc do domu i powiedział braciom, żeby po pieniądze jechali. Przyjechali bracia i zabierają pieniądze i powiadają głupiemu, żeby nie mówił co wiezie. Na co głupi prostodusznie odpowiedział: ja prawdu skażu. Bij się Boha ne każe, skażu, skażu, rzekł uporeczywie głupi. Wiezie tedy starszy pieniądze, zdybał go dziadek i zapytał: szczo wezesz? Wuhle odpowiedział, i pieniądze przemieniły się w węgle. Wiezie młodszy pieniądze, zdybał go dziadek i zapytał szczo wezesz? Przenyciu odpowiedział i pieniądze przemieniły się w pszenicę. Wiezie głupi pieniądze, zdybał go dziadek i zapytał szczo wezesz? Hroszi odpowiedział i przywiózł do domu pieniądze. A tym dziadem, był sam pan Bóg, który szczerotę głupiego tak hojnie wynadgrodził. Mierzą tedy bracia pieniądze cwiercią od popa wyżyczoną, a gdy oddali cwierć, pop między obręczami postrzegł dukata, nuż tedy do nich, zkađ oni mają pieniądze. Wymawiali się, że oni węgle i pszenicę mierzyli, ale głupi mówił: my hroszi miryły. Pop tedy rozgniewany wziął się do bójki, w której niestety zamordowany i wyrzucony został na rozstajne drogi.

## Plaster.

Człowiek pobił żonę tak dalece, że pokaleczone mając ręce i nogi do łóżka położyć stę musiała. Do której, gdy cyrulika zawołano, on na twarz plaster kładzie odpowiadając, że nie na te rany plastru potrzeba, ale na gębę, bo gdy milczeń będziesz, nie będziesz bita.

## Plenipotencja.

My niżej podpisanych i pieczęcią przyklepianych dajem niniejszem Abraham Ickiewiczowi plenipotencją, że win może w naszego sprawa, chodzić, przychodzić, zachodzić i wchodzić, a to dla czemu? a to dla temu; że jego nogi, jest nasze nogi. Że win może w naszego sprawa pisać, zapisać, dopisać, przypisać i wđpisać, a co on napisze, to

niech stoi, a to dla czemu? a to dla temu, że jego ręki, są naszego ręki. Że win może w naszego sprawa gadać, przegadać, zagadać i wygadać, a to dla czemu? a to dla temu, że jego gęby, jest naszego gęba. A co wun zrobi, to my się jego nie możemy zapytać: Icku na co ty tak zrobił? Ale jak wun jemu proces zfuszeruje, to my powiemy, że my go nie znamy.

## Podobieństwo.

W Krakowie u świętego Piotra wilk chowany wlaźł do izby, którą Komuna zowią i wzięwszy jednego Kazuisty książkę, wydarł z niej tylko naukę o poście i restytucyi, a inue zostawił, — właśnie taka fantazja heretyków.

## Polak.

Lucyfer lustrując piekło, postrzegł człowieka w rogatywce, z wąsem sierdzystym i miną junaacką, który w kącie jakiejś babie szeptał coś do ucha. Hej służba co to za jeden? To polak odezwała się służba. Precz mi z tym urwyłem, abym go tu więcej niewidział, niepotrzebuję rewolucyi w piekle.

## Pomsta.

W małym miasteczku był tokarz bardzo ubogi i zegarmistrz bardzo bogaty, który często wspierał tokarza. Ludzie bardzo się dziwowali, że zegarmistrz przywiązał się do takiego hołysza. Razu pewnego przychodzi tokarz do zegarmistrza i powiada, ludzie mi zazdroszczą, że mam takiego przyjaciela, wiész co, ja chcę pójść z tego miasteczka, gdyż tu niemam żadnego zarobku, jeżeli chcesz zemną dalej żyć w przyjaźni, sprzedaj co masz i chodź zemną do wielkiego miasta, gdzie nam daleko lepiej powodzić się będzie. Usłuchał zegarmistrz rady przyjaciela, wziął dużo pieniędzy za swoje realności i wybrał się w podróż z tokarzem. W nocy



przyszli oni do lasu, tam tokarz powiada do zegarmistrza, dalej już nie pójdziesz, musisz tu zostać, ja cię zabiję. Ej zmiłuj się, dam ci pieniądze wszystkie, tylko mi życie daruj. To być niemoże powiada tokarz, musisz zginąć. Ej zmiłuj się, co ci z tego przyjdzie że mię zabijesz powiada zegarmistrz, patrz o to ten księżyc zdradzi cię. — Tokarz na to nie zważając, palnął po łbie pałką i zabił zegarmistrza. Zabrawszy od niego pieniądze poszedł do wielkiego miasta, gdzie stanął za czeladnika u sławnego tokarza, który miał córkę jedynaczkę. Rozbójnik bardzo był pilny, przez co zjednał sobie wielkie zaufanie mistrza, który mu oddał swoją córkę za żonę i cały majątek umierając zapisał. — Odtąd wiele lat upłynęło, gdy razu pewnego jakiś pan jechał przez ten las i przy świetle księżycy postrzegł coś białego pod krzakiem. Wysłany lokaj przyniósł kość. Pan ogląda kość i powiada, dam ja tę kość tokarzowi w mieście, możeby co z tego zrobił. Przyjechał do miasta i zaraz pytał się o tokarza jakiego zdolnego. Przywołali tego zbója, gdyż on był najporządniejszym obywatelem miasta. Pan mu pokazując kość powiada, czy nie mógł by on co z tej kości wytoczyć. Dlaczego nie odzywa się tokarz, ale skoro tylko wziął do rąk swoich, zaraz z kości krew pociekła. Pan zdziwiony odbiera kość, ale w jego ręce była zupełnie suchą, a gdy oddał w ręce tokarza, znowu krew ciekła. Może miałeś jaki przypadek pyta pan tokarza? Nie miałem przypadku powiada tokarz. Ale pan nie w ciemię bity, kazał tokarza aresztować, który przed sądem przyznał się, że zabił zegarmistrza i został powieszony.

Ubogi człowiek idąc drogą postrzegł kupca jadącego na koniu, zaraz pomyślał sobie, zabiję ja tego kupca, może sobie dopomogę. Jak pomyślał, tak też zrobił, zabił kupca i pochował go w lesie, a pieniądze zabrawszy począł dobrze gopodarować. W kilka dni potem, wypadła mu podróż przez ten las około północy. Złaził on z konia i poszedł z ciekawości na to miejsce, gdzie kupca pochował. Zaledwie stanął nad mogiłą a z grobu zawołało tęsknym głosem: Boże pomścij się krzywdy mojej! Z góry zaś odpowiedziało:

Pomszczę się, ale aż za lat trzydzieści. Morderca chociaż przerażony, jednak prędko się zaspokoił tą myślą, że do pomsty było jeszcze bardzo daleko. Dobrze mu się powodziło, ożenił się dobrze, miał dzieci, hulał sobie, a nawet powszechnie go szanowano. Śmiał się nawet w duchu z owej przepowiedni, uważając ten głos jako wynikłość wybujałej wyobraźni. Lecz pan Bóg nie zmienia się, przeszły lata uciechy, a za niemi w ślad zdążyła pomsta. Dziewka rano poszła do miasta i kupiła w jatkach głowę cielecą. Powróciwszy do domu pokazuje pani co kupiła. Pani zemdląła, gdyż to była trupia głowa jakiegoś człowieka. Wybiegł pan ratować swoją żonę i patrzy, a głowa kupca nieboszczyka patrzy strasznie na niego. Zaraz rozbiegło się to po mieście i pana obywatela aresztowano, który przed sądem przyznał się do występku i został powieszony.

## Popy.

Pop mongolski uczepił się diaka, dlaczego ludzie nieumierają. A cożja mam robić? pyta diak, aby ludzie umierali. Woźmy łopatu ta ułaj po cwentari powiada pop. Diak wziął łopatę i prosto ku domowi popa wołać począł. Wyśmienity był skutek, gdyż w kilka dni popadła mongolska umarła. A bodaj tebe Bih pobyw, szczo ty myni narobyw pesi synu, zawołał pop mongolski.

Miał gospodarz wiernego psa, którego bardzo sobie cenił, a gdy psisko zdechło, pochował go nie wiele myśląc na cmentarzu: Postrzegł diak świeży grób i doniósł popowi o tem. Idą tedy na cmentarz i widzą, że zapewne jakieś dziecko musi być pogrzebane, gdyż grób był nie wielki. Wykopują tedy nazad i ze zgrozą postrzegli, że to pies Iwana Pordysa. Kłeczy myni Iwana, powiada pop do diaka. Przychodzi Iwan Pordys. Jak ty poważyw sia na światym cwentari sobaku pohrehaty. Widzi Pordys, że zle może być, bierze się na figle i mówi: Koby wy znały szczo to za czesna sobaka buła, taże ona wam widkazala cztery karbowańci. Szczo ty każysz? zawołał pop mongolski; diecze idy peredzwony.

Pewny jegomość spowiadał się u popa mongolskiego, powiadał mu różne grzechy, nareszcie sądząc, że pop po łacinie nie rozumie, powiedział od niechcenia „moechatus sum“. Pop tedy zadając mu różne pokuty, przy końcu powiada, a za tuju mechatku, cilu psalterku peremachajesz.

Protopop mongolski zadał pytanie swoim podwładnym, czy może buty służba boża na borszczu. Wszyscy prawie z indignacją odpowiadali, że ne może buty. Jeden zaś wyrwał się mówiąc: Ot że ja maw na borszczu służbu bożoju i dobra buła.

Pop zrobił siano i rozrzucił w sobotę, żeby przez niedzielę wyschło. Ale podczas służby bożej, łup, łup, zaczął tęgi dęszcz padać, pop obracając się do ludu z kielichem, zamiast co miał powiedzieć: zo strachom bożym przystupajte, zaświstał: fu! fu! nema moho sina.

Umarł w Perehińsku pop mongolski, diak myśli sobie, ja nmiju czytaty, budu popom. Nuż tedy prawić służbę bożą. Dowiedział się o tém Protopop i oskarżył diaka do Synodu. Wołają diaka do Synodu. Diak staje przed Synodem i wyklamuje się jak może. A że wtedy nie było dużo popów; więc Synod przekonawszy się, że diak umi czytać, chciał go popem zrobić. Ale przecież żądał żeby cokolwiek umiał teologii. Więc pyta go, a znajesz ty teologiu? Czomu ni odpowiedział diak. No koły znajesz, to skaży nam: Noe maw trech syniw, Sem, Cham, i Jafet, kto buw ich bat'kom? To ho jeszcze ne znaju, odpowiedział diak. Idyż do domu, powiada Synod, a jak budesz znaty, to przyjdziesz na świaszczenyje. Wraca diak do domu smutny. Żona wita go z radością, sądząc, że już jest popem. A mij popyku, jak sia majesz? Krot' mat' im mordowało, ja ne świaszczenyik, jak zadaly myni chwestyju z teologiu, to i sam czort w toje by ne pomih. A precy szczo tobi kazaly pyta żona? — Fin! fin! jaka ty mudra, ne twoja to holowa do toho. Precy skaży myni, szczo to buło takoho? Ot pytały sia: Noe maw trech syniw: Sem, Cham i Jafet, kto buw ich bat'kom? Ta ty ne mih skazaty, szczo Noe? A hdeż tam? Taze nasz susid Iwan Maruszczak maje trech syniw: Kiryło, Hauwryło taj Pafnucy,

ta ktoż ich bał'kom? Iwan Maruszcak. Aha teper znaju, zawołał diak uradowany i za kilka dni wybrał się do Synodu z oznajmieniem, że tę kwestję dobrze wystudiował. Pyta tedy Synod: Nøe maw trech syniw: Sem, Cham i Jafet, ktoż ich buw bał'kom? Ani zakrztusiwszy się odpowiedział: Iwan Maruszcak. Synod w śmiech i zawyrokował, że diak niemoże być popem. — Ale diak począł się kręcić kolo domu samego Władyki. Lokaje dowiedzieli się, że ma karbowance, przebrali się w suknie duchowne i zaprosili diaka niby do Władyki. Karbowance odebrali, bili diaka książką po łbie, smarowali sadłem śmierdzącym ręce, nogi, głowę, wąsy i brodę i powiedzieli, że już jest wyświęcony. Diak uradowany przyjeżdża do domu i prawi nabożeństwo. Dowiaduje się Protopop i pyta jakim prawem może odprawić nabożeństwo. Na co mu diak odpowiedział, że go sam Władyka święcił. Protopop daje znać do Władyki. Rozgniewany Władyka woła diaka. Staje tedy diak przed Władyką, który go pyta: czy ja tebe światyw? Ni odpowiada diak, a właśnie wszedł do pokoju lokaj Władyki, którego diak spostrzegłszy zawołał: toj pan koby zdrow, mene światyw. A ty jak mógłś święcić zapytał Władyka lokaja? Wielkie rzeczy odpowiada lokaj, Pan tyle już wyświęciłś, a ja nic nie mówię, a że jednego wyświęciłem, to się już Pan gniewasz. Rad nie rad Władyka musiał diaka zrobić popem.

W cerkwi mongolskiej był obraz przedstawiający Abrahama ofiarującego syna swego Izaka. Lecz zamiast miecza trzymał Abraham w ręce pistolet, a z góry Anioł sik, sik na panewkę powiada: ne strylesz Abrahamku.

Władyka wizytując cerkwie, znalazł zamiast krzyżma dziegieć w ampulce. Gdy popa o to sztrofuje, on mu odpowiada: Panie choćbym chłopca balsamem smarował, to on zawsze dziegiem będzie śmierdział.

## Poseł.

Przez Mazowsze jechał poseł i spał w swojej karecie, jeno pies jego tarantowaty wyzierał z karety. Mazury że

nigdy posła niewidzieli, zawołali: Miły Boże jaki też to ten poseł, właśnie jak pies.

## Potomek.

Wdowiec szukał sobie drugą żonę, a znalazłszy nie bardzo młodą osobę, otrzymał od niej przyrzeczenie, że pójdzie za niego, jeżeli tylko niema żadnego potomka. Wdowiec zaklinał się na swoje szpakowate włosy, że po Tomku niema żadnego dziecka. Odbył się więc ślub, poczem zabrali się do domu. Zaraz na samym wstępie obstała ich gromadka dzieci wołających: Tatko przywiózł nam matkę. Zmiłuj się co to znaczy zawołała żona, wszak zapewniałeś mię, że o potomku nic nie wiesz, a tu tego więcej, nizeli potrzeba. Jak Boga kocham, tak prawdę mówiłem, Tomek pójdź tu, oto jest najmłodszy synek mój, a po Tomku nie mam żadnego dziecka.

## Powinszowanie.

Jeden oracją na weselu chcąc zacząć od erudycyi rzecz: Juno z Palladą, ale tak się zaciął, że powtarzając raz i drugi raz, dalej niemógł nic powiedzieć. Ktoś z kąta wyrwał się mówiąc: Juno z Palladą wsiadłszy na gniadą, jak jadą, tak jadą, a ty stoisz. Wszyscy w śmiech.

## Prawo.

Jeden zrzucając śnieg z dachu spadł i zabił idącego człowieka, a samemu nic się nie stało. Nieboszczyka brat nastawał, aby głowa za głowę ginęła, nie kontentując się zapłatą: więc osądzono, żeby on też co instygował, spadł na zabójcę.

## Prezent.

Biskup Wydzga, gdy mu ksiądz ofiarował dukata, na którym był z jednej strony król Sobieski, z drugiej królowa

Marysienka, o beneficium prosząc, rzekł: Któżby dla tego Państwa nie uczynił?

## Promenada.

W pewnem mieście na balu znajdowało się dużo osób, między innemi były też dwie mieszczańskie, istne małpy. Przyszły one zapatrywać się na dziwactwa kręciłówek, aby się potem przestroić wdziwołaga. Otoż tedy uważały one na każdy ruch, skinienie i mowę gości. Któs zmęczony tańcem powiedział; teraz pójdziemy na promenadę. Kilka osób udało się razem na tę przechadzkę, poczem wstąpili do Bufetu. Owe mieszczańskie nie rozumiejąc co jest promenada dalej za niemi do Bufetu wołając: panie Lawakowski proszę nam dać dwie sklanek promenady.

## Przekonanie.

W Warszawie w nocy hultaje napadli pewnego obywatela, a obdarwszy go, jeszcze utopić do Wisły prowadzili. Zapytał się ich, dokąd że to mię prowadzicie? Do Wisły utopić odpowiedzieli mu. Moi laskawi panowie, zawołał obywatel, cały dzień piłem wino, niechże nie mieszam inszego trunku, bo mi bardzo szkodzić będzie. Co też rozśmieszyło hultajów do tego stopnia, że go zdrowo puścili.

## Przeznaczenie.

Pewnej matce przepowiedziano, że jej syna w dwudziestym roku powieszą. Biedna matka stroskana pielęgnowała swego synaczka i zaprawiała go do bojaźni Boga i miłości bliźniego. Rósł tedy chłopiec w pobożności wielkiej i ludzie kochali go bardzo, Przyszedł nareszcie rok dwudziesty, na matkę śmiertelne były poty, gdy o fatalnej przepowiedni pomyślała. Krok w krok za nim chodziła, żeby nie popełnił jakiej zbrodni w tym czasie. Młodzieniec był bardzo moralny, sam siebie też pilnował. Już był dzień ostatni roku dwudziestego wieku jego, w którym przesilić się miała

przepowiednia. Właśnie położył się był młodzieniec do łóżka i spał snem sprawiedliwych. Biedna matka czuwała nad jego łóżem i modliła się. Przed dwunastą godziną w nocy przyszło pięciu ludzi do świetlicy, wyciągnęli młodzieńca śpiącego z łóżka, dwóch stawiało szubienicę, trzeci czytał wyrok śmierci, czwarty był ksiądz, a piąty był kat, który spełniał wyrok śmierci na młodzieńcu. Po spełnieniu wyroku zdjęli młodzieńca z szubienicy i położyli go do łóżka, poczem wszystko zniknęło. Matka przerażona srogiem tem widzeniem, przypadła do swego syna, który był całkiem zdrow, spał wybornie i pozbył się strasznej przepowiedni.

## Przymierze.

Kozacy z Tatarami zrobili na kilka dni przymierze, którego niedotrzymawszy im uderzyli w nocy na nich. Gdy się Tatarzy upominali przymierza, odpowiedzieli; żeśmy na kilka dni zawarli przymierze, a nie na nocy.

## Przysłowie.

Pobożna pani często bardzo proboszczowi swemu posyłała różne upominki, które on zwykłym przysłowiem: kto co robi, sobie robi przyjmował. Już też uprzykrzyła się pani taka odprawa i spiekła kołacz, w którym była znaczna ilość sabbijającej trucizny i posłała proboszczowi. Gdy powróciła służąca, zapytała się jej pani, co mówił proboszcz? A cóż miał mówić innego, kto co robi, sobie robi, odpowiedziała służąca. Obaczym komu to się zrobiło odparła pani tryumfująco. Ale nieszczęście chciało, że jedyny syn tej pani powracając z dalekich krajów, zanocował u proboszcza niemożąc zdać do domu. Proboszcz uraczył go kołaczem od matki jego upieczonym, po której uczcie syn zakończył życie w nocy. Wielki lament powstał w domu tej pani, która niestety zapożno przekonała się o tem: że kto co robi, sobie robi.

## Psy.

W Horodence fundował klasztor Missyonarzów Mikołaj Potocki starosta kaniowski. Wiemy, że miał zatargi z Missyonarzami, że raz chcieli opuścić klasztor z jego przyczyny, wyszli już nawet byli z krzyżem. Wiadomo i to, że przez nich Potocki zmienił obrządek. Z woli rządu zniesiono Missyonarzów w Horodence, a na ich miejsce sprowadzono żołnierzy chorych i założono lazaret wojskowy w klasztorze. Niewiedzieć zkąd przybył za żołnierzami duży pies czarny, przed którym wszystkie inne psy uciekały. Straszny był on i ludziom, zwłaszcza żołnierze często posterunek swój w nocy opuszczali, ztąd też bywały dotkliwe kary na stchórzów wymierzone. Jakiś Feldwajbel, czy też porucznik srożył się na podwładnych za dezercyę posterunku. Razu pewnego, zabawił się w mieście dosyć długo, — pies czarny położył się przed drzwiami jego. Powracając do domu, gdy postrzegł psa przed drzwiami leżącego, ów rycerz Feldwajbel czy porucznik sam stchórzył i poszedł między żołnierzy spać. W dzień chodził ten pies po klasztorze, nie jadł, jeno był przeraźliwie, jeżeli miał który żołnierz umrzeć. Dużo bardzo wymarło żołnierzy w tym klasztorze, przez co też lazaret zmienić musiano, poczem i pies czarny gdzieś się podział. Mówiono, że to był Mikołaj Potocki pokutujący, albo jeden z Ojców Missyonarzów.

Na starość wypędzono psa z domu. Idzie tedy psisko i lamentuje bardzo. Czego ty płaczesz? pyta wilk sobaka. A jakże nie mam płakać, póki byłem młody, to mię wszyscy lubili, a teraz gdy stracił zęby precz, mię wyrzucili, ledwie już chodzę, gdyż dwa dni nie jadłem. Nieturbuj się powiada wilk, widzisz tam kobyłę, zaraz będzie pieczenia. Nuż tedy gryść ziemię i łapami drapać, a gdy zakończył tę robotę, zapytał psa: a co najężyła mi się sierść, a ogon czy się zakręcił? Oj zakręcił ci się ogon i sierść ci się najężyła mój wilku, pies odpowiada. Wilk ugłaskany tą mową pochlebną rzucił się na kobyłę i w mgnieniu oka leżała już nieżywa kobyła. Bankiet tedy był wymieniony, pies



podjadłszy sobie zadarł nos do góry i wyszczekuje z wielkiej buty i radości. W tem nadbiega kot z tego samego domu, w którym niegdyś pies był. A ty co tu robisz? zawołał pies na niego. A to co i ty odpowiedział kot, mię także wypędzili, błąkam się nieszczęsny i głodny, dwa dni już nic nie jadłem. Nie turbuj się zawołał pies, widzisz tam kobyłę, zaraz będzie naszą. Nuż tedy jak wilk pazurami drapać, a co uchwyci trochę ziemi, to się zakrzтусi, nareszcie zapytał: a co zakręcił mi się ogón, a sierść czy się najeżyła? Kot powiada, że nie. To nic, to nie, obaczysz co tu będzie, zawołał pies i rzucił się do kobyły, ale kobyła jak go palnie nogą, tak pies przewrócił się i zęby wyszczerzył. Kot widzi, że się pies już nierusza, powiada nad nim, teraz ci się sierść najeżyła i ogón zakręcił.

W Gdańsku sługa idąc za panem swoim polakiem, ukradł u Gdańszczanina pieska małego. Co postrzegłszy, dał panu pozew ów mieszczanin, u prawa dobył pieska zapierającemu się słudze z kieszeni, za którego pan musiał zapłacić wszystkimi pieniędzmi, które wziął za zboże. Straciwszy tedy wszystko, pojechał do Polski nabierał psów różnych, przywiózł tego co nie miara do Gdańska i stanął u owego gospodarza, a uprosiwszy sobie o chliw dla onych psów, odszedł ich na kilka dni. Psy z głodu tak wyły przerażliwie, że ich gospodarz musiał powypuszczać. Oczem dowiedziawszy się szlachcic polski pretenduje za psy przez prawo wzięwszy proporcją od owego pieska, którego musiał zapłacić tak drogo i dowodząc, że to były psy królewskie, chciał tedy za nich 60000 Złp., za wielkimi instancjami ledwie przystał na 30000 Złp., co też wynadgrodziło mu się, co za sługę swego zapłacił.

Jeszcze jedna psia przygoda: Lis powiadał bajki,  
A pies kurzył fajki,  
Na długim cybuchu  
I upiekl sy ucho.

## Raz a dobrze.

Powadzili się o coś raz polak i niemiec, od słownych huków, przyszło aż do puków. Gdy sobie trochę podtrzepali, wytrwać twardych od polaka tyktów niemogąc niemiec, zemknął z placu, jednakże do swej niemieckiej kompanii przyszedłszy, że daleko nad polaka celował w bitwie, z wielką chlubą powiadał, zataiwszy jak ciężkie od obucha polskiego razy pobrał, temi się przed nimi chwając słowy: wiele i mnie i temu polakowi na obrocie zależało, ale widzę nierazny jakiś polak, ja go co raz i często koszalką, a on mię kiedyś nie kiedyś obuchem.

## Rolnik.

Gospodarz pewny ciągle wzdychał, żeby to w jego moey było spuszczać dėszece, jak by on się dobrze miał przy tem. Wysłuchał Bóg jego próśby i dał mu władzę nad dėszczami. Uszczęśliwiony gospodarz orze, sieje, spuszcza dėszece kiedy chce, nareszcie przy końcu zniwa pokazało się, że daleko mniej zebrał, niżeli drudzy gospodarze. Skarzy się Bogu, że został oszukany. Na to odpowiedział pan Bóg, a prosiłeś mię o rosę? Niel Otoż widzisz kpie, nie mieszaj się do mego gospodarstwa.

## Romega.

Ubogi rolnik miał syna, którego niemogąc utrzymać, dał na służbę do zamożnego pana. Tam tedy najprzód pasł gęsie, króre tak wyuczył, że jak tylko krzyknął, to one rzędem szły, jak żołnierze. — Podobała się panu taktyka chłopca i dał mu cielęta pod dozór. Miał on z cielętami dosyć kłopotu, gdyż szelmy ogón zadarłszy rajsztulowały niewiedzieć dokąd i zaczem. Biczkiem przyprowadził ich do porządku, że na komendę jego, jak żołnierze równo iść musiały. Potem dali mu łoszęta. Z temi diabłami wiele miał kłopotu, bo to strasznie bujne i głowę i ogón do góry zadzierało,

a do tego jeszcze tylnymi nogami wierzgało. Poskromił on tę butą loszaków z ciężką biędą, a gdy zawołał, to te loszaki jak żołnierze maszerowali. Pan to widząc, tak go polubił, że mu zarząd nad lokajami powierzył i dał mu imię: Kozak Romega.

Służył on temu panu z dziesięć lat, nareszcie podziękował za służbę. Pan niechciał go puścić od siebie, ale on jak się napał, tak pan uwolnił go od służby, ale kazał mu wziąć sobie, co mu się spodoba. Wyprosił sobie tylko jednego konia, żeby piechotę niechodził. Pozwolił mu pan wybrać sobie najpiękniejszego rumaka. Idzie on do stajni, gdzie stały konie, jeden koń popatrzył się na niego, zaraz on tego konia wziął dla siebie, osiedlał go, a pan dał mu jeszcze dosyć pieniędzy na drogę. Jedzie on sobie niewiedząc w którą stronę ma się obrócić, a koń powiada do niego, nieprowadź mię, ja cię sam zawiezę do takiego miejsca, gdzie ci będzie bardzo dobrze. Pędzi zatem trzy albo cztery dni prosto do jednego zamku, w którym była żelazna brama. Koń stanąwszy przed bramą uderzył kopytami, a brama otworzyła się sama i wleciał na dziedziniec. W tym zamku mieszkała czarodziejka samotnie bez krewnych, bez przyjaciół i sług. Przyszedł do niej Kozak Romega i prosi, żeby go na służbę przyjęła. — Przystąpiła na jego prośbę i służył jej dwa lata. Potem poszedł do swego konia i powiada mu, że już dalej czarownicy służyć nie będzie. Jeżeli tedy niechcesz służyć dalej mówi koń, nie żądajcie od niej innej rzeczy, prócz tej, o której ona nie wie. Idzie on do niej i dziękuje za służbę. Ona pyta go, co mu się będzie za służbę należało. On mówi, że nic niechce, jeno to, o czem ona nie wie. Szuka ona tedy po szafach, po różnych kątach, nareszcie przysiadła do komody, wyciąga jedną, drugą szufladę, w trzeciej szufladzie znalazła miecz i kontusz, o czem w samej istocie nie wiedziała. Dała mu ten kontusz i miecz i mówi: niech ei to służy na pamiątkę, a kiedy będziesz na wojnie, to z nieprzyjaciela krew pocieknie i już go więcej nie będzie.

Podziękowawszy za te dary, puścił się swoim koniem

w dalszą drogę, i przyjechali do miasta, w którym był król bardzo nieszczęśliwy, gdyż przez lat dziesięć prowadził wojnę z królem Murzynów o to, iż tenże chciał córkę jego poślubić, a on jej za murzyna dać niechciał. Ale do tego przyczyniała się jeszcze niegodziwość córki, która chciała mieć murzyna i poduszczała go przeciwko własnemu ojcu. Dowiedziawszy się o tem Kozak Romega powiada, że tę wojnę zakończy. Król uradowany powierzył mu dowództwo swego wojska i wysłał go na wojnę. Gdy stanął na placu boju, zrobił krzyż mieczem: z murzynów tylko krew pociekła i już ich nie było, a króla ich pojmano i do więzienia wtrącono. Lecz królowna dowiedziała się, że Romega kontuszem i mieczem zwyciężył wojsko murzyńskie, dokoniecznie chciała wykraść te rzeczy od niego, ale on na kołku zawsze nad łóżkiem swoim one wieszał i miał je ciągle na oku. Królowna kazała uszyć podobny kontusz i zrobić taki sam miecz, a zamieniwszy te rzeczy dała swemu kochankowi i uwolniła go od więzienia. Udał się do swego kraju, zebrał wojsko i wydał na nowo wojnę królowi, który nie bardzo się przestraszył, mając nadzieję, że Romega zwycięży wojsko i króla murzynów wsadzi do klatki. Jedzie Romega na wojnę na czele swego wojska, a stanawszy na placu boju, zrobił krzyż mieczem, ale murzynóm nic się nie stało, zrobił drugi raz krzyż, lecz i drugi raz bezskutecznie, zrobił trzeci raz, a w tym jak wypali murzyn z rusznicy, taj Romega zleciał z konia, a murzyni przypadli w drobne kawałki rozsiekali Romegę, kawałki w worek włożyli i koniowi jego do szyi przywiązali, który prosto pobiegł do Czarnoksiężniczki. Ona wiedziała że to cząstki Romegi, poskładała do kupy. maściami posmarowała i Romega zdrów powstał i podziękował swojej dobrodziejce.

Tymczasem król został pobity, a królowna poszła za murzyna. Romega siada na konia i powiada; jedźmy do kraju murzynów. Zawiózł go koń do kraju murzynów, a gdy tam stanęli powiada do niego, przemień ty się w konia, a ja przemienię się w dziada. Romega przemienił się w konia i prosto poleciał na dziedziniec pałacu królewskiego, tam

począł się bardzo uganiać, zaraz złapali go i zaprowadzili do stajni. A że był koniem nadzwyczaj pięknym, przeto zchodzili się wszyscy patrzeć na niego. Przyszedł sam król z królową, a on do nich, chciał ich zabić, ale królowa zawołała; to Kozak Romega, i kazała go zarznąć. Nadbiegła śliczna dziewczyna patrzyć się na śmierć konia, a on do niej powiada, jak mię rznąć będą, umaczaj kawałek płótna we krwi mojej i rzuć na ogród królewski. Dziewczyna umaczala płatek we krwi konia, gdy go rznęli i rzuciła ten płatek do ogrodu, z którego na drugi dzień złota jabłonka wyrosła. Chodzi król z królową po ogrodzie i stanęli przed złotą jabłonią, która się wstrzęsła tak mocno, że aż jabłka pospadały. Królowa zawołała: to Kozak Romega i kazała porębać drzewo. Nadbiegła znowu ta śliczna dziewczynka, do której jabłoń powiada: jak mię rąbać będą przyjdź tu z dzbankiem i nadstaw ten dzbanek tak, żeby do tego dzbanka drzazga jedna wleciała, a potem wyrzucisz tę drzazgę do sadzawki. Dziewczyna zrobiła tak, jak jej drzewo kazało, a na trzeci dzień ukazał się złoty kaczor po sadzawce pływający. Przychodzi król z królową i powiada jaki piękny kaczor, królowej także się spodobał. Chodźmy do sadzawki powiadają oni skapiemy się i kaczora złapiemy. Pozrucali na brzegu swoje suknie i wleźli do wody, kaczor przed nimi pomyka, oni za nim przyszli aż na przeciwną stronę, gdzie też znikł im z oczu. Nim wrócili do brzegu Romega już ubrał się w kontusz i miecz wziął do ręki i zawołał: a tuście szelmy! zaraz im śmierć zrobił, ożenił się z tą śliczną dziewczyną, która go ratowała i koń wrócił do niego i został kozak Romega królem murzynów.

## Roraty.

Otoż masz Roraty, diable rogaty, to przysłowie stąd powstało: Pewna dama rano jadąc na roraty do kościoła, lekko bardzo się wybrała, a że był tęgi mróz, więc od zimna na pięknie zamarzała. Stanąwszy przed kościołem, lokaj otworzył drzwiczki powozu, aby pani wysiadła. Ale pan

nie mogła wstać, bo już nie żyła. A że miała głowę utrefioną lokami; więc lokaj zawołał: otoż masz roraty, diabło rogaty.

W pewnem miasteczku była szewczycha pobożna, która bardzo lubiała chodzić na roraty. Jednego roku postanowiła te roraty przez całą zimę przeciągnąć. Sprzykrzyło się to szewcowi, pewnego poranku, gdy gospodyni jego do kościoła się wybierała, z gniewem zawołał: co u licha, czy i dziś roraty, wszak ci to post. wielki? Tak jest odpowiedziała pobożna niewiasta, w kościele naszym zawsze są roraty i wyszła z domu. Szewc zniecierpliwiony ukradkiem poszedł za nią i przekonał się, że żona jego zamiast do kościoła, do karczemki weszła modlić się panu Bogu. Wrócił on do domu, nic nie mówi, aż dopiero na drugi dzień, gdy żona znówu wybrała się na roraty, poszedł on za nią z tęgim bykowcem i zaczął się za domem, gdzie się roraty odprawiały. Za godzinę wychazi szewcowa z karcziny, a szewc jak zacznie okładać bykowcem, tak ją zbił, że ledwie nieboga przywlekła się do domu. Szewc zatyłkami idąc o wiele uprzedził swoją żonę i śpiewa sobie godzinki za warsztatem. Aż tu przychodzi żona, płacze, stęka i jęczy. Szewc rozczulony przypada do niej i pyta: cóż to się stało, eo ci duszko moja. Szewcowa z płaczem powiada: Ach gorzkie moje roraty, upadłam i potłukłam sobie gnaty. A szewc na to, nie było chodzić na roraty, nie byłabyś sobie potłukła gnaty.

We Lwowie przez Halickie spiesznie szła dziewczka, wołając na drugą: Marysiu! Marysiu! gdzie idziesz. Idę do Bernardynów na roraty. Pfe nie idź tam, ale chodź do Katedry, tam księża jak lalki poubierani, a za nimi Rorata w czapce spiczastej z kijem sadzi. — Chodź zobaczysz samego Rorata.

## Rozbójnik.

Szewc miał ładną żonę, a jeszcze piękniejszą młodzianką córkę. Lecz jakoś oboje nienawidził, i myślał ciągle,

jakby ich ze świata zgładzić. Pił tedy nieustannie i zrobił sobie dużą, a ostrą szpilkę, za pomocą której postanowił sobie żonę najprzód na tamten świat wyexpedjować. Wkrótce zdarzyła mu się bardzo dobra sposobność ku temu. Zaproszono go na wesele z żoną i córką. Szewc pił na weselu dobrze, potem tańczył z różnemi osobami, nareszcie z swoją żoną sztajera, czy obertasa, i wsadził jej prędko szpilkę w ucho, którą jeszcze prędkiej drugiem uchem wyciągnął. Żona upadła krwią zalana. Wszystkim zdawało się, że ją paralusz naruszył. Szewc okrutnie narzekał na ten apoplektyczny napad, z płaczem wielkim pochował swoją żonę, za którą córka bardzo żalowała i często bardzo kiedy ojca nie było w domu biegła na cmentarz, by zapłakać i pomodlić się na grobie swjej matki. Szewc nudził się bardzo, że nie miał żadnej sposobności do pozbycia swojej córki. Wiedział on o tem, że ona bardzo chętnie na cmentarz uczęszcza: przeto razu jednego mówi on do niej, chodź ze mną na cmentarz, pomodlimy się na grobie twojej matki. Córka rada temu idzie na cmentarz, modlą się oboje. Ale ojciec powiada, przejdźmy się jeszcze do lasu, dzisiaj taka piękna pogoda. Idzie ona do lasu, a gdy już byli w gęstwinie drzew, tam ojciec przywiązał ją do drzewa i chciał ją zamordować. Lecz ona bardzo się prosiła, ojciec na to nie zważając, uciął jej jedną i drugą rękę i zostawił we krwi, żeby męczęc się skonała.

Ale Bóg cudowny niechciał zguby swego stworzenia, niekazał jej, umierać. Jęczała tam nieboga długo, lecz nikt niezlitował się nad nią, gdyż to miejsce było nieprzystępne, nikt nie chodził tamtędy. Tydzień minął, gdy niebożątka dziwne omdlałe od głodu i bólu zawołało: Boże mój! Boże ratuj mię. Usłyszał ten głos królewicz bawiący się łowami i kazał ludziom iść za tym głosem i przyszedli pod drzewo, gdzie nieszczęśliwa dziewczyna dogorywała. Prędko donieśli królewiczowi o tem, który sam przyszedł na to miejsce, kazał odwiązać dziewczynę i włożyć do karety. Przywiózł do pałacu pokryjennu, gdyż miał bardzo złą matkę i prosił sługi swoje, żeby nic nie mówili przed królową. Pokryjomu

leczył doktor tę dziewczynę, która powoli przychodziła do siebie i zajęła mocno królewicza swoją urodą, który mimo jej kalectwa zakochał się w niej. Prosił królewicz, żeby mu powiedziała, kto ją do takiej nędzy przyprowadził. Lecz dziewcze szesnastoletne, a do tego kochające ojca, mówiło że jakiś człowiek wciągnął ją w las, przywiązał do drzewa i ręce jej poucinał. Królowej matce wpadło to w oczy, że królewicz nie wychodzi z swego pokoju, a gdy czasem wyjedzie na łowy, zamyka starannie pokój, i prędko bardzo powraca. Wydarzyło się w tym czasie, że królewicz musiał iść na wojnę, która pół roku trwać miała. Odjeżdżając, polecił biedną dziewczynę najwierniejszemu słudze, żeby miał o niej staranie.

Gdy Królewicz wyjechał, matka jego dokoniecznie chciała widzieć pokoje syna. Sługa opierał się temu mówiąc: że królewicz z sobą zabrał klucze od pokoju. Lecz ona kazała drzwi otworzyć słusarzowi i weszła do jego pokoju. Biedna dziewczyna ledwie nie omdlała ujrawszy złośliwą matkę królewicza przed sobą. Wyznała przed nią wszystko co się stało i prosiła o miłosierdzie nad sobą. Natychmiast napisała list ostry do syna, czyniąc mu niesłychane wyrzuty, że jakąś kalekę wprowadził do palacu bez jej zezwolenia. Syn otrzymawszy list od matki, prosi ją na miłość Boga, żeby tej dziewczynie nic złego nie robiła, że skoro wojna się skończy, to on przyjedzie i wezmie ją sobie za żonę. Matka przeczytawszy list, wpadła w srogą zapalczywość, a do tego jak gdyby na złość przyszli słudzy i powiedzieli jej, że dziewczyna bez rąk syna porodziła. W największej tedy złości, kazała ją rzucić do więzienia razem z dzieckiem, a siadwszy do syna list napisała, donosząc mu, że jego straszdyło nie człowieka, jeno psa porodziło. Syn błaga matkę, żeby tej biednej dziewczynie nic nie robiła, póki on nie wróci z wojny; że przebłaga matkę i cokolwiek Bóg dał on to za swoje przyjmie. Matka jeszcze gorzej się rozgniewała i postanowiła ją stracić. Wynędziała i schorzałą wywlekli z więzienia, wywiezli za miasto, gdzie w przytomności matki królewicza mieli ją zabić. Lecz jak zaczęła nieszczęśliwa



plakać i prosić się, tak sami oprawcy ulitowali się nad nią i niechcieli ją zabić. Toż samo wzruszyło cokolwiek matkę, kazała jej przywiązać do piersi dziecko i cokolwiek pożywienia, żeby sobie poszła i nie wracała więcej.

Szła tedy nieszczęśliwa, oczy tylko a serce do Boga wznosząc, że ją tak dziwnemi prowadzi drogami. Weszła w gęsty las, którego końca dopatrzeć nie mogła. Rok cały szła tym lasem, a zdybawszy starego dziadka pytała go, czy daleko koniec temu lasu będzie. Dziadek powiada; że lat sześć jeszcze ciągnąć się będzie. Biednaż moja godzina, co ja tu sama robić będę i prosi go, żeby jej dziecko do drugiej piersi przywiązał. Dziadek nieodmówił tej przysługi, związał dziecko i dał jej cokolwiek pożywienia. — Szła ona znowu cały rok lasem i zdybała dziadka, który odwiązał dziecko, gdyż więcej niepotrzebowało ssać piersi. Chłopak zaczął już chodzić i mówić, ona siadała na ziemię a chłopaczek chwycił się rączkami za szyję i na plecach matczynych dalszą podróż odbywał. Trzeciego roku zdybała znowu dziadka, który chłopczykowi dał piękną koszulkę z przepaską niebieską i trzewiczki na nogi. Matka biedna już miała pomoc z niego. Wyuczyła go pacierza i wpajała w niego miłość Boga i bliźniego, a chłopaczek zbierał po drodze jagody i owoce różne i podawał swojej matce, która dalszą odbywała drogę w tej nadziei, że przebywszy las, może trafi na dobrych ludzi, którzy jej rękę pomocną podadzą. Czwartego roku zdybała dziadka w lesie, który dał chłopczykowi surducik, spodenki i trzewiczki na nogi. Podobnie zaopatrzył go dziadek piątego i szóstego roku. Ale siódmego roku, gdy już z lasu wychodzić mieli, przyszedł dziadek, dał chłopczykowi nowy ubiór i piszczalkę. — Idą tedy samemi polami, nareszcie zbliżyli się do studni a chłopcu dokoniecznie pić zachciało się. Matka mówi: studnia dosyć głęboka, a tu niema czem tej wody naczepać. Chłopiec dokoniecznie napał się tej wody, położył się na ziemię, rozumiejąc że rękami cokolwiek naczepie tej wody, ale za nadto pochylwszy się upadł do studni. Matka w płacz, a cóż ja teraz biedna poczną, czem ja cię wyciągnę. Przy-

szło jej na myśl, że ma długie włosy i powiada do chłopca: ja się położę nad studnią i spuszczę ci moje włosy, chwyć się tych włosów, może się dostaniesz na wierzech. Podala mu włosy swoje. Lecz chłopczyna uchwyciwszy się włosów i matkę wciągnął do studni. Teraz oni oboje płaczą w studni. Matka modli się gorąco, żeby ich pan Bóg wybawić raczył z tej niedoli. Chłopiec powiada, ja będę świstał na mojej świstałce, może kto usłyszy i wyratuje nas. Świsnął tedy raz, aż tu przylatuje Anioł zapalił dwie pochodnie, książkę otworzył i modlił się. Chłopiec nie wiele myśląc świsnął drugi raz, aż tu z jednej strony matce ręka przyrosła. Chłopiec świsnął trzeci raz, a tu z drugiej strony matce ręka wyrosła. Matka rękami prędko wygramoliła się ze studni i chłopca też wydobywszy, gorącemi łzami się zalała i dziękowała panu Bogu za jego łaskę i miłosierdzie nad nią tyle razy okazane. Opowiadała ona chłopcu przez dalszą swą pielgrzymkę, ile niewinnie wycierpiała, ile ciosów niezasłużonych dotknęło ją boleśnie.

Tak rozmawiając przyszli do jakiegoś kraju ponurego, w którym byli wprawdzie ludzie, lecz do nikogo nie mówili i niczem niezajmowali się. Błądzili po tym kraju żaloby i smutku lat kilka. Chłopiec miał już lat czternaście, gdy stanęli w stołecznem mieście tego kraju. Chłopiec prosto udał się do zamku, matka wstrzymywała go, wskazując na straż rycerską przy zamku. Lecz on pociągnął matkę za sobą i zbliżył się do warty i pyta, czy można wejść do zamku? Żołnierze wprawdzie patrzali się na niego, ale nie mówili. Poszli oni do zamku, pokoje pootwierane były i głucha cisza tam panowała: A ponieważ było to już cokolwiek późno gdy do zamku weszli: przeto matka znużona położyła się do łóżka i zasnęła. Chłopiec zaś rzezwiejszy przechadzał się po pokojach zamku. Wstąpił do pokoju jednego, gdzie król i królowa spoczywali. On do nich mówił, lecz oni patrzali się na niego wprawdzie, lecz nie odpowiadali. Wziął on im pantofle z przed łóżka i poszedł do innego pokoju. Tam spała starsza królowna, patrzała na niego, a gdy nie odpowiadala, wziął jej trzewik i poszedł do innego

pokoju, gdzie leżała młodsza królowna, także nic nie mówiła, on jej wziął chustkę i poszedł do innego pokoju, gdzie leżała najmłodsza królowna, — przymilał się do niego ten śliczny aniołek, patrzyła niewinnemi oczętami swemi na młodzieńca, lecz nic nie mówiła, on jej zdjął pierścień z palca i wrócił do pokoju, w którym matka jego spała. Lecz nie mogąc usnąć, zapalił świecę i czytał długo na książce. Aż tu o dwunastej godzinie w nocy straszny huk rozległ się po zamku. Dziwne jakieś głosy, żalobnym jękiem napełniły pokoje wszystkie. Turkot z loskotem po wszystkich korytarzach, tak był gwałtowny, iż zdawało się, że całe zamczysko w gruzy się rozsypie. Przeląkł się chłopczyzna i wznosił oczy i ręce swoje do Boga, bez którego woli i włos nawet człowiekowi z głowy nie spada. Modlitwa pokrzepiła go, a gdy klęczący powstał na nogi, wtedy cały piec zawałił się i straszna postać ludzka ukazała się i grubym głosem zawołała: Chłopcze, Chłopcze! ogól mi pół brody. — Gdy chłopiec stał nieporuszony, okropny ten olbrzym znowu grubym głosem zawołał: Chłopcze, Chłopcze! ogól mi pół brody. Nie namyślając się dalej, wziął mydło, nasmarował poczwarcie brodę i ogolił mu pół brody. Olbrzym podziękował mu za to i wyszedł najspokojniej. A za nim huk armat rozległ się po całym mieście. Muzyka przecudna brzmi wesoło, głosy ludu rozbudzonego toną nieustannie w powietrzu. Witaj nasz wybawicielu. Królu nasz! Ojczy nasz, Dobrodziej nasz, wynijdź do nas niech oglądamy twarz twoją, woła lud zgromadzony koło zamku. Król i królowa z królowzemi powstawali i powiadają, ktoś tu był u nas, może to nasz wybawiciel. Szukają po pokojach i znachodzą młodzieńca i pytają go, czy to on był w ich pokojach. Przyznaje się do tego i pokazuje im pantofle, trzewik, chustkę i pierścień, które zabrał od nich, i wskazuje na łóżko, że na niem spoczywa jego matka. Cała rodzina zachwycona postacią ślicznego młodzieńca, bierze go i prowadzi na balkon. Całe miasto niezmiernie było ożywione, żołnierze strzelają, muzyka przegrywa, a lud rzuca kwiaty na głowę młodzieńca wołając: Witaj oswobodzicielu nasz!, bądź pozdrowion królu nasz!, od ciebie mamy swobodę i życie!

Prawie już nad rankiem wrócił młodzieniec do pokoju matki, która spoczywając snem sprawiedliwych, o niczem niewiedziała, co się w zamku działo. Rzucił się na sofę i zasnął szczęśliwie. Po kilku godzinach milego wypoczynku przebudził się i zdybał się z miłszemi jeszcze oczętami czuwającej nad nim najmłodszej królowny, które jak dwie gwiazdki urocze odbiły się na tle niewinnej duszy jego. A ona jak słowik w gaju, do niego szczebiotać poczęła. Ale i matka zachwycona powabem cudnej twarzyczki dziewczęcia, zawołała: Synu mój, pan Bóg znowu nam Anioła święgo zesłał. A młodzieniec poskoczył do matki, i zaczął ją po nogach i rękach całować, a dziewczęciu łzy zakręciły się w oczach, że on pieścił się z swoją matką kochaną, i do pokoju swego odbiegła. Młodzieniec opowiada matce, co się w nocy stało, matka słucha i powiada, to zapewne śniło ci się mój synu, iżem nic nie słyszała, to Anioł boży kołysał cię snem tak przedziwnym, abyś się pokrzepił i nabrał siłę do dalszego dzwigania niepowodzeń, jakie nas w tem życiu czekają. Jakoż widziałam nawet Anioleczkę nad tobą czuwającego. Nie mam, to nie był Anioł, to była najmłodsza królowna tego zamku, Synu mój, niemyśl nawet o tem, ani też pragnij tego, aby królowna tobą się zajmowała, tyś sierota opuszczony. — Aż tu drzwi otwierają się, służdy znoszą najpiękniejsze szaty dla nich, — ubierają. Matka wystrojona wyglądała jak księżniczka, a młodzieniec przebrany raczej do Anioła, niżeli do człowieka był podobny. Prowadzą ich tedy do salonu wspaniałego, gdzie była cała rodzina królewska zebrana z ministrami i magnatami państwa. Wszyscy powstali na widok matki i syna z okrzykiem uszanowania i radości. Matka usiadła na wskazanem miejscu i opowiadała wszystkie przygody życia swego męczeńskiego, ile nocy przeplakała, ile dni przeboleła, ile niewczasów i udręczeń najniewinniej wycierpiała. Wszyscy rzewnie płakali nad jej okrutnem położeniem, a w miarę jak przechodziła do widocznej opieki Boskiej nad sobą, łagodziło się powszechne rozczulenie i wesołość powracała, a król z tronu obracając się ku niej, powiedział: Teraz skończyła się twoja

nędza, twoje dziecko biorę za syna mego, a to niebożątko wskazując na najmłodszą królową będzie żoną jego. Dziś odprawimy zaręczyny, a za lat cztery będzie wesele. Matka nieboga ledwie nieomdląła z podziwu i tego ogromu szczęścia, które na nią tak nagle spadło.

Cztery lata ubiegły jak cztery minuty wśród najśladziej rozkoszy. Wesele było bardzo świetne, a król stary ustąpił mu nawet tron, aby na nim szczęśliwie panował. Razu pewnego stała matka na balkonie i postrzegła dziada na dole, któremu rzuciła dukata. Ale tak on się jej przypominał swoją postacią, że na drugi dzień kazala mu znowu przyjść. Dziad uszczęśliwiony, przychodzi nazajutrz, matka staje przed nim i poznaje swego ojca. Znasz mię dziadku? powiada do niego, jam twoja córka, której ręce poobcinałeś i zostawiłeś na pastwę drapieżnym zwierzętom, patrz oto Bóg dał mi nazad ręce, a mój syn królem jest tego kraju. Mogłabym się zemścić nad tobą, ale mój ojciec kochany niech ci Bóg tego niepamięta, cokolwiek złego mi uczyniłeś. Chodź do pałacu, będziesz miał u mnie wszelkie wygody, złe dobrem wynadgradzę. Lecz ojciec skruszony anielską dobrocią swojej córki, upadł na ziemię i nieżył więcej, a ona z synem długo panowała, przytulając prawnuki do łona swego.

## Rozbójnicy.

Myśliwy chciał zastrzelić kaczora. Ale kaczor zawołał, niestrzelaj mię, ja ci będę w nocy do pomocy. Bierze tedy kaczora z sobą. Idzie dalej, wyskakuje kot, złożył się do niego, ale kot zawołał; niezabijaj mię, ja ci będę w nocy do pomocy. Wziął tedy kota z sobą idzie dalej. Wybiega kogut, mierzy do niego, ale kogut woła; nie strzelaj do mnie, ja ci będę w nocy do pomocy, bierze więc koguta z sobą idzie dalej polem, gdzie się wół pasł, wymierzył strzelbę do niego, ale wół powiada; nie strzelaj do mnie, ja ci będę w nocy do pomocy. Bierze więc wołu z sobą, idzie zdziwiony, w czem ta halastra dopomagać mu będzie. A że już noc zapadła;

przeto do pierwszej lepszej karczmy na noc zagościł. Lecz gospoda była siedliskiem zbójców, o czem myśliwy nie wiedział. Wół stanął sobie u drzwi karczmy, kogut wylał na piec razem z kotem, a kaczor wlał do cebrzyka, gdzie była woda. O pół nocy, przyszli rozbójnicy i radzą, jakby tego myśliwego zabić. Jeden najodważniejszy, najprzód poszedł do świetlicy, ale kot skoro go zobaczył, skoczył mu do ócz i twarz podrapał, cofnął się ku drzwiom rozbójnik, a wół uchwycił go na rogi i podrzucił do góry, kaczor zaś śmiejąc się woła; tak, tak, tak, a kogut ciągle wykrzykuje; podajcie no go tu, podajcie no go tu! Rozbójnik ledwie zebrał kości swoje i powiada towarzyszom, uciekajmy z tąd, tam ich bardzo dużo, jeden mi oczy wydrapał, drugi palnął po łbie, jeden śmieje się wołając; tak, tak, ledwiem uciekł z duszą, bo znowu inny wołał: podajcie no go tu. Drudzy to usłyszawszy precz puciekali i zostawili pieniądze, które myśliwy rano wstawszy z sobą zabrał.

## Roztargnienie.

Pewny jegomość znany powszechnie z roztargnienia niepospolitego, był zaproszony na obiad do swego przyjaciela. Idąc zaś na obiad miał głowę zaprzątowaną chorobą swojej żony i zdawało mu się, że jest u siebie na obiedzie. A ponieważ obiad nie bardzo był wyśmienity, wstaje tedy przy końcu i powiada: Przepraszam państwo za ten obiad galgański, bo moja żona bardzo chora.

## Rozum.

Młody pan zajechał na noc do lichej oberzy, gdzie arendarz ciekawy między innymi pytaniami i oto zapytał, dokąd i w jakim celu podejmuje pan podróż. Gość przybyły jako człowiek otwarty, nie miał powodu swej wycieczki, ale wprost powiedział; jadę w świat szukać rozumu. Żyć przebiegły pomyślał sobie, kiedy ty w świecie rozumu szukasz, to ty musisz mieć pieniądze. Ale i gościowi ciekawość

żydowska wcale się niepodobała, także pomyślał sobie, ty widzę chcesz mię rozumu nauczyć, ale ci się nieuda. Po skromnej bardzo wieczerzy, gość rozpasawszy z siebie duży trzos z pieniędzmi rzucił na stół, sam zaś położył się na słomę zaraz koło stołu i udał spiącego. Żyd z alkiérza patrzył bardzo uważnie, gdzie był trzos położony i zgasił światło na pewne. Gość tymczasem cichuteńko ściągnął trzos ze stołu ku sobie i począł tego chrapać. Żyd sądząc, że dobrze zasnął, na palcach wysunął się z alkiérza i dalejże do stołu, maca naokoło, lecz trzosa nie było. Gdy się oddalił żyd, gość pociachu znowu trzos na stół położył. Żyd krzesze ognia, rozpalil świeczkę i patrzy, trzosh leży na swoim miejscu. Zgasil tedy świeczkę, a tymczasem gość znowu ściągnął trzos ku sobie i lepiej jeszcze chrapał. Żyd na palcach znowu lézie po trzos, maca, nie ma trzosa, wyłazi na stół, nie ma. Wraca do alkiérza i znowu krzesze, a tymczasem gość znowu trzos wystawił na stół. Żyd rozpalil świecę i patrzy, że trzos leży na stole. Dmuchał na świecę i zgasil, a tymczasem gość pomknął trzos ku sobie. Idzie żyd poraz trzeci, maca, nie ma trzosa. Domyślił się przecie, że to są figle gościa, pod nosem tylko powiedział: Rich an taty aran, di szwarc jur i spać się położył. — Rano tedy wstał ów podróżny, przepasał trzos, jakoby nic niezaszło, zapytał o rachunek żyda, który wyszedłszy do niego z alkiérzyka tę pamiętną dał mu naukę: Ny! poco pan jedzie w świat szukać rozumu? Pan go masz.

## Ryba.

Szewe zamożny lubił przy wolnym czasie rybołówstwem się zabawiać. Razu pewnego poszedł z czeladzią swoją na ryby. Już kilka rybek ułowili, gdy pojawiła się wielka bardzo ryba. Szewe do niej, a ona powiada, daj mi jeszcze teraz pokój, ale przyjdź za rok, wtedy większą będziesz miał ze mnie korzyść. Za rok przychodzi szewe po tę rybę, a ona mówi do niego: jedną część dasz zjeść swojej żonie, a drugą dasz kobyłę, третią suce, a czwartą zakopiesz pod

gruszką, a teraz możesz mię wziąć z sobą. Wyciągnął on z czeladzią tę rybę, pokrajał na cztery części i zrobił tak, jak ryba mówiła. W rok porodziła żona szewca dwa śliczne chłopaki z włosami złotymi, klacz rzuciła dwa loszaki z grzywą i kopytami złotymi, suka też miała dwa pieski z uszkami złotymi, a pod gruszką były dwa piękne pałasze, które szewc starannie zachował do dalszego czasu.

Chłopcy rośli, uczyli się pilnie i w zgodzie wielkiej z sobą żyli. Gdy szkoły pokończyli ojciec obdzielił ich pałaszami, pieskami i konikami, któremi oni często na spacer jeździli. Raz powiada starszy syn do rodziców, że mu się śniło, żeby na wschód pojechał, że tam czeka go wielkie szczęście. Rodzice niebronili mu tego, dali mu dosyć pieniędzy i wyprawili go w podróż. Brat młodszy towarzyszył mu spory kawał drogi. Nareszcie gdy przyszło rozstawać się smutek ciężki ogarnął go i rozplakał się mocno. Brat starszy cieszy go i powiada; do tej gruszy nóż mój kładę, póki czysty będzie, póty też żyć będę, skoro zaś zakrwawi się i zardzewieje, wtedy żyć przestanę. Młodszy wrócił do domu, starszy zaś w świat daleki poczwałował. Przez dwa lata nganiał się po szerokim świecie, nareszcie stanął w pewnym mieście, gdzie wielka trwoga panowała. Pyta on żyda, dlaczego tu tak smutno. Żyd powiada, że za miastem wielka jest zmyja, której codziennie jednego człowieka na pożarcie dawać muszą. — Dla większego zaś porządku ciągną losy, na kogo los wypadnie, ten pada ofiarą zmyi. Właśnie dziś padł los na królownę, dlatego też taka trwoga w mieście panuje. Wy ją niemożecie od śmierci uwolnić? pyta podróżny. Niemożemy, odpowiada żyd. Otoż ja królownę wybawię od śmierci odezwał się podróżny. Żyd skoro to usłyszał zaraz pobiegł do króla i powiada, że jakiś pan przyjechał, króry chce królownę od śmierci uwolnić. Król posyła po niego i pyta, czy on chce być wybawicielem jego córki. On powtarza swoje postanowienie, a król mówi, jeżeli ją wybawisz, ożenisz się z nią i dam ci pół królestwa.

Wyjechała królowna w karecie za miasto, a zmyja sadzi z kryjówki z wielkim hałasem by nową rozszarpać ofiarę.



Leos podróżny przypadł do niej na koniu i począł pałaszem wywijać. Ale ta źmyja pięć głów miała, a dotego jeszcze głowy ucięte nazad przyrastały. Co utnie jaką głowę, to ona znowu przyrośnie. Widzi pies podróżnego, że temu nigdy końca nie będzie, zaczął czatować. Skoro pan jego uciął głowę, tak on natychmiast chwycił głowę i na bok odnosił i takim sposobem pokonał on źmyję i porąbał na drobne kawałki, a tak nie tylko królownę, ale też całe miasto od tej strasznej plagi uwolnił. Po skończonej robocie przystąpił do karety i powiada: jedźcie wy teraz do domu, a ja za rok do was przybędę i pojechał precz. Furman myśli sobie trzeba korzystać z okazji, staje tedy i powiada do królowny; jeżeli mi nie przysięgniesz i niepowiesz w domu, że to ja tę źmyję zabił, to ci tu zaraz śmierć zrobię. Królowna rada nie rada przysięgła. Gdy przyjechali, furman powiada, że ten pan był oszust, że nie jego to głowa była do tego, żeby źmyję pokonać, że to on źmyję zabił. Ha nu powiada król, kiedy tak, to ożenię cię z moją córką, ale wesele będzie od dziś za rok. Furman już do stajni nie szedł, jeno w pokoju królewskim siedział, jadł, pił i kurzył fajkę na długim cybuchu, aż lubo było.

Ale niepotrzebnie też szewca syn udał się w dalszą podróż, gdyż stara baba zastąpiła mu drogę prosząc, żeby jej pomógł kości zbierać. On jako uczynny człowiek, zlął z konia i schylił się po kości, ale w tym samym momencie przemienił się w kamień, toż samo stało się z koniem i pieskiem jego. Brat młodszy codziennie jeździł do gruszy i na nóż patrzył, który zawsze był czysty, lecz tego dnia, którego stał się kamieniem brat jego, nóż zakrwawił się i rdza rzuciła się na ostrze jego. Skoro to postrzegł, już nie wracał do domu, jeno pojechał w świat, by się dowiedzieć o przygodzie brata swego. W oddaleniu obaczył duży słup, do którego zbliżywszy się zobaczył napis na tym słupie: tu jest źródło orzeźwiające. Wsamej istocie była tam żywa woda, której cokolwiek w naczynie naczterpawszy w dalszą puścił się drogę. Jedzie on z kilka mil i zdybuje kamienie trzy i pałasz przy nich leżący. Zaraz domyślił się, że to musi być brat jego, gdyż jeden kamień był podobny do człowieka,

drugi do konia, a trzeci do psa. Pokropił on wodą orzeźwiająca, brat najprzód ocucił się mówiąc: ach jakżem długo spał, za nim wstał koń, a potem piesek. Dobrze żeś przyjechał powiada brat ocucony, jedźmy teraz razem do tego miasta. Przyjeżdżają oni razem i pytają żyda co tu słyhać? Żyd powiada, że dziś będzie ślub furmana z królowną. Biegnie on do króla i przedstawia, że furman jest oszust, gdyż on nie zabił żywi. Król woła córkę, żeby sama zeznała, kto ją wybawił. Córka powiada, że ten pan mię wybawił. Zaraz tego łotra furmana powiesili na szubienicy, a młody szewczyk ożenił się z królowną, wziął rodziców do siebie, żył szczęśliwie, później nawet został królem.

## Serki.

Podczas odpustu niemogąc się docisnąć do konfesyonału góral, wyjął gomółkę séra i stanął na przeciwko konfesyonału. Ksiądz postrzegłszy myśli sobie, dobra i gomółka séra, woła go tedy do konfesyonału, odbiera gomółkę, kładzie na pulap i słucha spowiedzi górala. Po chwili stawia drugi z gomółką séra. Ksiądz odbiera i do spowiedzi przypuszcza. Ba, aż tu trzeci, piąty, dziesiąty i ósmnasty z sérem staje. Ksiądz odbiera, nareszcie myśli sobie, będzie tych sérów ze 20 gomulek, trzeba zabrać do zakrystyi. Wstaje tedy, maca i szuka, niema tylko jedna gomółka. Pokazało się, że górale zmiarkowawszy Księdza upodobanie w gomulkach, kradli mu tę gomółkę i stawiali przed nim, aby prędzej wyspowiadać się.

## Simeon.

Król miał dwóch synów: Leona i Simeona. Starszy Leon chodził do szkół, uczył się bardzo dobrze. Gdy mniejsze szkoły ukończył, ojciec posłał go do cudzych krajów, w celu słuchania wyższych nauk. Tam zapoznał on się z królowną i ojciec tej królowny tak go polubił, że mu oddał swoją córkę w małżeństwo. Sprawił im bardzo huczne we-

sele, potem rozchorował się i umarł, a zięć jego został królem. Syn młodszy Simeon uczył się także bardzo pilnie, a gdy skończył mniejsze szkoły, prosił ojca, żeby go wyprowadził do brata Leona. Ojciec nie bronił mu tego i owszem dał mu dużo pieniędzy, sprawił bankiet i wyprowadził go z muzyką za miasto. Ale matka zakłopotana pożegnaniem, zapomniała dać mu dwa jabłka, które miały być wskazówką dla niego w wyborze towarzysza. — Wysłała tedy prędko lokaja za nim z dwoma jabłkami mówiąc: Oddasz te dwa jabłka królewiczowi i powiesz mu, jeżeli kogo zdybie i zechce z nim iść, to niech mu da jedno jabłko rozkroić, jeżeli sobie mniejszą część weźmie, to niech z nim idzie, a jeżeli sobie większą część weźmie, to niech z nim nie idzie. Lokaj zaś zwykle swego trzymając się rozumu, dognawszy królewicza przeciwnie mu powiedział mówiąc: Królowa matka posłała te dwa jabłka na to, jeżeli królewicz zechce z kim iść, niech da mu jedno jabłko rozkroić, jeżeli sobie weźmie mniejszą część, to nie iść z nim, a jeżeli większą to iść z nim.

Wziął tedy królewicz te dwa jabłka i przyszedł do jednego miasta, gdzie była wdowa krawcowa mająca pięknego syna. Spodobał on sobie tego chłopca i prosił, żeby mu krawcowa tego chłopaka ustąpiła. Krawcowa chętnie na to przyzwoliła. Sprawił on mu piękne suknie i wziął ze sobą. Idą razem z kilka mil, nareszcie daje mu królewicz jabłko, aby rozkroił. On rozkroił i wziął sobie mniejszą część. Królewicz widząc to, niecheiał już dalej z nim iść, zapłacił mu za drogę i puścił go do domu. Idzie tedy sam przez las i patrzy do góry, a tam siedzi jakiś i pasie świnię. Woła on go do siebie i pyta, czyby z nim nie poszedł? Pastuch chętnie bardzo podejmuje się tego obowiązku. A gdy z parę set kroków uszali, daje mu królewicz jabłko, żeby rozkroił. Świniarz dobył noża tak ogromnego, że aż królewiczowi włosy na głowie stanęły, i odciął dla siebie większy kawałek. Właśnie tego było potrzeba królewiczowi. Idą tedy razem już w największej zgodzie. A gdy kilka mil zrobili, uszali królewicz wielkie pragnienie. Zdybał pastucha, który

pał trzodę brata jego Leona i pyta, czy niema tu gdzie wody napić się. Pastuch powiada, że jest tu studnia, ale tam się nie napijecie, gdyż niema ezem wody zaczerpnąć. Świniarz powiada, już my sobie poradzimy, byle tylko wiedzieć, gdzie ta studnia. Pastuch zaprowadził ich do studni, a otrzymawszy nagrodę od królewicza, wrócił do swej trzody. Gdy stanęli nad studnią, świniarz powiada, że ja królewicza wezmę za nogi i spuszozę do studni, a jak się królewicz napije, to ja wyciągnę nazad, a potemu królewicz mię tak spuści, żebym się też napił wody. Królewicz myśli, że to dobrze hędzie i rozebrał się i dał się wpuścić do wody. Napił się i woła już! Ale świniarz nie myśli go wyciągać, jeno trzyma za nogi, królewicz już ledwie dychał, prosi go przez miłość pana Boga, żeby go wyciągnął. A przystaniesz na to co ja ci powiem? powiada świniarz. Przystanę na wszystko, tylko mię wyciągnij woła królewicz. Przysięgnij że mi, że jak cię wyciągnę, to będziesz mna, a ja tobą. Rad, nie rad przysięgnął królewicz, że hędzie sługą jego aż do śmierci. Wyciągnął go świniarz i przebrał się w suknie królewicza, a królewicz ubrał się w lachy świniarza.

Idą do miasta i dają znać królowi, że brat Simeon, do niego przychodzi. Brat Leon z żoną swoją wyjechał na przeciwko i powitał brata swego bardzo serdecznie i wprowadził go do pałacu. Ale żona Leona cichaczem mówi do swego męża: nie gniewaj się na mnie co ci powiem, ten lokaj twego brata, daleko jest podobniejszy do ciebie, niżeli twój brat, a nawet rozumniejszy jest od twego brata. Ale Leon niewidząc dawno brata swego, nie robił tej różnicy, jeno kontentował się przybranym bratem lubo eokolwiek upośledzonym, polubił też i lokaja brata swego dla jego prawości. Po dwóch miesiącach pobytu w pałacu, wyszedł ten świniarz na balkon i powiada, zkad tu taki zapach uderza? Król mu objaśnia, że w pobliżu pałacu znajduje się ogród zaklęty, w którym są najlepsze owoce, zkad też ten zapach pochodzi, ale jak się kto tam uda, już stamtąd nie wraca. Świniarzowi zaraz wpadło do głowy, żeby swego

lokaja po owoce posłać, gdyż mu z nim było bardzo ciasno. Mówi tedy do króla: poszlę ja mego lokaja do tego ogrodu. Król prosi, daj spokój, to jakiś poczeiwy człowiek, szkoda go, żeby tam zginął. Ale świniarzowi właśnie tego było potrzeba, żeby on zginął i kazał mu iść po owoce do tego ogrodu. Podejmuje się tej wycieczki, ale lokaje królewscy, krórzy go także polubili, powiadają mu, że ztamąd nikt jeszcze nie wrócił, żeby nieszedł do ogrodu. Lecz on myśli sobie wolę ja zginąć, niżeli tu trapić się z tym świniarzem i poszedł do ogrodu, a lokaje z płaczem odprowadzili go do bramy, która się otworzyła i za wejściem królewicza zamknęła.

Chodzi tedy jak błędna owca po ogrodzie pustym, gdyż prócz owoców pięknych i ptaków śpiewających, ani żywej duszy tam nie było. W samym środku była altana. Idzie on do tej altany i patrzy, a tam jest stół, kanapa, a na kanapie okrutny niedźwiedź leży. Z początku przeraził go ten widok, ale po chwili rozwagi, postanowił wejść do altany. Skoro tylko drzwi otworzył, zaraz niedźwiedź zerwał się na równe nogi i zawołał: Witaj królewiczu Simeonie! On się bardzo zdziwił, że niedźwiedź gada. Ale on pocieszając go mówi: Niebój się królewiczu Simeonie, ten świniarz posłał cię tu po śmierć, ale jego prędzej diabli wezmą, tobie się nie złego niestanie i narwał najpiękniejszych owoców, związał do chustki; to dasz twemu bratu, a potem narwał co najpodlejszych i dał w płachtę brudną; to dasz temu świniarzowi, on cię jeszcze tu raz przysła, śmiało tu przychodź ty nie zginiesz. Podziękowawszy za te dary, wyszedł z ogrodu. Wszyscy cieszą się z jego powrotu, on rozdaje owoce według tego, jak było przykazano. Król niemoże się nachwalić tego lokaja, a świniarza diabli bierą ze złości, że on zdrowo powrócił. Myśli tedy, jakby się go pozbyć, w tem wpada mu złote pióro w ocsy, które było za zwierciadłem przymocowane. Pyta króla skąd on ma to pióro? Król mu powiada, że leciał tedy ptak złoty, on strzelił do niego, lecz go nie trafił, jedno tylko pióro spadło z niego, a on poleciał do zakłętego ogrodu. Ja muszę mieć tego ptaszka

zawołał świniarz, zaraz poszłę mego lokaja po niego. Król już się niesprzeciwiał tak mocno, gdyż miał nadzieję, że biednemu słudze nic złego się nie stanie. — Rozkazał mu tedy, żeby poszedł do zakłętogo ogrodu po tego ptaszka.

Idzie królewicz prosto do niedźwiedzia i mówi mu, że go wysłano po złotego ptaszka. Niedźwiedź na to powiada; ty dostaniesz tego ptaka, ale dłużej tu bawić będziesz musiał. Oto masz złote berło, a jak będziesz koło jednej skały, ztamtąd lew wyskoczy i będzie na ciebie ogniem sypał, ty uderzysz go trzy razy tém berłem, wsiądziesz na niego i pojedziesz tam, gdzie ten ptak się znajduje. — Minął on jedną skałę, nic, minął drugą, nic, aż tu z trzeciej skały wyskakuje lew i ryczy i ogniem sypie na niego, on go trzy razy berłem uderzył, a lew w uniesieniu zawołał: Witaj królewiczu Simeonie! siadaj na mnie. Siadł on na lwa, jadą tedy cały dzień i całą noc, na drugi dzień dopiero stanęli pod pałacem. Lew powiada: idźże do pałacu, bierz jeno ptaka i wracaj do mnie. Idzie on do pałacu, tam wszyscy spali jeszcze, postrzegł ptaka w złotej klatce śpiewającego, myśli sobie, co mnie po ptaku bez klatki, wezmę ja go z klatką. Lecz zaledwie do rąk wziął, wnet obskoczyła go służba dworska i do króla zaprowadziła. Król pyta, coś ty za jeden? Jestem królewicz Simeon. Jeżeliś ty Simeon królewicz, to przyprowadź mi konia złotego, a wtedy dam ci ptaka z klatką.

Wraca on do lwa i mówi co się stało. Lew sztrofując go powiada: ja z tobą i tam pojedę, ale ty i tam tak zrobisz jak tu. — Jadą oni znowu przez noc i przez cały dzień, dopiero na drugi dzień stanęli przed pałacem. Idźże teraz powiada lew do stajni, bierz tylko samego konia i wracaj do mnie. Idzie on do stajni, a tam konie ziemię drą pod sobą, w kąciku zaś stoi jego koń złoty, a na nim prześliczne siodło złote. Myśli on sobie, co mi z konia bez siodła? Wezmę ja konia z siodłem. Lecz zaledwie siadł na konia, słudzy zatrzymali go i zaprowadzili do króla, który pytał, ktoś ty jest? Jestem królewicz Simeon. Jeżeliś ty królewicz Simeon, to przyprowadź mi pannę złotą, a wtedy otrzymasz konia.

Wraca on do lwa i mówi co się stało. Lew bardziej się jeszcze rozgniewał i powiada, cożeś dobrego zrobił, pojedę i tam z tobą, ale jak nie zrobisz po mojej woli, to cię zabiję. Jadą oni i przyjechali pod łoży. Lew mówi idźte ty w łoży, natnij sobie sto prętów, żeby ona cię nie widziała, skoro zaś przyjdzie, chwytaj za rękę i bij co się wliwie. Idzie on w łęgi naciął pręcików sto, związał, schował się i myśli sobie, jak tu bić pannę, żal mu jej było, ale oóż miał robić. Panna ta była zaklęta, codziennie musiała chodzić w łęgi, by uderzyć się prętem, a tę pokutę przez sto dni jeszcze odprawiać miała. Przyszła tedy według swego zwyczaju w łęgi i schyliła się po pręt, a królewicz uchwycił ją za rękę. Ona zaczęła się prosić, ale on na to nie zważając, jak zacznie smagać prętami, tak z niej skorupa brzydka spadła i ukazała się śliczna panna złota i zaczęła mu dziękować za tę przysługę. Miała ona pieska, który także laśił się i lizał ręce królewicza. Idzie on tedy do lwa, który mocno się ucieszył, że przecie raz uczynił według jego woli. Jadą więc do pałacu, gdzie mieli dostać konia złotego. Lecz królewiczowi żal było panny, lew to spostrzegł i powiada; ja zamienię się w panuę, pójdziemy razem do pałacu, a królowna niech tymczasem zaczeka na nas.

Idą do pałacu, król niezmiernie uradowany oddaje konia z siodłem, a pannę bierze. Królewicz siada na konia przyjeżdża do panny, bierze ją z sobą i do lasu zajechali. A w pałacu muzyka od ucha tnie, skaczą wszystkie z radości. Król też uchwycił pannę i dalej z nią krakowiaka, a ona się w lwa przemieniła i ogniem na niego sypnęła. Ihi szczeżaj do licha, zawołał król rozgniewany, muzyka ucichła, a lew przybiegł do królewicza Simeona i powiada, udala nam się jedna sztuka, teraz przemienię się w konia i pojedziemy po ptaka, królowna niech tymczasem naprzód jedzie. — Pojechali oni do pałacu, król z wielkiej radości oddał ptaka z klatką, a konia kazał do stajni zaprowadzić. Po obiedzie kazał osiodłać konia i wyjechał na spacer, lecz za ledwie kilka set kroków zrobił, koń zrzucił króla z siebie i gdzieś zniknął. A królewicz pojechał z panną i ptakiem

złotym do palacu brata swego. Lecz gdy zbliżył się do zakłętogo ogrodu, na środku nie było już altany, jeno 'palac wspaniały, gwarny', wesoly pełno gości, pełno panów i ludzi wołających: Witaj królewiczu Simeonie! i proszą go, by wstąpił w te błogosławione progi. Ale on się spieszył do brata, przed którym gdy stanął, wielka była radość, gdyż prócz ptaka złotego, przyprowadził konia złotego i pannę złotą. Świniarz wścieka się od złości i namawia ludzi, żeby go dokoniecznie zabili, a ktokolwiek wykona mordestwo, ten otrzyma sto dukatów. Namówili go tedy na polowanie, jeden z strzelców zaczął się na niego za krzakiem, a tak celnie strzał ku niemu wymierzył, że ugodzony kulą na miejscu pozostał.

Wielką miał radość świniarz, że się pozbył swego lokaja i wypłacił sto dukatów zabójcy nieszczęśliwego królewicza. Ale koń złoty skulił się, zwiesił głowę snutny bardzo, ptaszek naburzył się i główkę pod skrzydła schował, gdyż niemiłe mu było życie, a piesek skomlał i do drzwi panny póty stukał, póki drzwi niewywalili, panna złota wybiegła za psem, który aż na miejsce zabójstwa pobieżał. Skoro królewicza martwego spostrzegła, tak ręce załamała i gorzkimi łzami lice zalewała. Zbliżył się do niej starszek i pyta dlaczego ona tak lamentuje. Ona mu powiada, że jej kochanie zamordowane zostało. On pociesza strapioną i mowi: Tam na polu jest źródełko małe, które ożywia, udaj się klęcząc, a z ufnością do tej krynicy, naczerpaj cokolwiek wody, a cudu wielkiego doznasz. Klęka tedy na kolana, sunie za starszkiem naprzód idącym, naczerpła cokolwiek wody, obmyła ranę królewicza, który natychmiast zerwał się na nogi i powiada: o tom się wyspał. Tyś nie spał, mówi złota panna, tyś był zabity. Co ty powiadasz odzywa się królewicz, byłem zabity? to moja wygrana, gdyż ja tylko do śmierci obowiązałem się być lokajem tego świniarza, teraz mam ręce rozwiązane i wyjawil jej cale swoje położenie. I ptaszyna podniosła główkę szczebiocząc z radości, koń zadarił głowę dumną, a rzeniem wesołem objawil swą radość, lecz nad wszystkich wesołszy był piesek, skakał, lał się i szczekał od radości.



Panna złota czekała aż do wieczora w lesie i przypro-  
wadziła królewicza po kryjomu, żeby nikt nie wiedział i ka-  
zała mu przebrać się za pannę. Na kolację poszła do stołu  
królewskiego i powiada, że do niej przyjechała panna, która  
już różnych przygód w świecie doznała, a opowiadaniem  
swojem wielką by sprawiła przyjemność, gdyby król na to  
pozwolił. — Król kazał ją przywołać, a ona tak zaczęła:  
Szłam przez las i zdybałam towarzyszkę z którą dalszą od-  
bywałam podróż. Ale zachciało mi się dokoniecznie wody.  
Postrzegłam pastucha, który nam pokazał studnię, gdy nie  
było czem nacerpać tej wody, moja towarzyszka, spuściła  
mnie za nogi do studni i do póty trzymała pókim nieprzysię-  
gła że jej służącą aż do śmierci zostanie. Świniarz jak to  
uściszył, porwał za nóż i chciał ją przebić, ale go wstrzy-  
mali. Wtedy wykrył wszystko królewicz, a świniarza korzy-  
stającego z cudzej pracy na szabienicy powieszono. Króle-  
wicz Simeon ożenił się z tą złotą panną, a po śmierci  
ojca przeniósł się do swego miasta rodzinnego i królem  
został.

## Skarb.

Było dwóch braci: jeden wielki bogacz a drugi bardzo  
biedny, niemający nawet kawałka chleba. Razu pewnego śni  
mu się, że pod gruszą wielki jest skarb zakopany. Mówi on  
te tonie i udaje się z nią pod gruszę, by dobrać się do te-  
go skarbu. W samej istocie wykopali duży kociołek pienię-  
dzy, który zaledwie oboje przynieśli do chaty. Zaraz posłali  
dziecko do brata, by im pożytył kwartę. Brat pyta chłopca,  
co wy mierzyć będziecie? Chłopiec mówi, że niewięd. Aby  
się dowiedzieć co oni będą mierzyć, przyklepił do dna kwarty  
cokolwiek smoły i oddał chłopcu.

Przemierzali oni 32 kwart dukatów i oddali kwartę  
bratu, który zaraz zaglądnął do kwarty, a tam na spodzie  
przyklepił się jeden dukat, myśli on, pewnie już gdzie jaki  
skarb wykopali, trzeba by im to odebrać. Idzie tedy do  
krawca i kate sobie zrobił mundur diabelski. Krawiec po-

wiada, że to grzech wielki, ale jak mu podsunął duży pieniądze, tak te cwancygiery przemogły skrupuła krawiecki. Zrobił on mu ten mundur diabelski, przebiera się chłop i idzie do domu swego brata o jedenastej godzinie w nocy, tłucze po drzwiach, szuruje i drapie po oknach i woła: A oddajcie mi ten skarb, ja cię nauczę, ruszać to, czegoś niepołożył. Na drugą noc znowu on przyszedł, tłukł i krzyczał: jeżeli mi ten skarb nie zanieziesz, to ci łeb urwę, obaczysz.

Na trzecią noc, żona z dziećmi poszła do sąsiada, a on kazał sobie pieczeni upiec i wina przynieść, najadł się i napił dobrze i czekał spokojnie śmierci. W nocy przychodzi brat jego przebrany niby za diabła, ale więcej on był podobny do strzelca i prosi, żeby go przenocować. Prayjął go na nocleg i dał mu kawałek pieczeni i wina. Aż tu o północy przylatuje taki prawdziwy diabeł, strzelec wsunął się w kącik koło komina, ten zaś co się śmierci spodziewał aż pod łóżko wlaź ze strachu. Ale diabeł nic mu nie robił, jeno kazał mu wyleźć z pod łóżka, żeby się niczego niebał, że on temu strzelcowi, co przyszedł go zabić, zaraz łeb ukroci. Przystąpił też do onego strzelca i pyta, co ty za jeden. A on mu powiada, że jest diabłem. Ja także diabeł powiada prawdziwy szatan, teraz tak nastalo, żeby się diabeł z diabłem bił i urwał mu głowę i poleciał z nim kominem. Gdy się to stało wylaź ten z pod łóżka i położył się wygodnie na pościel i zasnął. Rano przychodzi żona, by widzieć co się z mężem stało. Ale tylko okno było wybite, którem diabeł przyleciał, a mąż jej spał, jak za dobrych czasów, gdy się przebudził, opowiedział wszystko co widział, i został wielkim panem, gdyż go nikt więcej nienapastował.

## Skarby.

Ubogi wodonośz modlił się często i prosił, żeby mu pan Bóg jak dopomógł, żeby już tak ciężko nie pracował. Dopomógł mu pan Bóg, że kupił sobie konika i wózek, którym o tyle sobie dopomógł, że już nie był wodonośzem, ale

gdzie była królowna, hurkotał tedy magłem, królowna nie śmiała się, jeno głowę mu precz zhurkotali.

Dowiedział się o tem brat młodszy królewicz i powiada: wezmę ja wałek do rąk i niby z berłem będę szedł do królowny, a ona pewnie rozśmieję się. Jak myślał, tak też zrobił, a nabrawszy dużo pieniędzy i jedzenia w torbę idzie z wałkiem, niby z berłem jakim. Przychodzi tak samo jak brat do studzienki, nad którą siedział dziadek wynędzniały. Siadł sobie przy studzience i zajada smacznie różne przekąski. Dziadek też począł go prosić o kawałek chleba. A niepójdiesz ty kalicunie, jak cię kijem pociągnę to obaczysz, zawołał rozgniewany królewicz za to, że taki obdar-tus śmiał do niego mówić, a napiwszy się wody, udał się w dalszą drogę. Przyszędłszy do tego miasta, gdzie była królowna, ubrał się jak najśmieszniej i z wałkiem niby z berłem idzie do królowny. A królowna nierozśmiała się, jeno rozkazała temu dudkowi uciąć głowę.

Dowiedziawszy się o tem ojciec bardzo się smucił, do którego głupi syn powiada: pozwól że mi ojcze do tego miasta, gdzie jest królowna, która się nigdy nie śmieje. Idź na cztery wiatry błaznie! zawołał ojciec strapiiony i wyprawił go bez grosza złamanego z domu. Służąca zmiłowawszy się nad nim, dała mu kawał suchara na drogę. Idzie on tedy i przychodzi do owej studzienki, a zobaczywszy biédnego dziadka zawołał: Pomaga Bóg dziadku zgnępany, i siadł sobie koło studni. Dziadek zbliżył się do niego i prosi o kawałek chleba. Ja bym ci dał dziadku, ale mam tylko kawał suchara, jeżeli masz jeszcze zęby, to gryś razem ze mną. Gryzą tedy razem, a zjadłszy napili się wody. Poczem padł sen na głupiego i zasnął bardzo twardo. Przebudziwszy się patrzy, a tu karetka złota stoi przed nim i złota kaczką z kaczo-rem złotym ciągnie tę karetkę. Wstawaj powiada dziadek, jam pan Jezus, z którym suchar twój poczcziwie dzielęś, jedź w imię Boże, a będziesz miał królownę.

Siada głupi do karety, kaczor z kaczką ciągną i przy-jechali do miasta pewnego i stanęli na nocleg w eberzy. Dziwią się wszyscy, a dwie córki oberzysty poszły do wo-

zowni pokły ploszyć i porzucali z siebie koszulki, jednej przyszło na myśl upiłować sobie kawał złota z karety i porwała nóż i poczęła piłować złoto. Lecz piłując żadną miarą odstąpić nie mogła karety, druga siostra przelekła się i uciekła. Nazajutrz wstawszy głupi, siadł do karety, jedzie dalej, a biedna dziewczyna bez odzienia biegnie i piłuje złoto. Przejżdżają przez miasteczko, ludzie wychodzą i dziwią się bardzo. Wybiega piekarz i tak się zagapił na to widowisko, że wszystek chleb spalił się w piecu, co widząc, porwał ze złości zapaloną łopatę, a wybiegłszy z domu, począł łopatą walić dziewczynę po tylnej części ciała: A ty szelmo! ja przez ciebie chleb spaliłem, ale bijąc, niemoże się już oderwać od karety, biegnie dalej i wali niewstannie. Aż tu nad wodą pierze bieliznę kobiéta: która spostrzegłszy takie widowisko, wytrzyzczyła ślipie i niewiedziała, kiedy woda uniosła wszystką bieliznę. Po niewczasie spostrzegłszy szkodę, rozgniewana leci z prannikiem, nuż tedy okładać dziewczynę i piekarza prannikiem. A wy szelmy! ja przez was bieliznę straciłam. Ale bijąc już nie mogła się oderwać od karety. Jadą tedy dalej i przyjechali do tego miasta na noc, gdzie była królowna, która się nigdy nie śmiała.

Rano idzie głupi do pałacu i prosi, żeby mu wolno było rozśmieszyć królownę. Wszyscy bardzo ciekawi, co to za figiel będzie, weszli na balkon wraz z królowną. Aż tu jedzie złota kareta, ciągnie złoty kaczor z kaczką złotą, a przy karecie panna bez odzienia piłuje złoto, a piekarz wrzeszczy: a ty szelmo, ja przez ciebie chleb spaliłem, nuż tedy rozpaloną łopatą po tylnej części ciała pannę. A wy szelmy woła praczka, ja przez was bieliznę straciłam! Nuż tedy raz piekarza, drugi raz pannę po tylnej części ciała prannikiem. Cały balkon pęka od śmiechu widząc taką robotę, a królowna nie wiele myśląc za niemi w śmiech, ale już nie śmiała się, jeno ryczała od radości. Głupi wygrał, ożenił się z królowną, odziedziczył wielki majątek i tron po ojcu, a kareta złota wraz z kaczorem i kaczką zniknęła.

---

## Sny.

W Kalikowie był nauczyciel bardzo ubogi, który miał trzech synów i niewiedział, co z nimi począć, gdyż dochody nauczycielskie były bardzo szczupłe, a wydatki z każdym dniem powiększały się. Postanowił tedy udać się do miasta, gdzieby miał większy zarobek i łatwiejsze dla dzieci utrzymanie. Oznajmując takie przedsięwzięcie swoje synom, rzekł do nich: Porzucimy wieś i przeniesiemy się do miasta, dziś ostatnią noc tu przepędziem, a co się komu przyśni, niech się tego chwyci w mieście i znajdzie swoje utrzymanie.

Nazajutrz pytał ojciec synów, co się któremu śniło. Najstarszy powiada, że mu się śniło stolarstwo. Dobrze więc odpowiedział ojciec, będziesz stolarzem. Średni powiada, że widział miech, kuźnię i kowadło. Więc będziesz kowalem powiada ojciec. Najmłodszemu zaś śniło się, że on będzie nogi mył, a ojciec jego będzie brud pił; ale kochając bardzo ojca, niechciał tego w żaden sposób wyjawić. Rozgniewał się bardzo ojciec i dał mu jeszcze jeden dzień do namysłu. Ale w nocy znowu mieli synowie te same sny, najmłodszy znowu dowiedział się, że on będzie nogi mył, a ojciec jego będzie brud pił, ale niechciał tego ojcu wyjawić. Ojciec tedy wypędził go z domu i zabrał się z dwoma synami do miasta.

Biędny synaczek pozbawiony opieki ojca, szedł dokąd go oczy własne niosły. Bardzo znużony po odbytych kilkunastu milach przybył do wielkiego lasu, gdzie nadybawszy lisią dziurę, spoczął w niej i mocno zasnął. W tym lesie polował wtedy sam cesarz i postrzelił lisa, który ugodzony strzałą pomknął do tej samej jamy, w której biędny chłopczyzna spał i położył mu się na szyi. Gończe psy dotarły aż do tej jamy za lisem i zaczęły bardzo szczekać. Na ten odgłos ogarów zdążył i minister cesarski, wziął lisa zabitego i z niemałym podziwieniem postrzegł przebudzone pachole cudnej urody. A czyżże ty synu! zapytał go łagodnie. Jestem Tatka

mego synem powiada chlopczyna, nazywam się Jasio, Tatko mnie wypędził z domu, zemną niechciał snu wyjawić.

Zlitował się nad nim minister i przedstawił go cesarzowi, któremu się bardzo podobało biedne dziecko i nakazał, żeby zajął się nim minister starannie, za co będzie miał kosztą powrócone. Rósł tedy Jasio pod dobrem okiem w lata i zdolności tak dalece, że pozyskał wielką miłość swego opiekuna. Razu pewnego dawał cesarz wielki bal, na który minister był także zaproszonym, ale nie miał kogo, żeby go ufrizował. Jaś podjął się tej przysługi i tak go ufrizował pięknie, że był podziwem wszystkich gości na balu zebranych. Sam cesarz niemógł się dosyć nacieszyć, a gdy się dowiedział, że to Jasio taki sprytny, zwrócił wszystkie koszta utrzymania ministrowi i wziął go do siebie.

Jaś w naukach znacznie postępywał i w rycerskim zawodzie szczególnie swej zdolności dawał dowody. Césarz bardzo go polubił i zrobił go swoim ministrem. Ale prócz cesarza polubiła go też serdecznie córka jedynaczka samego cesarza. Wiedział o tem cesarz i nie ganił tego swojej córuni. Lecz dawniej podobne związki zależały od zbadania losu; przeto cesarz dał wielki bal, na który ministrowie wszyscy i znakomitsi rycerze byli zaproszeni. A gdy się już goście zebrali, cesarz ogłosił, że kogo córka jego obierze sobie, ten będzie jej mężem i następcą tronu. Wybór już był gotowy, ale zawisł jeszcze od wyższego przeznaczenia, gdyż zawiązano córce oczy i złożono helmy i szyszaki wszystkich rycerzy razem, a którego helm i szyszak wzięłaby do rąk córka, ten miał być jej mężem. Serce i przecucie pociągnęło jej ręce do helma i szyszaka Jasia, którego pośród okrzyku biesiadującej drużyny uroczystym głosem witano i przed cesarza stawiono. Césarz był z tego niezmiernie kontent i połączył czułą parę węzłem małżeństwa.

W kilka lat po weselu, umarł cesarz, a Jaś objął rządy całego Państwa. Zdarzyło się też, że gdy objeżdżał swoje kraje, stanął w pewnym miasteczku na gospodę w domu swego ojca, który się już był mocno postarzał i nie poznał Jasia syna swego. Césarz poznał od razu ojca, ale że to

było już późno, więc niechciał go tém przerażać, jeno kazał sobie dać wodę, w której nogi obmywszy, spać się położył. Lecz w nocy obudził się starszerek i chciał się napić wody, a że nie było żadnej innej pod ręką, poszedł cichuteńko do świetlicy cesarza i chciał się tej wody napić, w której on moczył nogi. W sam raz ocknął się césarz, gdy już ojciec wodę do ust przykładał, zawołał na służbę, żeby ojcu innej dali wody, a sam zastanowił się nad tém fatalnem przeznaczeniem, które wysniło mu się w jego dzieciństwie: że on będzie nogi mył, a jego ojciec będzie brud pił. — Nazajutrz zbliżył się do swego ojca i przypomniał mu, jak został przez niego z domu wypędzonym. Ojciec bardzo się przełkał, ale on pocieszył ojca i wziął go do swego pałacu, gdzie w dostatkach życie zakończył.

## Spekulacya.

Podróżujący Jegomość zajechał do karczmy na nocleg, o której wiedział, że znajdują się w niej złodzieje, dla tego też nakazał furmanowi, aby na konie uważał i spał koło drzwi. Gdy tak zabezpieczył się, położył się na łóżko i zasnął. W nocy przebudził się i woła na furmana: Antoni spisz?

Nie Panie ja nie spię.

A coż ty robisz?

Ja spekuluję.

Nad czem że ty spekulujesz?

Ja nie mogę pojąć, jak drzewo palą, to się dym nad ogniskiem wznosi, a z tyłu kominów codziennie się kurzy i niewiedzieć, gdzie się ten dym podziéwa?

Otóż ja ci wytłómaczę, dym jest parą, gęstnieje w powietrzu i tworzy chmury, z których kroplami dészcz spada.

Jakże to pan rozumnie wytłómaczył, teraz mi jasno w głowie.

Pan uradowany czujnością furmana znowu zasnął, ale po chwili zerwał się i zawołał: Antoni ty spisz?

Nie panie, ja spekuluję.

A nad czemże ty spekulujesz?

Ja nie wiem tego, gdy kół do ziemi wbija się, przecież robi się dziura, a gdzież się ziemia podziała?

Widzisz ty tego nierozumisz, za pomocą hydrauliki tak się to tłómaczy, ziemia ustępuje ciężarowi i w miarę onego ścieśnienia się i tyle miejsca pozostawia, aby tłoczony ciężar miał swoje umieszczenie. Potem znowu pan zasnął, ale nadedniem zrywa się i wola: Antoni ty spisz?

Nie panie, ja spekuluję.

A nad czemże ty spekulujesz?

Czym my teraz pojedziemy, bo już koni niema.

A niech cię licho weźmie z twoją spekulacją, zawołał pan rozgniewany.

Teraz pan radź, nie sztuka było pierwej radzić i z hydrauliką wyjeżdżać, ale teraz pan wyjaśnij moje zapytanie.

## Świeca.

Krzyżacy wzięwszy Malbork, wystawili w zamku świecę żelazną niby zapaloną z tym napisem: W ten czas odbiorą Polacy Malbork jak ta świeca dogore.

## Szczęście.

Bogacz wysła ubogiego na tamten świat, żeby podziękował jego szczęściu za to dobro, którego obficie sobie używał. Idzie tedy ubogi na tamten świat i stawa u bramy wielkiej. Brama się otwiera i patrzy, że jakiś bardzo chudy człowieczek już ledwie łązi, a jednak ciężko bardzo pracuje. Człowiecze czego ty się tak biędzisz na tym świecie, pyta ubogi przybysz. Mój pielgrzymie odpowiada mizerak, oto ja jestem szczęście tego bogacza, który cię do mnie wysłał, ja mu dziękuję za to, że on przecie uznał moje usługi, ale powiedz mu, czy on zechce, czy nie zechce, to ja zawsze pracować będę dla niego, bo takie jest moje przeznaczenie.



Ubogi ciekawy wypytuje się także o swoje szczęście jak ono wygląda. Mizerak wskazał mu ręką, widzisz tam tego tulumbasa, to twoje szczęście. Idzie tedy ubogi do swego szczęścia, które spalone siedzi i fuka sobie i fajkę na dużym eybuchu pali. Ej zmiłuj się, patrz jak ja bięduję na świecie, a ty sobie rozkoszujesz powiada ubogi. Milcz chacie! wrzasnął tulumbas, ja na ciebie pracować nie będę niedosyć że musiałem się fatygować sam po ogień do fajki właśnie w tym momencie, kiedy bogacz cię najął byś szedł złożyć dzięki szczęściu jego. Precz mi z oczu!

## Szewc.

W pewnej wiosce na Ukrainie mieszkał Antoni szewc bardzo ubogi. A ponieważ biedny człowiek musi też być chcąc niechcąc bardzo głupim; więc przezywano go: Hanczar, a czasem Polatajko. Miał on żonę Katarzynę bardzo uległą i pobożną, która nikomu wody niezmaciła. Chata jego nie wielka przypierała do małego ogródka, a na całe gospodarstwo miał tylko jedną kozę, którą często na sznurku sam w pole prowadził. Trafiało się też, że owa koza pusta wracając z pola często z rąk mu się wrywała, by zaglądnąć do cudzego ogrodu, ztąd bywały krotofilne nieraz nalegania do zachowania porządku psotnicy, ztąd też powstała satyryczna pieśń na biednego posiadacza kozy, którą swywolna dziatwa, ile razy się tylko pojawił, wrzasliwie za nim wygłaszała.

Hanczar kozu wede,  
A wona jemu wipynaje,  
A win jeji witynaje,  
Dlaczego ne ide.

Ubogi szewc znosił cierpliwie to upokorzenie, sądząc że tą uległością usmierzy swywolę dziatwy wiejskiej. Ale to lekceważenie od dziatwy przeszło do starszych tak dalece, że go nawet i za boże stworzenie niepoczytywano. W podobnych zdarzeniach nigdy gniewu nieokazał, udawał nawet że go to mało obchodzi. Ale powracając do swej chaty, ska-

rzył się przed żoną, a Kasunia nieboga gorzkiemi zalewała się łzami. Razem tedy płakali dzieląc się czarnym chlebem i Bogu się kłaniali, ażeby ich łaskawie pocieszyć raczył. Tak schodził dzień po dniu w biędzie, smatku i utrapieniu, a przecie nikt nie słyszał, żeby kiedy narzekali na los srogi, którym ich Bóg opatrzyć raczył. Na dobitkę nieszczęścia urodziło się im dziecko, a w chacie nie było grosza złamanego, żeby choć ubożuchne sprawić chrzciny. Udał się szewc strapiiony do Hospodyna, by raczył dla miłości Boga ochrzcić syna jego. Hospodyn wyznaczył mu na to czas wieczorny i nakazał, żeby bez kumów nie przychodził.

Biegał tedy biedny ojciec od chaty, do chaty wzywając kogo w kumy. Ale wszędzie pogardliwie zbywano go: Ja do Polatajka ne pidu w kumy, a dewy Hanczar, maje kozu, nechaj kozu bere w kumy. W tém niepowodzeniu udał się na drogę za wieś sądząc, że mu się uda jakiego przybysza obcego zwabić do siebie na chrzciny. Lecz zamiast człowieka obaczył w oddaleniu najwyraźniejszą śmierć, tak jak ją malują: długą, jasnokościstą, bez ocz, bez języka, bez serca i z kosą w rękach. Nie ulękł się jej, nieuciękał przed nią, jeno pomyślał sobie: Chwała panu Bogu, że się już raz nędza moja skończy. Ale gdy sobie wspomniał, że Kasunia sierota sama w chacie z dzieckiem, że nie będzie nawet komu łyżkę wody niebodze podać, tak mu się przykro zrobiło, że strumieniem puściły mu się łzy z oczów i rzewliwie płakać począł.

W tém zbliżyła się śmierć do niego i zapytała: Czego ty płaczesz człowiecze, możebym ci w czém dopomogła?

Weź mię z sobą, prócz tego żadnej innej pomocy od ciebie żądać nie mogę.

Nie bój się ty jeszcze długo żyć będziesz, ale powiedz mi czego płaczesz człowiecze?

Jestem ubogi szewc Antoni, dziecko mi się urodziło, chodzę od rana do południa wzywając kogo w kumy. Całą wieś obszedłem i nie znalazłem żywej duszy, któraby mnie tę chrześcijańską przysługę wyświadczyć raczyła. Jakże tedy nie mam ubolewać nad mojem nieszczęśliwym położeniem?

Uspokój się, jeżeli ludzie tobą gardzą, to ja muszę przyjść do ciebie na chrzciny, czy przyjmiesz mię w kumy?

Całem sercem rad tobie będę. Ale zmiłuj się, sama przyznaj, któryż xiądz zechce mi dziecko ochrzcić, widząc śmierć przed sobą?

Tém się wcale nie turbuj, już to jakoś w tém poradę, powiedz mi tylko, kiedy ma się ten chrzest odbyć?

Dzisiaj jeszcze, skoro słońce zajdzie.

Dobrze więc, przylagodź wszystko i czekaj na mnie.

Z dobrą fantazyą powrócił szewc do domu i pocieszał swą Kasunię ciągle powtarzając: Dał Bóg dziecko, musi dać i na dziecko, muszą być i chrzciny. Nie wspominał atoli przed nią, kogo zaprosił w kumy.

Zaledwie zmierzchać poczęło, aż tu do wsi sady chwatski kozak na koniu wronym i wali z bata, a za nim cztery przecudne taranty ciągną karetę ozdobną, na której sztangret i lokaje siedzieli, a liberja na nich od złota i srebra świeciła się. Stanęli przed gospodą dla wzniesienia większej uwagi. Hej jest tam kto? zawołał kozak. Wszystko, co tylko żyło, wybiegło z gospody z niskimi bardzo pokłonami. Powiedźcie nam gdzie micszka szewc Antoni, dziś u niego chrzciny, wieziem do niego Xięcia Pana w kumy. Natychmiast wskazano miejsce przybyłym, a karetą potoczyła się pędem błyskawicy i stanęli przed chatą szewca Antoniego. — Wyskoczył z karety Xiąże Pan, a stanawszy a progu chaty zawołał: Jak się masz Antosiu, stawię się na twoje rozkazy, zabieraj dziecię i jedźmy do cerkwi.

Tymczasem we wsi, jak gdyby piorun uderzył, wszystko w poruszeniu, wszyscy lecą jak na złamanie karku do cerkwi. Już Hospodyn dowiedział się o tém zdarzeniu, smaruje tedy słoniną buty, myje się, czesze się, guzdra się i we wszystkie dawony uderzyć każe. Dzwonią tedy na chrzest Hanczara synowi, którego już wieźli w poczwornej karęcie, a kozak na przodzie jak z armaty wali z bicia. Stanęli wreszcie, a Hospodyn w najlepszym aparacie i z wodą święconą czeka na gościa u drzwi cerkiewnych. Wziął więc Xiąże Pan dziecię na ręce i bardzo słodko zapytał:

czy nie będzie która z kobiet łaskawą stanąć z nim do pa-ry. Na te słowa zerwała się jak oparzona pani Podstarości-  
na z potężnym mandrygugiem na głowie i zamaszycie po-  
sunęła, by stanąć obok Xięcia Pana. Za nią stanął Podsta-  
rości z Wójtową, a za nimi Wójt z Gumieną.

• Szewc zdaleka przypatrując się tej komedyi, w duchu  
pomyślał: Mój Boże z rana nikt niechciał patrzeć na mnie,  
a teraz pełna cerkiew ludzi, a trzy par stanęło do chrztu  
synowi memu, taki to świat.

Skończył się poważny obrzęd chrztu świętego, a Re-  
jenty z poddiakami zaspiewał: Mnohaja lita. Jak zaczęli na-  
reszcie wszyscy wybijać: lita, lita, to aż serce skakało z ra-  
dości przytomnego ludu. Lecz czemu z rana nikomu serce  
nieskałało na widok ubogiego Polatajka? bo taki jest świat,  
zawsze obłudny.

Hospodyn rozłożył księgę cerkiewną i wpisał nowo  
ochrzczonego i wezwał świadków do stwierdzenia tego uro-  
czystego aktu. Xiąże Pan własnoręcznie zapisał: Saturnin  
Xiąże Grobowski, a gdy rzucił na tacę dwa Portugaly, tak  
Hospodyn zapomniał języka w gębie, gdyż od kiedy Ukra-  
jiną cała istniała, nikt jeszcze za chrzest dwadzieścia dukat-  
tów w złocie niezapłacił. Po skończonym zapisie, szewc za-  
prosił Hospodyna i wszystkich kumów na-uzę do siebie.  
Sam zaś z dzieckiem i Xięciem Panem siadł do karety.  
Nieprawdaż że wszystko dobrze poszło? cieszyła się śmierć  
kłapiąc kośćmi, dziękuję ci szczerze, żeś mną niepogardził,  
odtąd skończy się twoja bięda; będziesz lekarzem.

• Ale zmiłuj się, ja na ziołach nierozumiem się, ja ledwie  
butów załatać mogę.

To bagatela, jak tylko przyjdiesz do chorego i zoba-  
czysz mię, że będę stała w nogach, natenczas daj się co-  
władz, każda chepta pomoże. Ale skoro postawiesz, że stoję  
pod głową chorego, wtedy daj pokój, bo chory umie-  
rać musi.

Tak rozmawiając zbliżyli się do chaty, gdzie stół był  
suto bardzo zastawiony. Za nimi przysli: Hospodyn z do-  
brodzijką swoją, podstarości z podstarością i dwie podstaro-

ścianki, pisarz prowentowy, wójt z wójtową i gumiełny z gumiełną. Niema co mówić była to sama starszyzna wiejska, mogłoby to co znaczyć, gdyby się to niedziało z komplementu dla Xięcia Pana. Zaraz uchwyciły podstarościanki dziecko, natę tedy cackaó i całować, a to wszystko czyniły, ażeby Xiążę Pan wiedział, jakie one słodziutkie i pieszczotliwe. Siedli wreszcie wszyscy do stołu. Xiążę Pan na pierwszym miejscu, po prawej stronie niewiasty, a po lewej mężczyzni. Jakoś pannom podstarościankom pomimo obecności młodego pisarza prowentowego, Xiążę Pan bardzo przypadł do smaku, bo ciągle się do niego przymilały, a uśmiechając się, usta swe koralowe tak misternie układały; żeby ząbki białe widzieć się dawały. Mizdrzyły się, kręciły się, wiorciły się, oczkami i sercem strzeliste afekty wysyłały ku Xięciu Panu. Ale cóż to było dziwnego, że młode pannieki wdzięczyły się, kiedy nawet w gumiełną diabeł strzelił, by przypodobać się Xięciu Panu. Już to z natury była gumiełna świdrowata i oczy miała wypukłe, a duże, jak dwie cebule. Nuż tedy cebulkami błypać, głową kręcić<sup>11</sup> i nosem forkać, jak koń znarowiony. A gdy wykrzywiła wargi i nosem jak pytlem machać poczęła, gumiełny trącił ją nogą, żeby już raz cicho siedziała. Najsłomniejsz zachowały się: Wójtowa z Dobrodziejką, a Hospodyn sam musiał być wielkim dyplomata, gdyż na wszystko potakiwał i kłaniał się ciągle Xięciu Panu, którego przytomność bez przesady mówiąc, zainteresowała bardzo całe towarzystwo. Tłumy ciekawych na dwerze nawet obległy chatę, by przez szczeliny dojrzed, co się wewnątrz działo, a ciekawsi nosy powściłiali przez szyby stłuczane, by przynajmniej powąchać tych specjalów, któremi stół był zastawiony. A była tam gęś pieczona ze śliwkami, prosie wątróbką i rodzynkami nadziewane, kielbasy, kiszki, pierniki i maroypy. Lalo się też wino, sałha Malmazja. O północy powstał Xiążę Pan, potęgnął wszystkich i udał się spiesznie do Xięstwa swego. Skoro odjechał, wszyscy obścąpili szewca: Majstraniu kumieł, powiedz nam skąd ten Xiążę, a jaki miły, jaki uprzejmy, ach co za słodysz westchnęły podstarościanki. Szwefłowi dę-

sano się zrobiło, patrząc na te obłudne twarze: powiem wam ale pod największym sekretem. To był sam Lucyfer z piekła, napoił was smolą, boście mię znać niechcieli. Chodim! zawołał Hospodyn, nieczekając dalszych powodów, gdyż całe zdarzenie było prawdopodobne. Za Hospodynym tłoczyła się cała kompania do drzwi. Co do jednego wynieśli się, aż się kurzyło za nimi.

Przez cały ten czas przypatrywała się pilnie szewcowa za piecem leżąca, niemogło się jej w głowie pomieścić, co by to znaczyło i zkąd się to wszystko bierze. Zdawało się niepodze, że spi, dlatego tak cichutko zachowała się, aby nieprzerwać tego snu przyjemnego, bo i sen bardzo często uszczęśliwia. Dopiero gdy wrzawa ustala i Antoś do niej poskoczył, ochłonęła z wielkiego podziwu. Wszystko jej opowiedział, co się stało, nadmienił, że się ich bięda skończyła, że nie będzie Kasunia dratwy przędła, że będzie wielką panią w atlasowej szubie i wiele innych miłych rzeczy, które to marzenia oboje do snu ukołysały. — Z rana wstawszy, szewc upadł na kolana dla złożenia hołdu Śtwórce za łaskę jego przenaświętszą. Jedzenia pozostało jeszcze tyle, że dosyć mieli przez kilka dni do pożywienia swego. Ale po tych kilku dniach, zabrakło kawałka chleba i nie było żadnej roboty. W takim krytycznym położeniu, udał się do arendarza szewc strapiiony sądząc, że go żyd w nieszczęściu wspomże. Lecz widocznie na prawdę uwierzono, że chrześcijańska przygoda była sprawą szatańską, gdyż idącemu starzy ludzie ustępywali z drogi, a dziatwa spłoszona do chat uciekała. Sam arendarz lubo zawsze rad każdemu gościowi, na pana Antoniego ukośnie spoglądał, i niechciał mu nawet złotego pożyczyć. Dowiedział się atoli od niego, że pani Wojewodzina niebezpiecznie była słabą i że wielką bardzo nagrodę obiecano temu, ktoby ją wykurował. Postanowił tedy korzystać z tej wiadomości i udać się pieszo do Harysymbowa, gdzie mieszkał Wojewoda. Wprzód jednak wrócił do swej chaty oznajmić Kasuni, że idzie szukać szczęścia w dalsze strony, zkąd albo wróci bogactwem, albo większym

jeszcze nędzarzem. Niech cię Bóg prowadzi mój Antosiu, odezwała się żona i powracaj prędko do twojej Kasuni.

Szewe dobre miał nogi, miła za miłą prędko pomykała, sam się zdziwił, że cztery mil ubiegłszy, dosyć wczesnie stanął w Harasymowie. Lecz tam wszystko było jak powarzone. Froncymery szlochaly, hajducy płakali, sam Wojewoda był w największej rozpacz. Czekał tedy chwilę Antoni na dworze, może się sam Wojewoda pojawi, gdyż nikt niecheiał go wprowadzić do jego pokojów. Jak na szczęście sam wyszedł, a jakoto był bardzo ludzki człowiek, wnet postrzegł obcego przybysza i zapytał: Zkąd waszmość i czego żądasz?

Schylił się do nóg przybysz tłómacząc się pokornie dlaczego przybył: Jestem z Kalinówki szewe Antoni, znam się cokolwiek na ziołach, a ponieważ słyszałem, że pani Wojewodzina bardzo jest słabą; więc przybyłem możebym jej pomógł.

Trudna to już rada mój kochany, Wojowodzina jest konająca.

Wola to boża, on chce żebyśmy żyli, każe też umierać, ale od śmierci uwolnić może, bo jest wskrzesicielem umarłych. Panie Wojewodo nieuważaj na moje liche ubranie, jestem pewny swego, byłem tylko obaczył chorą, powiem i niezawiedę się, że umrze, lub żyć będzie.

Ty widzę z Bogiem żyjesz i mówisz, chodź za mną. I zaprowadził go do komnaty swojej żony i wskazał mu łóżko, sam zaś odwrócił się od niej i oczy jego zapelnily się łzami. Wojewodzina miała oczy zamknięte, kiedy niekiedy wydawała ciężkie westchnienie z piersi, a xiądz kapelan czytał modlitwy konających nad nią. Szewe skoro tylko wszedł do komnaty, ledwie niepodakoczył z radości, bo kuma jego stała przy nogach cierpiącej Wojewodziny. Panie Wojewodo nie płacz, twoja żona nie umrze, a jeżeli za trzy dni chodzić nie będzie, możesz mi kazać głowę uciąć.

Co ty mówisz człowiecze boży zawołał Wojewoda biorąc w swe objęcie szewca biednego, złotem cię zasypię, jeżeli mi uzdrowisz Krzysię kochaną.

Pozwólże mi panie Wojewodo wejść do twego ogrodu dla zbierania ziół potrzebnych.

Ale proszę cię idź, wyrwij, wycinaj wszystkie kwiaty i drzewa byleś uratował serce moje.

Skoro się szewc oddalił, x. Kapelan zaczął namawiać Wojewodę, żeby szarlatanowi niepowierzał życia żony swojej.

Ojcie Alanie o cóż tu chodzi, wszak niemamy nic do stracenia, wszakże ja sam do śmierci sposobisz, pozwólże jeszcze tej ostatniej pomocy dla niej.

Tymczasem szewc nabierał różnego zielska, kazał dać miodu przasnego i to wszystko razem zagotowawszy przeceździł i przyniósł szklaneczkę tego likworu do komnaty, gdzie małą łyżeczką po kilka kropel wpuszczał do ust nieprzytomnej Wojewodziny. Smaczno polykała ziółka, nalał drugą szklaneczkę, wypila, nalał trzecią i tę wypila. Poczem jak groch wystąpił pot na czoło chorej.

Już, już zawołał x. Kapelan, szarlatan dohil ją, dawajcie prędko gromnicę.

Ale co robisz xiężę Dobrodzieju; ja niepozwolę straszyc Wojewodzinę i wyrwał z rąk gromnicę szewc nieco rozgniewany, a poty jak gdyby ze źródła strumieniem się puściły. Całą noc spała spokojnie cierpiąca. Nad ranem odmieniono bieliznę i w całym dworze niezwykła panowała radość z powodu przesilenia się tak ciężkiej choroby, a Wojewoda dowiedziawszy się o tem, pędem pobiegł do komnaty Wojewodziny wołając: Wasze serdenko moje żyjesz jeszcze?

Żyję z łaski Najwyższego i wcale mam się dobrze, ale powiedz mi panie mętu, cóżem zawiniła ojcu Kapelanowi, że mię gwałtem chciał na tamten świat wyprawić?

Nie miej mu za złe, Krzysiu. Doktor Dubas nagadał mu, że Wasze serdenko moje umrzeć musi, więc tak troskliwy był o zbawienie twej duszy, zresztą sama wiesz, że to z kośćciami poczciwe muiszysko.

A coż to znownu za figura ten obdartus ewangieliczny, eo gromnicę ojcu Alanowi z rąk wydzierał?

To szewc Antoni lekarz twój, który cię od śmierci wybawił, muszę go ozłocić za tę przysługę.



Dzwonek kapliczny przerwał dalszą rozmowę. Wszyscy dworzanie byli w kaplicy, pan Wojewoda przez całą mszę krzyżem leżał, a ojciec Alan po mszy treściwą miał przemowę do tej okoliczności od tych słów poczynając: Bóg częstokroć obiera małych, aby zawstydził wielkich. Po mszy tych samych ziółek pierwszą, drugą i trzecią szklaneckę napiwszy się Wojewodzina w potach spała i nazajutrz wstała zupełnie zdrową; jak gdyby nigdy nie chorowała. Wojewoda w nadmiarze swego szczęścia oddając złożony pergamin zwiszając pieczęcią szewcowi rzekł: Ten dokument stanie Waści za złoto, Kalinówka twoją jest, niech ci Bóg błogosławi: Szewc upadł do nóg Państwu, a powstawszy zawołał: Wiedziałem, że Polak potrafi być wdzięcznym i wspólnomysłnym, ale tego wcale się niespodziewałem, teraz widzę, że Polak tylko kocha swoją żonę.

Wyszedł szewc i skoczył na rumaka darowanego sobie, na którym też wisiały sakwy dobrze zaopatrzone. Pędził co tchu do Kalinówki, radby był skrzydła do nóg koniowi przywiązać, byle prędzej nakarmić i pocieszyć zgłodniałą Kasunię. Stanął wreszcie i przywiązał konia do płota, a sakwy zdjawszy wpadł do chaty wołając: Kasuniu powracam bogaczem do ciebie, i wy dobył z zanadru pergamin: patrz co to jest?

Kawalek skóry, będzie czém trzewiki i buty latać, odpowiedziała Kasunia. Na co z indignacją odezwał się: Ty tego nierozumisz, to jest zapis, — Kalinówka jest naszą. Będziem figle ludziom płać, nie trzewiki stare latać: I rękami czém raz zwawiej począł machać.

Kasunia ręce załamała sądząc, że jej Antos z biedy oszalał.

Ty niewierzysz, więc słuchaj, co tu napisano: Na wieczną pamiątkę. Wszem w obec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, oznajmuję tem pisaniem, iż zawdzięczając wierne usługi Antoniego szewca około poratowania zdrowia mojej pani małżonki, postanowiłem mu nadać, jakoś nadaję i daruję wieś dziedziczną Kalinówka zwaną, temuż Antoniemu i jego sukcesoróm, teraz i na wieczne czasy ze

wszystkimi robooiznami, daninami, polami, łąkami, rolami, lasami, gajami, borami i wszystkimi przynależnościami. Co dla lepszej powagi przy wyciśnięciu herbu rodowego własnoręcznie stwierdzam. Dan w Harasymowie w dzień świętego Kryszpina Roku od Narodzenia Pańskiego 777. Lassotā Kiszka wojewoda połocki.

Uwierzyła Kasunia, ale skromnie odpowiedziała: Nieciesz się, że masz, niesnuć się, że nie masz, a nawet gdy wyborne jadło z sakwy dobywała, jeszcze go przestrzegala, żeby na widok majątku nieuniósł się dumą, gdyż to byłoby obrazą pana Boga, a dla niej nieszczęściem. Sprowadził się tedy do dworu, a na miejscu, gdzie stała jego chata, wystawił piękną kaplicę Przemienienia Pańskiego. Rosta też sława jego lekarska tak dalece, że na dwieście i trzysta mil wzywano go do pomoey chorym. Srebro i złoto lało się potokiem do jego domu. Wystawił wspaniały pałac i dzieci więcej przybyło. Lat kilkanaście używał rozkoszy pełną garścią swobodnie i bez trosków. Razu jednego przyszła do niego śmierć w odwiedziny i zawołała: Jak się masz kumciu Antosiu?

Z łaski Najwyższego bardzo mi się dobrze powodzi, gdyby to Kumcia łaskawa była przydłużyć mi jeszcze tego życia?

Kumciu serduńciu to nieodemnie zależy. Każdy człowiek ma swoje światło, skoro zgaśnie światło, kończy się i życie jego.

Kumciu serce pokaże mi to światło życia ludzkiego?

Chodź jeżeliś tak ciekawy i uchwyciła go w swe kościste ręce i długo bardzo leciała przez morza, przez góry i lasy, nareszcie stanęła przed wysoką górą, którą trąciwszy kosą, otworzyło się jej wewnątrz oświetlone nieprzeliczonemi świecami. Oto masz życie ludzkie. Każdy człowiek ma swoją świecę, póki się pali, póty też żyje, skoro zaś świeca zgaśnie, to i człowiek umierać musi. Ot tam w kącie jest twoja świeca, jeszcze jest spory kawałek, wystarczy na lat dziesięć.

Kumciu serduńciu, to mało lat dziesięć, czy niemożnaby świecę nadsztukować?

Można, ale to rzecz niebezpieczna, gdyż światło bardzo jest delikatne, może bardzo łatwo zgasnąć, kontentuj się tém, jakie jest.

Ale kumciu serduńciu pozwól mi tę świecę nadsztukować. I wziął szewc obciwy na boku jedną z leżących świec, nuż tedy przytulać, spajać, chuchać, ale niestety jak chuchnął, tak i zgasił.

Teraz już po tobie kumciu Antosiu i odniosła go śmierć do palacu, gdzie się rozchorował, a kuma stanęła nad jego głową. Ale biedny szewc wziął się do przebiegłości, a używszy śruby Archimedesowej, obracał łóżko na wszystkie strony, aby tam gdzie była głowa, były nogi sądząc, że tym sposobem omamiona śmierć pozycją swą zmieni. Ale kuma znała się na figlach mądrości, ile razy obrócił szewc łóżko, tyle razy spieszyła ona, by stanąć nad głową jego. Zmęczony tym manewrem niepożytecznym, wyrzekł pamiętne słowa: Kruty, werty, treba umerty, a pojednawszy się z Bogiem przeniósł się do wieczności.

Długo jeszcze żyła po nim jego Kasunia zajęta wykonaniem cnót chrześcijańskich. Darowała pańszczyznę poddanym, zgłodniałych karmiła, nagich przyodziewała, dom jej był przytulkiem nieszczęśliwych wdów i sierót; a gdy umarła, gromada cała usypała jej dużą mogiłę, którą nazwano: Hanczarychy mohyla.

## Teatr.

Pani Kolbnszewska idąc na teatr, wzięła też z sobą dla okazałości lokaja, któremu zapłaciła wstęp na galerję. Znalazł się on tam między wielu swemi kolegami, a ponieważ po raz pierwszy zdarzyło mu się być w teatrze; przeto bardzo dziwaczne swoim kolegom dawał pytania. W końcu teatru, zaczęto wywoływać aktorów po imieniu. A to co? pyta nowicjusz swoich kolegów. To każdy lokaj wywołuje teraz swego pana, lub panią, powiedzieli mu żartując kole-

day. On tedy z całego gardła pociął wołać z mazowiecka :  
Pani Kolbusewska! Pani Kolbusewska! ja tutaj!

## Testament.

Jeden bliski śmierci, gdy mu kazano robić testament, odpowiedział: wszak macie dwa testamenty, jeden stary, a drugi nowy, nacoż wam trzeciego?

## Trójca.

Xiądz ucząc chłopca co jest Trójca święta, dawał mu podobieństwo takie: Masz syna i żonę, to ty ojciec, syn synem, a żona twoja niech będzie zamiast Ducha świętego, wszak choć was troje, a jedno wieiecie gospodarstwo. Na to chłop odpowiedział: Jużci miły ojcze, ja i syn na jedno się zgodzimy, ale w tego złego ducha nie wierzę, bo co ja i syn zarobimy, to nam ten zły duch wszystko przepije.

## Trzewik.

Król miał córkę na wydaniu, której przyszło do głowy, żeby szczura złapać, skórę zdjąć i dać z tego trzewik zrobić, w celu stawiania siebie na los szczęścia. Jak myślała, tak też zrobiła. Jej powiernica złapawszy szczura, kazała z niego skórę zdjąć i trzewik zrobić. Szewc usłużny wykonał ten rozkaz dziwaczny, a gdy przyniósł, zapłaciła mu dobrze królowna i prosiła, żeby nikomu niepowiadał czczego ten trzewik. Toż samo powiedziała i powiernicy swojej.

Mnóstwo przyjeżdżało królewiczów, książąt i hrabiów, lecz żaden z nich niemogąc zgadnąć z czego ten trzewik był zrobiony, niemógł też pozyskać jej rękę. Już się też królownie sprzykrzyła ta zagadka i wyrzekła, że ktokolwiek zgadnie czy pan, czy ubogi, czy młody, czy stary, to pójdzie za niego, a to powiedziawszy, wyjechała do krewnych. Tymczasem przybył ładny królewicz w celu pozyskania jej

ręki, lecz jej nie zastał w pałacu. Powiernica bardzo go polubiła i często powtarzała, szkoda, że on nieubogi, byłby moim. Wszelako zbliżyła się do niego i pod wielkim sekretem wyjawiała mu z czego ten trzewik był zrobiony. On dał jej dużo pieniędzy i prosił, żeby nikomu o tem nie mówiła, sam zaś odjechał precz.

Gdy królowna do pałacu wróciła, przychodzi on za dziada przebrany i powiada, że on zgadnie z czego ten trzewik zrobiony. Królowna mówi, jeżeli do trzeciego razu nie zgadniesz, to ci każę głowę uciąć. On powiada, że z kota. Nieprawda. Drugi raz, że z psa. — Nieprawda. Aż nareszcie powiada; wszakże to ze szczura ten trzewik. Królowna aż podskoczyła z radości, że przecie znalazł się taki, który doszedł tajemnicy. Ale z drugiej strony zasmuciła się, że za dziada iść miała. Lecz gdy słowa swego cofnąć już nie mogła, oddała mu rękę i wesele odprawiła.

Po weselu bierze ją dziadek na wózek biędą zwany o dwóch kołach i ciągnie po grudzie i kamienistej drodze za sobą. Królowna trzęsie się, tłucze się, lzy polyka, że taka dola jej się dostała. Nareszcie przyjechała do jakiejś chatki bardzo ubogiej, tam dał jej kawałek czarnego suchara. Z początku królowna nosem krzywiła, ale jak wygłodniała, to zjadła kawał suchara tak smacznie, że aż palce oblizwała. Jak mogła tak biédowała ona z dziadkiem już dwa miesiące, podczas którego to czasu przekonał się dziadek, że był kochanym, ale jeszcze chciał wiedzieć, czy będzie ona mu posłuszną. Poszedł tedy do swego pałacu i rozkazał marszałkowi swemu, żeby tajemnicę zachował i pilnował żonę jego, gdy będzie w ogrodzie robiła. Gdy się umówił w pałacu, wrócił do chaty i powiada: jutro pójdziesz do ogrodu królewskiego kopać pietruszkę, pamiętaj też przynieść dla mnie kilka pietruszek.

Królowna z największą ochotą biegnie do ogrodu, żeby zarobić kilka groszy. Kopie pilnie, ukradkiem schowała też pietruszek kilka. Ale dozorca widział co ona zrobiła i wieczorem odebrał te pietruszki. Ona się bardzo zawstydzila i smutna bardzo przyszła do domu zając się przed dziadkiem

na swoją przygodę. Dziadek mówi to nic, to nic, jutro pójdziesz marchew kopać, pamiętaj też o mnie. Poszła ona marchew kopać, znowu schowała kilka marchewek, ale dozorca znowu to odebrał. Żali się przed dziadkiem na to niepowodzenie. To nic, to nie powiada dziadek, jutro pójdziesz suknię szyć, pamiętaj też gdy będziesz guziczki przyszywała, schowaj dla mnie parę guziczków. Królowna ucieszyła się, że do lepszej roboty pójdzie. Szyje tedy jeden dzień, szyje drugi dzień. Tymczasem dziadek przebrał się za królewicza. Gdy suknia już była gotową, postrzeżono, że dwóch guziczków brakowało. Znalaziono przy niej guziczki. Ona się bardzo zawstydzila, a królewicz przez drzwi grubym głosem zawołał: ubrać ją za karę w tę suknię. Gdy już była ubrana, drzwi się otworzyły, a królewicz wybiegł do niej i mówi. Chodź złoto moje, perło moja najdroższa, jam nie dziadek, ja król, a ty królowa moja. Zaraz była suta ucztą dla wielu magnatów i ministrów, którym żonę swoją uroczyście przedstawiał i żył z nią długo i szczęśliwie.

## Turkuł.

Powiadają, że ten Pan wielkie figle ludziom płatał, a nakoniec i jemu nie małego zrobiono figla. Gdy trzymał Zastawnę na Bukowinie w dzierzawie, przyjechali Huculi po zboże, a naladowawszy fury zbożem, już się mieli wybierać, ale jeszcze chcieli strzelhy swoje opatrzeć. Jeden z nich najprzód poszedł z strzelbą pytając się: de tutki gwintówku szlufujut? Jakiś filut wskazał mu na pana Turkula: Idzie Hucul i kłania się mówiąc: Kobyśty były łaskawi myni gwintówku wiszlufowaty. Hej kozacy! zawołał Turkul, wyszlufujcie no mu gwintówkę. Położono Hucula i dano mu ze dwadzieścia batogów. Wstawszy Hucul z dobrą miną powraca do swoich mówiąc: Ależ to fajno myni wiszlufowały gwintówku. Abo? zawołali wszyscy uradowani, a gde? Hucul wskazał im na mieszkanie pana Turkula, dokąd wszyscy z strzelhami zabrali się. Pan Turkul sądząc, że to odwet Huculów, zwołał wszystkich kozaków i rozkazał jednego po drugim batem

okładać. Doradca usłyszawszy krzyk swoich kolegów, zaciągnął konie i pojechał, bo byłoby mu powróciwszy niezawodnie drugi raz gwintówkę wyszlufowali.

Razu pewnego przyszła baba skarżyć na swego syna, że jej niesłucha, że teraz uderzywszy nawet, uciekł z domu. Pan Turkuł wysłuchawszy skargi zawołał: za tydzień przyprowadzisz mi syna, a jak go nieprzyprowadzisz, to trzydzieści różeg weźmiesz, a teraz precz mi z tą babo. Biedna matka kręciła się i żalowała tego, że chodziła skarżyć na syna, poty śmiertelne na nią występywały, gdyż syna jak nie było, tak nie było. Na szczęście zjawiała się banda cyganów i rozbila swoje szatra koło Zastawny. Idzie tedy baba do Cyganów, czy niedoradziliby oni co w tej przygodzie. Zaraz na samym wstępie wpadł jej w oczy Cygańczyk młody, nuż tedy do niego, czy ne buwby ty moim synom? Czomu ni odpowiada Cygańczyk. Bierze go tedy do domu, myje, czesze, ubiera czysto w nową świtę i prowadzi do dworu. Stał wtedy na ganku pan Turkuł, baba mu się kłania i powiada, że przyprowadziła według rozkazu swego syna. Aha zawołał Turkuł, hej kozacy, połóżcie no tego poganina. Kozacy biją, pan Turkuł moralizuje: szanuj szelmo matkę. Cygańcio dorozumiał się o co rzecz idzie i zawołał: tabo sese ne moja mama. Patrzcie szelma! odezwał się Turkuł, rodzonej matki się zapiera, a bijcie dobrze. Po tej najniesprawiedliwszej egzekucyi powiada Turkuł: teraz za karę weźmiesz matkę na plecy i przez całą wieś będziesz wołał, że to twoja matka. Bierze Cygańczyk babę na plecy i woła przez całą wieś: sese moja mama. Nareszcie przechodzi przez tabor Cyganów, matka jego rodzona wybiega za nim wołając: Synu a ty szczo nesesz? Mamu odpowiada Cygańcio. Sese ne twoja mama, ja twoja mama. Aha ide do Zastawny tam skaży, że ty moja mama, teper to moja mama.

Trzeci raz wyprawiono figla samemu panu Turkułowi. W Tarnopolu mieszkała wdowa starszka proces prowadząca o swoją spuściznę. W tym samym domu, w którym ona mieszkała, była także pewna wdowa mająca syna jedynaka w szkołach gimnazjalnych. A jak to zwykle wdowa z wdową

rada przystaje, przywiązała się szczerze staruszka do niej i syna jej serdecznie pokochała, który wywdzięczając się za szlachetną życzliwość, pudeleczka jej kleił i łakocie różne z miasta przynosił. Ukończywszy szkoły w Tarnopolu, wyjechał do Lwowa, w celu słuchania wyższych nauk i w tym czasie staruszka wyprocesowała swoją spuściznę i przeniesła się na wieś. Lecz nie długo trwała jej radość z odzyskania mająteczku, staruszka rozchorowała się i panu Bogu ducha oddała. Najbliższym jej krewnym był Turkuł, który dowiedziawszy się o śmierci staruszki, ani wątpił, że jej będzie sukcesorem. Jakoż w tej myśli zjechał na wieś i rozgospodarował się jak szara gęś w obcym majątku. Jeszcze tylko chodziło o oddanie prawne przez komornika sądowego tego majątku. Uprosił tedy komornika, żeby zjechał na pewny dzień dla oddania poddaństwa osady wiejskiej. W tym samym czasie, przybył ów młodzieniec ze Lwowa, któremu nie bardzo dobrze tam powodziło się i niewiedział, co miał dalej z sobą począć, gdyż z powodu braku funduszów, nie mógł słuchać wyższych nauk. Przypadkiem zdybuje go na ulicy komornik, który go znał dobrze i przywitał go bardzo serdecznie. Twoja dobrodziejka umarła, ot dobrze żeś przyjechał, pojedziesz ze mną po jutrze na wieś, gdzie będzie tradycja majątku panu Turkułowi, ot tak niby za aktualiusza wezmę cię z sobą. Przyjechali tedy na wieś, a po smacznym obiadku weszli wszyscy na ganek, przed którym stała w porcorze gromadka miejscowa. Pan Turkuł sam rozpoczął mowę. Po ś. p. nieboszce dziedzicze waszej, prawem naturalném przypada mi majątek, należy mi się posłuszeństwo od was, jestem panem waszym.

Nie panowie gromada odezwał się na to komornik, to nie jest wasz Pan, ale to jest wasz Pan! wskazując na młodzieńca i wy dobył testament prawnie zrobiony, — z największą flegmą odczytał Intromissją sądową, a trza było wiedzieć, jak gromada okrutnie wytrzyśczyła oczy na pana Turkuła, który nos spniścił na kwintę.



## Twardowski.

Słynny ten czarnoksiężnik sprzedał żydowi konia na pozór bardzo powolnego. Żyd chcąc onego konia napić wjechał z nim w rzekę, gdzie się zdawała woda być mialka, a jednak była bardzo głęboka. Ów koń zostawiwszy żyda na głębiznie wypłynął z pod niego i zniknął. Żyd i pieniądze niemał i ledwie zyciem nieprzeplacił.

Tenże w podróży, gdy mu chłopci piani w karczmie w dudy grając, krzycząc i hałasując spać nie dali, kazał cięcho gospodarzowi kolek grabowy uciesać i w ścianę wbić. Wtem zawołał: Chłopi na kolek! Aż tu zaraz wszystkich z dudą diabli na on kolek powsadzali i trzymali, aż do dnia białego. A on rano wstawszy na instancję gospodarza puścił i rozwiązał, którzy ze strachu z izby oknem powylatywali na łeb, ledwie karków niepołamali, ale się trochę lepiej utręśli, niż w tańcu, bo aż chorowali.

## Ubogi.

Było dwóch braci; jeden bogacz, drugi ubogi. Bogacz niechciał zaratować biednego brata, jeno kazał mu pracować. Chodził tedy biedny brat do bogacza i pracował u niego ciężko przez cały dzień, za co dostawał miskę mąki, a nic więcej. Rozpacz go pożerała, że zarobek taki nie mógł utrzymać licznej jego rodziny, postanowił tedy opuścić dom i pójść w świat za oczy, jakto powiadają. Idzie tedy cały dzień głodny i zanocował w jednej kaplicy. W nocy przyszli Aniołowie i nasypali mu do worka pełno dukatów. Wstaje ubogi i dziękuje Bogu za te dary, które zaledwie zdołał przynieść do domu. Żona i dzieci weselą się, sprawiają huczne chrzcipy, na których nawet Hrabia miejscowy był obecnym. Brat bogacz z ciekawości prawie odchodzi od siebie, zkąd jego brat nabył tyle majątku. Ale jakto kobiety zwykle ciekawsze i gadatliwsze, zaprosiła bogaczka żonę ubogiego niedys brata i tak ją grzecznie uczęstowała, że wszystko wygadała.

jakim sposobem przyszedli do takiego majątku. Wyprawia tedy bogaczka swego męża z workiem próżnym na wędrowną. Idzie tedy bogacz i zanocował także w kaplicy; ale w nocy przyszedli diabli i nasypali mu do worka pełno plugactwa, a na niego dopuścili parchy. Plugactwo rozlaźi się, szczybie, kasa swoją drogą, a parchy ze swojej strony dokuczają. Zrywa się bogacz wśród takiego bogactwa, ucieka z kaplicy, lecz to wszystko za nim goni. Przychodzi do domu, bij żonę co się wlezie. Miała tedy zamiast dukatów, parchy i plugactwo, które modlitwami i najęciami mszy świętej zaledwie od siebie oddaliła.

## Udało się.

Jenerał pewny przykrzył się bardzo podwładnym. Razu pewnego zapowiedział wielki przegląd wojska, co wszystkim nie było na rękę, zwłaszcza, że to były ostatki zapust, z których każdy prawie żołnierz chciał korzystać. Co tu robić, pan każe, sługa musi. Układają się tedy, żeby jenerałowi wykraść mundur galowy, bez którego on na żadną paradę nie wychodził. Przebiera się jeden z wojskowych po cywilnemu bardzo elegancko i wchodzi do przedpokoju jenerała w tej samej chwili, której służący czyścił mundur galowy i prosi, żeby go wprowadził do jenerała, z którym ma kilka słów pomówić, a to powiedziawszy, sam do siebie rzekł: Uda się, nie uda się. Służący myśląc, że przybyły, tak o swoim interesie rozprawia, poszedł do jenerała. Tymczasem przybyły uchwycił mundur galowy i z tryumfem przybył do swoich towarzyszków. Jenerał zezwolił na posłuchanie. Ale służący wyszedłszy, postrzegł, że niema przybyśa, że i mundura nie było, a zalaunawszy ręce wpada do jenerała wołając: Udało się! ndało się! Co kpie udało się? zapytał jenerał. To był złodziej, ukradł pański mundur galowy z orderami. Cicho bądź odezwał się jenerał, teraz pójdziesz do półkownika i powiesz, że nie będzie przeglądu, z powodu nagłej słabości mojej. Wszysey żołnierze dobrze się bawili, a po zapustach podrzucili mundur jenerałowi.

---

## Upór.

Człowiek miał żonę bardzo upartą, która zawsze i wszystkiemu stanowczo się opierała. Razu pewnego, ogolił się, i mówi do żony: krasieńko holenym. Na co ona odpowiedziała: to ne holeno, ale streżeno. Ale holeno, spiera się mąż. Streżeno odpowiada żona. Tak go tem zniecierpliwiła, że postanowił ją utopić. Ciągnie tedy do wody, każy holeno — streżeno odpowiedziała i rzucił ją w wodę, a tonąca podniosła rękę do góry i dwoma palcami ruszając, pokazała, że ne holeno, jeno streżeno.

## Wet za wet.

Zapalił się dom jednego gospodarza, mały chłopczyzna syn jego wybiegłszy z chaty, niemając się gdzie podzić, grzał się przy ogniu. Z drugiego domu przybiega chłopiec, a długo przypatrując się zmarł, i chciał się zagrzać przy ogniu. Ale chłopiec pierwszy odpędza go mówiąc: nie grzej się, bo to mego ojca chałupa pali się. Na co odpędzony odezwał się: poczekaj, poczekaj, jak się mego Tatusia chałupa palió będzie, to ja tobie nie pozwolę grzać się przy ogniu.

Coś podobnego: Zabił ty mego ojca, zabiję ja twoją świnię, niech głowa za głowę ginie.

## Wilk.

Wszystkie plany udawałyby się na świecie, gdyby nie było przeszkód. Najszczytniejsze czasem pomysły rozbijają się o twardą mózgownicę nieuków. Doświadczył tego wilk żarłoczny marząc o przedziwnym jakim bankiecie dla siebie. Idąc polem stanął nad pewną jamą nie bardzo obszerną, nad którą duży kamień sterczał. Wnet przyszło mu na myśl czy nie jest to kryjówka ptactwa, owiec, lub tym podobnego stworzenia. A może tam wieprz tłusty apoczywa dla ochło

dzenia się, ach coży to za uczta była dla mnie. Włazł tedy do jamy, a kamień sterczący, jak gdyby naumyślnie zapadłszy się, zakrył otwór jamy. Postrzegł wilk całe swoje nieszczęście. Nuż tedy w narzekania: trzeba ci być ciekawym? pociężesz tu włazł? czy schowałeś co? czy jamnikiem jesteś, żebyś po norach szukał dla siebie zdobyczy? ach ja nieszczęśliwy, skończy się swoboda moja! i rozbeczał się jak pokutnik surowy szcękając i wyjąc przeraźliwie.

Lament ten żałośny sprowadził człowieka, który domyślając się, że to głos wilka z podziwieniem zapytał: coż tu robisz?

Ach mój dobrodzieju, mój wybawicielu, mój łaskawco! uwolnij mię z tej biedy, a ja ci sówicie za to wynadgródzę.

Złakomiwszy się na zapłatę, odważył kamień człowiek, a wilczyśko uwięzione wylazło na wolność i dalejże do człowieka, by go rozszarpać.

Stój co robisz! taka twoja wdzięczność za wyświadczone ci dobrodziejstwo, gdzież twoje słowa, wszakżeś obiecał mi zapłacić?

Zjeść powinienem ciebie, gdyż tak cały świat płaci. Wdzięczność jest złudzeniem tylko, a dobre złem się wypłaca.

Takie jest zdanie twoje, ale posłuchajmy kogo innego, może znajdzie przecie sprawiedliwość. Tam biegnie psisko stare, pójdźmy do niego niech on nas rozsądzi. Poszli tedy do psa i opowiedzieli mu całe zdarzenie.

Pies pokiwawszy głową wydał w całe niekorzystny wyrok: Zjédz go wilku, tak świat płaci. Patrzcie, póki byłem młody, cały dwór mną się zajmował, wszyscy mię pieścili, Azorka lubego cukierkami karmili, a teraz kiedym się postarzał, wypędzono mię na cztery wiatry, zjédz go wilku, tak świat płaci.

Wyrok ten jest jednostronny, pies rozżalony widocznie tu zemstę na ludzi miał na celu, pójdźmy dalej, tam na drzewie siedzi sroka, tą przecie nie była we dworze, przeto może sprawiedliwszą będzie.

I poszli do sroki z opowiadaniem dziwnego wypadku.

Sroka wysłuchawszy i ogonem machnąwszy rzekła: zjédz go wilku, tak świat płaci. Patrzcie biédna srokunia co komu winna, gości głosi, w nocy na złodzieja skrzekocze, pilnuje domu gospodarza, a za to biédną sroczkę strzelają, aby jej trupa powiesić w stajni dla zabobonu i przesądu. Zjédz go wilku, tak świat płaci.

Sroka brechaczka smalone duby plecie, ot tam pomyka lis, pójdźmy jeszcze do niego, może on roztropniejszy. wyda wyrok. I pokłonili się lisowi przedkładając mu swą sprawę. Lis prawnik zauważał, że ta sprawa nieda się sumarycznie załagodzić; przeto wezwał każdego z osobna na ustęp. A najprzód rozmówił się z wilkiem, jaką może się od niego nagrodę spodziewać. Wilk nie obiecywał mu zapłaty zwłaszcza czując słuszność po swej stronie. Przystąpił tedy do człowieka, który w nagrodę przychylnego dla siebie wyroku, obiecał mu codziennie jedną kurkę. Teraz zaś dla bliższego rozpoznania rzeczy, trzeba nam się udać na miejsce tego zdarzenia, zaproponował lis chytry. A skoro stanęli nad jamą, obrócił się lis do wilka: pokażże nam wilku, jak ty tu siedziałeś. Wilk wlaź do jamy i usiadłszy sobie począł wyć doskonale, dając do zrozumienia, jak się w tej jamie sprawował. A teraz ty człowiecze pokaż, jak była jama kamieniem przykryta. Człowiek zasunął potężny kamień nad wilkiem. Teraz panie wilku siedźże sobie w jamie, póki cię znowu człowiek głupi niewolni, rzekł lis uradowany i udał się za człowiekiem po kurę. Pierwszego dnia dał człowiek kurę, drugiego dnia także dał kurę, ale trzeciego dnia pomiarkował się, że podobna nagroda pochłonie cały jego majątek; postanowił zatem pozbyć się lisa. Trzeciego dnia gdy przyszedł, człowiek udał, że ma pod kapotą kurę ukrytą przed widokiem żony, że mu da, gdy w pewny kącik szpiklerzyka udadzą się. Tam tedy gdy stanęli, wydebył palkę z pod kapoty człowiek, a zabiwszy łapikurę mimowolnie zawołał: tak świat płaci!

Tymczasem wilk w jamie wszystkie psy wieszał na lisa i człowieka, skomlał i wyl, ale nikt nie przybył, by go wyratować. Drugiego dnia dopiero postrzegł szczelinę małą

między kamieniem, a jama, nuż tedy pazurami drapać póty, póki niewyrobił dziury, przez którąby się mógł przedzierzgnąć. Obszarpany i wygłodzony wydobywszy się na wolność począł siebie łącać. Jaki to z ciebie dureń, potrzeba ci było konpromiezu? miałeś człowieka, trzeba go było zjeść, kto zdobycze swoje na sądy zdaje, ale co teraz, to mię już nikt nieoszuka. Właśnie pastie się kobyła, rzucę się na nią bez ceremonii i zjem z kośćmi, bom strasznie głodny. Poskoczył więc z dzikością do swej ofiary. Ale kobyłka przybrawszy minkę owieczki niewinnej, poczęła się do wilka przymilać. Mój przyjacielu, ja nieuciekam przed tobą, sama cię proszę oto, żebyś mię zjadł. Lecz oderwij mi podkowy najprzód, abys sobie i gospodarzowi memu przysługę uczynił. Usłuchawszy tej mowy wilk, zbliżył się do tylnych nóg kobyły, któremi tak go palnęła w mordę, że aż się przewrócił. Leżał jakiś czas prawie bez ducha, nareszcie przyszedłszy do siebie zawołał: A trzeba mi tego było? czy kowalem jestem, ażebym się brał do rozkowania koni? A teraz i kobyła uciekła i pare zębów straciłem. W tem nadleciały gęsie i usiadły niedaleko. Zerwał się wilk do gęsi z niezmysłonym apetytem: to to będę jadł, jak kluski będę polykał. Postrzegły go gęsie i zawołały: A czego ty wilku od nas żadasz? Chcę was pojeść, odpowiedział zapytany. Pozwólcie nam przed śmiercią zaśmiać się. I owszem śmiejcie się, zawołał wilk ciesząc się z ich głupoty. A tymczasem gęsie ruszając skrzydłami i wołając; ge! ge! ge! wzniosły się do góry i precz odleciały. A czy mi licho nadało z temi koncesjami, wszystkim żyć pozwalam, a sam chyba zgłodny zdechnę. Czy nie słyszałem gęgania głupich gąsek? Durny gąsiorze! Tak narzekając wyszedł na górę, z której w dolinie obaczył capa pasącego się nad brzegiem płynącej rzeki. Aha jesteś capuniu, ty mię nie oszukasz. Ach coż to za bał będziecie, zjem capunia i zaraz wody się napiję. W tryumfie tedy spuszczał się z góry do swej ofiary wołając: capuś! capuś! Jestem na twoje rozkazy, odezwał się cap, czegoż ty chcesz odemnie wilku?

Aha chcesz mię ocyganić, nieuda ci się sztuka, stawaj capie, niech cię w kawałki rozszarpie.

I owszem mój wilku, ja ci chcę ułatwić twoją zdobycz, widzę że masz pysek pokrwawiony, a zatem nie możesz dobrze ani zarpać, ani jeść. Ale wiesz co, stań tu na dolinie, otwórz paszczkę, a ja pójdę na ten pagórek i ztamtąd prosto wlecę ci do brzucha twego. Usłuchał wilk tej rady, a capunio jak się rzucił z pagórka rogami swými obydwaj ślipaki wyszturkał wilkowi, który potoczywszy się z bólu w rzekę upadł i utonął. A cap filut jak diabeł śmiał się do rozpuku i bródką potrzęsając, chociaż nie bardzo poetyczne, jednak pamiętne, a pouczające wyrzekł słowa.

Teraz wilku napij się czystej wody,  
Nie drwij z szkapy, gąski i capiej brody.

## Wisielcy.

W Gdańsku prowadzono złodzieja na szubienicę, a gdy przed nim i za nim ludzie cisnęli się, rzekł: czego się tak ciśniecie, wszak tam bez was obejdzie się, mię tylko tam potrzeba. Potem w bramę idąc, rzekł do straży: już teraz możecie przedzej bramę zamknąć, na mnie nie czekajcie. Xiądz mu rzecze: widzisz, do czego cię ta zła kompania przywiodła? Nie miał ja w całym życiu gorszej kompanii jak teraz, z jednej strony kata, a z drugiej Xiądz.

Innego gdy miano ścinać, prosił żeby go powieszono, gdyż nie może na krew patrzeć, zaraz mdleje.

Innego pytało, co też w życiu najgorszego zrobił? odpowiedział, to było najgorzej odemnie, że się dał złapać.

Innego Xiądz na śmierć dysponując pytał, czy czego jeszcze więcej nie zrobił? odpowiedział: ja katu, który mię dręczył i męczył, nie przyznałem się, a tobie bym się miał przyznać.

Inny przed szubienicą kazał sobie podać szklankę piwa, a gdy mu podano, zdmuchnął pianę twierdząc, że z piany kamień się w całowisku tworzy.

Inny znowu zapalił sobie fajkę przed straceniem i czekał aż hupka się do pali, twierdząc, że dym hupki sakodzi bardzo na pierś.

W Stanisławowie prowadzono opryska na szubienicę, który idąc niustannie powtarzał: ależ to boloto, ależ to bida. Żołnierz obok niego idący miał się odezwać: szczo tobi za bida, ty sia tam lyszysz, ale my musym powertaty. Jak gdyby na bankiecie jakim, odpowiedział mu łotr: lyszit wy sia, pane wojak, a ja powernu.

## Wybiegi.

Macocha mając pasierbice dwie i córce własnych tyleż, chcąc doświadczyć, która pasierbica była życzliwszą jej córkom, dała pasierbicom po jabłku, a swoim córkom nic, mówiąc: widzicie, że ja swoim nic nie daję, a wam tylko daję. Z nich jedna, żeby się w oczy pokazała być życzliwszą, dała całe jabłko jej córce, a drugiej dała tylko połowę jabłka druga córka. Macocha tedy rzekła, że życzliwsza ta, co połowę dała, bo bez pochlebstwa.

Druga macocha także miała sześć pasierbic, a córkę jedną, kiedy chleb piekła, sześć kuciek dla pasierbic upiekła, a córce swojej nie. Rozdawszy u stole rzeczce: widzicie ja wam upiekła, a mojej córce nie, jeżeli chcecie, to jej też dajcie. Każda odkroiwszy połowę dała jej, a tak one zjadły po połowie, córce zaś z sześciu połówek, dostały się trzy kucielki.

## Wykradzenie.

Król miał syna, którego bardzo kochał, ale znachory przepowiadali, że królewicza czarnoksiężnik wykradnie, co też było powodem większej troskliwości króla dla swego jedynaka. Kazał go niustannie pilnować, nigdzie go od boku swego nieoddalał. Napał się razu pewnego królewicz na polowanie, król dał mu karetę i nakazał, żeby niewysiadając z karety strzelał, toż samo przykazał i służbie, żeby baczne oko na niego zwracała.

Rozpoczęło się polowanie, myśliwi rozbiegli się po lesie, a ta biegała sarna smukła i staje przed drzwiczkami



karety królewicza. Zrywa się do niej królewicz, strzela i trafia w nogę. Sarna niby pada. Królewicz wyłazi z karety, by sarnę podnieść, ale sarna wstała i ucieka. Królewicz za nią, — sarna między krzaki kryje się. Królewicz tak się był zawikłał, że już do swoich trafić nie mógł. Tam przemieniła się sarna w czarnoksiężnika, który uchwycił królewicza i zaprowadził do swego pałacu, gdzie rozgniewany, że tak długo na niego czekał, chciał go zabić. Ale królewicz wyprosił się pod tym warunkiem, że przez jedną noc cały las wytnie i drzewo w stopy złoży. Było to tylko odwołką śmierci, gdyż niepodobna było cały las przez noc wyrębać. Chodzi tedy smutny bardzo i narzeka, ale królowna, która go od razu pokochała, wybiegła z pałacu po kryjomu do niego i pocieszając go rzekła: nie turbuj się, świsnij tylko trzy razy w nocy, a wszystko będzie po twojej woli. Gdy się noc zrobiła, świsnął trzy razy królewicz, a diabli zbiegli się, cały las wycięli i przed północą jeszcze wszystko drzewo w stopy ułożyli. Czarnoksiężnik dziwował się temu bardzo i rozkazał mu, żeby przez jedną noc cały staw wysuszył, zorał, zasiał, zebrał i pszenicę w kopy złożył. Jeszcze bardziej zesmutniał królewicz, rozważając niepodobienstwo wykonania. Ale królowna znowu wybiegła do niego pocieszając i nauczając go, żeby tylko trzy razy świsnął, to się wszystko podług jego życzenia stanie. W nocy świsnął trzy razy, diabli zbiegli się, staw wysuszyli, wyorali, zasiał, zebrał i przed północą jeszcze pszenicę w kopy złożyli, pod którymi spał sobie królewicz. Czarnoksiężnik rozszedł się na niego, że mu ktoś bruzdzi i postanowił go zabić. Ale królowna wykradła się do niego i namówiła go, żeby razem uciekli za morze, gdzie też długo bardzo szczęśliwie z sobą żyli.

## Żaba.

Było w domu pewnego gospodarza trzech synów; dwóch rozumnych, a trzeci głupi. Rozumni bardzo dokuczali, upośledzonemu bratu, który niemogąc sobie rady dać z nimi,

wybrał się na polowanie. Ale jak to mówią; za niezdara złotą wierzba rośnie, wrona gdy zasnęła, ukradła mu rusznicy. Przebudziwszy się począł bardzo narzekać i płakać, a najbardziej z tej przyczyny, że powróciwszy do domu stanie się przedmiotem szyderstwa niebłaganych swych braci. Lament ten sprowadził doń dużego odyńca, który wypytawszy się o wszystko, zawezwał go do siebie na służbę. Głupi Macioś, przyjął bardzo chętnie wezwanie i udał się za nim do ogrodu, gdzie było bardzo dużo owoców. Odyniec kazał mu pilnować ten sad, aby nie zginęło, a wskazując na drzewo rzekł: wyleż na tę jabłoń, gdyż tu jest niepoczciwa gadzina, która mi wszystkie jabłka zjada. Ja tymczasem pójdę za górę paść się, a gdy przyjdzie gadzina, to zawołaj na mnie.

Wylazł tedy Macioś na jabłoń, żywi się jabłkami i rozkoszuje sobie. Aż tu sunie ogoniasta, a podniosłszy chytrą główkę do góry zawołała: Maciosiu kochany, dajże mi też jedno jabłuszko. Macioś myśli sobie, dać, czy nie dać, ale kiedy tak pięknie prosi, to trzeba jej rzucić jedno jabłko. Jak pomyślał, tak też zrobił. Ale gadzina dokoniecznie nalegała, żeby jej ręką swoją podał jabłko. Myśli sobie Macioś, może to przecie niezaszkodzi, gdy grzecznej gadzinie podam jabłko. I zerwał jabłko i podał gadzinie, która uchwyciwszy go za rękę, poczęła ciągnąć za sobą. Macioś przerażony zawołał na Odyńca:

Pryjde pryjde! dyki wepra,  
Wże do mene jazi dreple.

Wnet przybiegł Odyniec, uwolnił go z paszczy gadziny i zawołał: nie mówiłem ci osle, żebyś gadzinę pędził od siebie, a ty się z nią wdałeś w konszakty! teraz idę aż za trzecią górę paść się, pilnujże się, gdyż jak będziesz wołał, nie usłyszę głosu twego i nie będę mógł pospieszyć na twój ratunek. Macioś przyrzekł być rozumniejszym. Lecz niestety gadzina jak zaczęła mu się przymilać i dogadywać; tak Macioś zmiękł i rzucał jabłka gadzinie, sądząc że to nic nie jest złego, byle jej rąk niepodawał. Ale gadzina mądra innym sposobem go podeszła. Mój Maciosiu nachyl mi oto tę

gałązkę, ja bym chciała to czerwoniutkie jabłuszko zjeść. Macioś myśli, przecież jej ręki nie podam, jeno gałązkę i nachylił gałąź z jabłkami, a gadzina uchwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. — Na próżno biedny Macioś wołał: przyjcie, przyjcie dyki wepre, wze mene jazi za soboju dreple. Odyniec nie słyszał tego głosu i gadzina przywlekle Maciosia do swego domu i zamknęła go w tak ciasnej komórce, że się nawet obrócić niemógł.

Tam go karmila samemi orzechami, a gdy jań był tłusty, napaliła w piecu i kazała córce wsadzić Maciosia do pieca, sama zaś poszła spraszać gości na ucztę. Córka usłuchała matki rozkazu, wymięła ogień z pieca i przyprowadziła Maciosia, żeby go w piec wsadzić. Ale Macioś zmiarkowawszy, że mu tam gorąco będzie udawał, że niewie jak się położyć na łopatę i prosił córki gadziny, żeby mu pokazała, jak się kłaść na łopatę. Córka położyła się na łopatę, a Macioś przyskoczył prędko, uciął jej głowę, zdjął pierścień z jej palca i włożył na swój palec, tuluw wsunął do pieca, głowę zaś złożył na poduszkę i przykrył koldrą, a sam czem prędzej w nogi. Tymczasem zbiegły się gadziny z całej okolicy, dobyły pieczeń, zajadają, śmieją się i weselą. Nareszcie powiada matka, trzeba też i córkę zbudzić, niech się i ona pożywi. Lecz gdy poruszyła koldrą, głowa spadła na ziemię, dopiero przekonała się, że córka jej nie spała, jeno spieczoną i zjedzoną została. Powstał tedy niesłychany rwetes w domu, gadziny syczące rzuciły się za biednym Maciosiem. Ale Macioś nie głupi wyczekiwać, aż go gadziny dosięgną. Nadleciało stado gęsi, prosił ich, żeby go wzięły do tatusia. Lecz gęsi niechciały go wziąć z sobą. Nadleciał stary gąsior, a on się do niego składa i prosi, żeby go wziął do tatusia. Gąsior spuścił się na dół i wziął Maciosia na swoje barki i zaniósł go do domu, a tatuś uradowany dał gąsiorowi zato korzec hreczki.

Tatuś wprawdzie bardzo się cieszył z powrotu jego, ale bracia wydziwiali i narzekali, że nie tylko nie nieprzyniósł do domu, ale jeszcze stracił rusznicę i korzec hreczki — trzeba było zań zapłacić. Tak mu ciągle dokuczali, że bię-

day Macioś postanowił opuścić tatusia i powędrować gdzie w świat daleki. Poszedł tedy, jak idzie, tak idzie, aż nareszcie wpadł w ręce zbójców, którzy go związawszy, sprzedali ludożercom. Znowu karmił Maciosia, żeby był tłusty, już dzień naznaczyli, którego mieli go zabić. Macioś począł bardzo płakać i załamywać ręce, przyczem przypadkowo potarł ten pierścień zdjęty z palca córki gadziny. Wnet stanął przed nim diabeł i zapytał: czego żadasz? Ratuj mię odpowiedział Macioś. Szatan porwał go i zaniósłszy na wysoką skałę, na samym cyplu położył. Macioś biedny siedzi sobie i myśli, jaka to przysługa diabelska, skała wysoka, a pod skałą morze głębokie, jak tu teraz sobie poradzić. Z nudów począł się bawić pierścieniem i potarł go znacznie, a diabeł znowu stanął obok niego.

Oho! pomyślał sobie, kiedy ty bratku jesteś na moje zawołanie, to teraz ja sobie pan. Już nieprosił bisa, ale rozkazał mu, żeby go zaniósł do tatusia. Ale tatuś już nie żyli, jeno bracia uwijali się mocno i łagodzili się do jakiejś wyprawy. Po wielu prośbach, przyznali się Maciosowi, że jada do dalekiego kraju, gdzie jest góra szklanna a na tej górze, znajduje się piękny pałac, a w tym pałacu jest królowna zaklęta, kto potrafi wyskoczyć na tę górę, ten będzie miał tę królowną i wielki majątek. Skoro dowiedział się o tem Macioś, prosił braci bardzo, żeby go z sobą wzięli. Ale oni śmiejąc się z niego mówili mu, żeby w domu został i świnie pasł.

Zebrali się nareszcie bracia, a gdy na dzielne swe rumaki wsiadali, Macioś czepiał się ich i prosił, żeby go też z sobą wzięli. Siadaj na świnie i ruszaj za nami zawołali bracia szyderczo.

Siadł tedy Macioś na świnie i jedzie. Świnia psiabestyja z początku jak szalona leciała, Macioś dotrzymywał kroku braciom, ale później położyła się i ani kroku dalej postąpić niechciała, bracia zaś z tryumfem pojechali.

Ale Macioś nie dał się zawstydzic potarł pierścień, a skoro diabeł stanął przed nim, rozkazał żeby mu dał najpiękniejszego konia, którymby mógł góry przeskakiwać.

Stanął koń dzielny, a Macioś pędem błyskawicy poleciał do nieznanego kraju.

Poznali go bracia w przełocie i zawołali: Macioś, Macioś, lecz on jak gdyby ich nieznął, dalej poczwalował.

Mnóstwo rycerzy stanęło pod górą, a wszyscy dziwią się, że taki obdartus, jakim był Macioś, na takim dzielnym koniu przybył. Już dano znak do spinania się na górę. Rycerze łamią karki spadając z koni, bracia też Maciosia karki pokręcili. Przyszła wreszcie kolej na Maciosia, który od razu skoczył na górę szczęśliwie wśród odgłosu trąb i kotłów i huku bomb i granatów.

W samej istocie był na górze piękny pałac, ale prócz niego były dokoła pustki, żywej duszy nie było widać. Macioś chodził od kąta do kąta, krzyczał, wołał, nikt się doń nieodzywał, nareszcie znużony rzucił się na łożo przepyszne, gdzie też i zasnął. O północy przebudził się smutny bardzo, że znowu dostał się do takiej niewoli, a najbardziej z tej przyczyny, że królowny zaklętej niepozyskał. Wtem zaczyna coś przesuwając po pokoju, szłap, szłap, — patrzy, a to wielka żaba. Nieulękł się jej, gdyż samotnika każde zwierzątko żyjące rozwesela, wstał do żabuni, nuż tedy przymilać się zabsztelowi, wziął na rękę i posadził obok siebie na łożku, aż tu z tej żaby zrobiła się panna przecudnej urody. Błask śliczności dziewiczej odurzył Maciosia do tego stopnia, iż z podziwu i zachwycenia długo niemógł przyjść do siebie. Sam niewiedział, gdzie zostaje, zdawało mu się, że słyszy głos Anioła, że niebo roztoczyło wszystkie rozkosze obok niego. A królowna jak ptaszyna wypieszczona szczebiotała mu o różnych rzeczach, których ani widział, ani też pojąć niemógł. Między innymi powiedziała mu, że ona od dawna jest zaklętą, że o północy powraca zawsze do swojej ludzkiej postaci, że przechadza się po pałacu, ale skoro nadedniem ryknie straszny smok, natenczas powraca znowu do stanu sakradnej ropuchy. Ale gdyby się kto znalazł, żeby mógł pokonać tego smoka i świętą krwią jego posmarować żabę, jużby się skończyła jej pokuta i wszystko by się ożywiło w pałacu.

Zaledwie dokończyła tej mowy, okropny głos podobny do huku gromu, rozległ się po pałacu i owa piękność przemieniła się w obrzydliwą ropuchę. Macioś rozgniewany na tyranstwo owego smoka, potarł pierścień, a skoro stanął przed nim szatan rozkazał, żeby mu przyniósł taki miecz, którymby mógł pokonać smoka. Bies usłużny przyniósł miecz, którym Macioś zniszczył smoka i posmarował świeżą krwią żabę, która przemieniła się w śliczną królowną i wszyscy domownicy ożyli i było bardzo wielkie wesele, bo wszyscy mieszkańcy zaklętego królestwa życzyli szczęścia Maciosowi i dziękowali mu za swe wybawienie, a Macioś żył długo i szczęśliwie z swoją zaklętą królowną.

## Zaklęta.

Za czasów jeszcze pogańskich żył bardzo bogobojny ale ubogi mietlarz. Miał żonę i synaczka Jasia, któremu w lichłej chatce dawał naukę o miłości Boga i bliźniego, lubo nędza całej rodziny od dnia do dnia, czem raz bardziej się pomnażała. Bóg atoli widząc ich niedostatek ulitował się nad nimi, a może też i nad zamkiem, w którym była królowna zaklęta i wysłał swego Anioła w postaci starca nieznanego.

Wchodzi staruszek do ubogiej chaty mietlarza, a pochwaliwszy Boga, począł wypytywać się o stanie domowym całej rodziny. Mietlarz bardzo się rozżalił na dokuczliwą nędzę, której mimo ciężkiej swej pracy od siebie wydalić nie mógł. Staruszek cieszy go mówiąc: Skończyła się bięda wasza, dam wam tyle złota, że panami odtąd będziecie, ale za to musicie mi dać swego syna Jasia, niebójcie się, jemu nic złego nie stanie się u mnie.

Z bolem serca wydali rodzice syna swego staruszkowi, ale za to uboga chata mietlarza przemieniła się w pałac rozkoszy i dostatki otoczyły ubogiego niegdyś mietlarza. Jasio podróżuje przez nieznanne kraje, nareszcie stanął nad morzem, przez które przeprowadził go suchą nogą aż na drugą stronę pielgrzym stary, a wskazawszy na zamek, zniknął w po-

wietrze. — Jasio idzie do zamku, otwiera pokoje, widzi rzeczy najpiękniejsze, ale prócz tego nie było nikogo w zamku, głucha posępność wielkie na nim zrobiła wrażenie, posmutniał bardzo i tęsknił za ubogą chatą swoich rodziców. Jednej nocy odezwał się do niego głos niewidomej osoby mówiąc: Jasiu będziesz tu cały rok, pamiętaj, abyś przez cały ten czas nic złego nie czynił, niemyślał nawet, nie bał się i nietęsknił za rodzicami.

Odąd przychodził ktoś do niego w nocy, rozmawiał z nim, lecz postaci żadnej nie postrzegał. Czasami przechadzała się po zamku postać niewiasty do połowy jak śnieg białej, a drugiej połowy jak węgiel czarnej, której twarz codziennie widocznej nabierała wesołości. Jaś miał wszystkiego podostatkiem, bawił się zbroją rycerską, która mu się bardzo podobała. Razu pewnego ubrawszy się po rycersku, pomyślał sobie, ej żeby to ja teraz mógł być u moich rodziców. Lecz zaledwie myśl ta przebiegła, natychmiast powstało wielkie narzekanie w zamku, a z płaczem wielkim przemówiła niewidoma osoba: Jasiu, twoja myśl bardzo mi zaszkodziła, pamiętaj na moją przestrożę, a teraz idź do swoich rodziców, a za hasłem po raz drugi danem, wracaj natychmiast do zamku.

Idzie on do tego miasta, lecz chaty już nie było, pyta ludzi, gdzie się chata podziała: Ludzie mu powiadają, że mietlarz został wielkim panem i w pałacu mieszka. Idzie on do pałacu i przedstawia się rodzicom, którzy go przez pół roku niewidzenia codziennie oplakiwali. Opowiada on im, co w tym zamku dzieje się i prosi, żeby mu dali świecę, za pomocą której mógłby widzieć osobę codziennie z nim w nocy rozmawiającą. W tem nagle ziemia się zatrzęsła. Matka zaledwie zdołała mu podać świecę, wtem drugi znak dał się słyszeć, a Jaś pospieszył do zamku. W kilka miesięcy przechodzi koło niego postać niewiasty, on z ciekawości zapalił świecę. Ale natychmiast powstały krzyki i narzekania, precz, precz! nędzniku podły z tego miejsca.

Wypędzony Jasio, sam niewiedział w którą miał się udać stronę. Drogi do miasta rodzinnego już nie było, z jednej strony wisiały nad nim urwiska skał nieprzebytych, a z dru-

giej strony było głębokie morze. Padł tedy na kolana i długo bardzo modlił się do Pana, by go z tej toni wyswobodzić raczył. Gdy powstał od modlitwy, zbliżyła się do brzegu łódka niewielka, która go na przeciwną stronę morza przeprowiła. Tam stanąwszy zobaczył jak ptactwo z czworonóznymi zwierzętami walczyło o zdobycz, której dotknąć się niemogło. Z początku przeląkł się tej drapieżnej zgrai, ale pomyślał sobie, mam ja tu nożyk przy sobie, pokraję im to ścierwo i podzielę, może oni się pogodzą. — Jak pomyślał, tak też zrobił, a zwierzęta zgłodzone najadły się i darowały mu piórka i sierście z siebie mówiąc: to masz od nas na pamiątkę, a jeżeli kiedy będziesz potrzebywał naszej pomocy, to tylko pociśnij to wszystko, a my zbiegniemy się duchem ku twemu żądaniu.

Bierze on te dary i podróżuje dalej. Za kilka lat przyszedł do miasta pustego, w którym prócz króla, jego żony, królowny i furmana, nikogo więcej nie było. Zbliżył się on do okna pałacu, z którego sam król wyglądał i pyta, dlaczego tu tak smutno. Król powiada: synu! jeżeli żyć pragniesz, niekaj z tego miasta. Ale Jasio niechciał uciekać, jeno prosił, żeby mu powiedziano, dlaczego w mieście taka żałoba panuje. — Król mu powiada, że jest taka żmyja, która wszystkich ludzi z miasta pożarła, a teraz mam jej dać moją córkę na pożarcie. A gdzież ona siedzi? Jaś zapytał? Ot tam za miastem, król wskazał ręką.

Poszedł Jaś do pieczary smoka, a z ciekawości udał się za nim furman królewski. Skoro tylko zbliżył się do pieczary zaraz wypadła żmyja o kilkunasta głowach. Jaś cisnął pióra i sierście, a ptactwo i inne czworonózne zwierzęta zbiegły się i rozszarpały żmyję w drobne kawałki, z której jajko wypadło. Jaś schował to jajko do kieszeni wraz z językami tej żmyi i chciał pospieszyć do króla z radośną nowiną. Ale furman zazdrośny palnął go po łbie tak mocno, że aż na ziemię niezwywy prawie upadł. Furman tedy przyszedł do króla z tą nowiną, że on pokonał smoka, że tamten panicz był oszustem. Król pochwalił furmana i w nagrodę takiego czynu bohaterskiego, obiecał mu dać królownę za



żonę. Tymczasem przyszedł do siebie Jaś i stawił się przed królem z dowodami swemi, że on pokonał smoka. Furman przyznał się do winy i został powieszony. Król zaś ofiarował królowną Jasiowi, za co on bardzo pięknie podziękował królowi i udał się w dalszą drogę.

Po kilku latach pielgrzymki stanął w tym zamku, w którym był po raz pierwszy. W nocy ponurym głosem zapytała go postać niewidoma: ktoś ty? tu niema dla ciebie przytulku, precz mi ztąd, jeżeli chcesz przy życiu zostać. Zapewne byłby on zginął, gdyby nie opatrność boska czuwająca nad losem opuszczonego człowieka. Bóg niedopuścił zguby jego, a po kilku dniach bytności jego w zamku, usłyszał głos niewiasty: znak to bohaterstwa twego, że dotąd żyjesz, ale tej nocy przyjdzie do ciebie straszidło, jeżeli one nie zabijesz, to sam niezawodnie zginiesz. Dowiedziawszy się o tem, trząsł się od bojaźni, i poty śmiertelne nań występowały. Lecz w chwili, gdy to straszidło zbliżyło się ku niemu, dobył sił ostatnich, i smoczym jajkiem palnął w łeb potwora, straszidło jęknęło tylko i potoczyło się nieżywe na ziemię. A wtem ukazała się prześliczna królowna i rzuciła się na swego wybawcę wołając: mam ciebie Jasiu mój kochany, jakżem długo czekała na ciebie. Żyli już z sobą bardzo szczęśliwie aż do samej śmierci.

## Żart.

Dąbski wymalowawszy obraz świętej Anny samotrze-  
ciej do kościoła, napisał u dołu te słowa:

Proś matko córkę, a córka zaś syna,

By się do nieba dostała dębina.

Ktoś złośliwy dopisał: Nie palą w niebie, nic tam po dębinie,  
Tam drzew pełna izba, gdzie ogień nieglinie.

## Złodzieje.

Wieczorem śydowina jadać, obaczył na polu stertę siana,  
myślał, że tam nikogo niema, chciał tedy nabrać sobie siana.

Idzie więc powoli do styrty, a gdy się już zbliżył do niej, szyderczo rzekł: dobry wieczyr kopyci. A za kopycy wyleciał chłop i pociągnął patykiem żyda po plecach mówiąc: daj Boże zdrowie kupec.

Spowiadał się złodziej przed xiędzem z różnych grzechów. Nareszcie zręcznie ściągnawszy zegarek xiędzu z konfessyonała, powiada, że ma bardzo wielki grzech, tylko boi się powiedzieć, żeby go xiądz nie wydał. Xiądz wpadł w wielki zapał mówiąc o obowiązku dotrzymania tajemnicy przytem też nadmienił o karach, a między innymi karami jakie xiędza wydającego sekret spowiedzi czekają przytoczył, że takiemu xiędzu język by urznęli. Uspokojony złodziej wyjawia, że ukradł zegarek, ale xiędzu ani na myśl nieprzyszło, że to był jego zegarek, po nauce o restytucyi wypuścił swego penitenta. Złodziej ukląkł sobie między ludźmi i modlił się, jednak po jakimś czasie spostrzegł xiądz, że niema zegarka, kiwa tedy na złodzieja, a złodziej wywalił język, i palcem nad nim ruszając, pokazuje xiędzu, że mu język urzną. Xiądz szamocze się w konfessyonałe, a on mu język pokazuje z palcem urznięcia naśladować.

## Zmartwychwstanie.

Tatarzynowi do chrztu się biorącemu, między innymi artykułami, wierzyć kazano, że wszyscy zmartwychwstanimy. Odpowiedział, już ci ja wierzę, ale obaczycie, że z tego nic nie będzie.

## Żołnierze.

Puszczoney z urlopem do domu żołnierz, gdy przybył do chaty swej matki zawołał: Wie gehts Frau Mutter? Matka niezważając na to powitanie, rzuciła mu się na szyję, a po pieśczętach macierzyńskich, zapytała go: Synońku mij szczo ty budesz jsty, może tobi kuritko zarizaty? Na co syn odpowiedział: niks kukurikus. A może tobi porosietko speczy? Niks kwikus mir flajsz. Bidnaż moja hołowońko, to wże ty

zabuw po ruński howoryty, zawołała matka i pobiegła do Mozska arendarza żeby się z nim rozmówił. Przyszedł żyd, gada z nim, lecz po kilku słowach poznał, że żołnierz tylko z fanaberyi wielkiej udaje Niemca. Po cichu tedy powiedział do matki: ne dajcie jemu jsty, to win bude po ruński howoryty. Matka też tak zrobiła. Siedzi syn do wieczora, spluwa tylko od czasu do czasu, nareszcie odezwał się: Mamuniu dajcie meni szczo jisty! — Ach synońku mój, zawołała biedna matka, czemu ty wpered ne kazaw? Bo meni komandirka niemecka buła w hołowi, odpowiedział żołnierz.

Nakazano młodemu żołnierzowi, żeby przed starszym broń prezentował. Brał on to sobie do serca, zwłaszcza, że za każde przewinienie obiecano dać 25 kijów. Razu pewnego stał na straży przy pewnym domu, gdzie była straż podwójna, jedna na górze druga na dole. Przeszedł jakiś starszy, którego on nieuznał za starszego, ale widząc, że na górze broń prezentują, pobiegł czem prędzej za nim i chwycił go za kołnierz wołając: Werny sia, naj rusznyciu zprezentuju. Sprowadził go tedy na dół, postawił przed sobą, a zprezentowawszy broń powiedział: teper ide do ditczoi matery.

Przyszedł żołnierz na kwaterę i prosi o jedzenie, ale gospodyni powiada, że niema nic dla niego.<sup>2</sup> Filut pyta, czy niema siekiéry przynajmniej, to on sobie zgotuje, bo mu się bardzo jeść chce. Baba ciekawa, jak on siekiérę jeść będzie, daje mu siekiérę, którą on w garnek włożył i gotuje. Nareszcie pyta, czy niema jakiej zakryszki do tego; pietruszki, marchwi lub kartoffi. Baba daje zakryszki. Nareszcie prosi, czy niema krup trochę. Baba daje krupy. Przy końcu pyta, czy niema masła, lub słoniny. Baba daje kawał słoniny. — Ugotował tedy doskonały krupnik, wysypał na miskę i zmiata. Baba patrzy, co będzie z siekiérą. Dobył noża i chce krajać siekiérę; twerda jeszcze, woźmu do tornistry, budu jeszcze raz warty i poszedł w dalszą drogę, a Baba ślipie okropnie wybałuszyla.

---

## Zwyczaje.

Na Pokuciu podczas burzy, łopatę z kociubą na krzyż złożoną i gałązkę sztuki święconej na dwór wyrzucają.

Gdy pierwszy raz zagrzmie, chwytając za kamień mówią: kamień hołowa, kamień hołowa! A czynią to dlatego, żeby ich głowa nie bolała.

Gdy się tęcza pokaże, natenczas biorą się chłopcy za ręce i wołają: tęczo, tęczo niepij wody, bo jak cię wsadzę do gąsiora, będziesz siedzieć do wieczora. Po tych słowach tęcza rozrywa się.

Znalazłszy ślimaka, aby rogi pokazał, mówiono do niego: Petre, Pawle, wistaw rohy na cztery porohy, tobi dwamyni dwa, podilim sia obydwu. Ślimak po tej przemowie zwykle wylazi z skorupy.

Gdy sroka skrzekocze, wychodzą do niej i mówią: jak dobrzy hości budut, to czerwoni czereweczki tobi sprawlu.

Kota umywającego się, brano za łapkę, którą się umywał. Jeżeli łapka była ciepła, to prędko goście przyjść miały, jeżeli zaś zimna, to później cokolwiek.

Rozmaj ziele gotuje kochanka i łyżkę kładzie do garnka, jak łyżka znacznie się ruszać, wtedy sprowadza miłego powietrzem, chociażby niewiedzieć jak był daleko. Razu pewnego leciał żołnierz tylko w jednym bucie, gdyż drugiego niemógł już włożyć na nogi.

Hanusz wspomina w swojej Mytologii sławiańskiej na stronie 413 o zwyczaju rzezania baby (babu rzezati). Na Pokuciu zaś, mówiono, że w środopocie rzną żyda, a z jednego gardła wypadają rodzynki, daktyle i figi, z drugiego zaś gardła, żur, śledzie, wyzina i sztokfisz.

Powiada Nowosielski w dziele Lud Ukraini T. II. Wilno 1857 str. 131 o nocy wróblęcej: (horobiniacza niez) że na świętego Semena, diabeł bierze dziesięcinę z wróbli, że tylko ścięty czubek z miarki pozostaje przy życiu. Na Pokuciu diabeł łaskawszy, gdyż dziewięć korcy wróblów puszcza na wolność, a dziesiąty korzec dla siebie zatrzymuje.

W wigilię Bożego Narodzenia niepożyczą ognia,

a niewiasta w cięży, gdyby po ogień przyszła, porodzi dziecię glinę jedzące.

Gościa przybyłego proszą siadać, mówiąc, żeby nam dzieci spały.

Umarłemu troskliwie oczy zamykają kładąc co ciężkiego na powieki, gdyż umarły otwarte mający oczy, jeszcze kogoś z domu tego, w którym umarł, lub z rodziny, do której należał, za sobą pociągnie.

Do trumny kładą różne rzeczy życząc sobie, żeby umarły wszystko złe, co było w domu, z sobą zabrał.

Donosząc o śmierci krewnego, mówią: pan Bazyli po-dziękował' nam, aby my zdrowi byli.

Mają przysłowie, że w niebie tabaka jest do sprzedania mówiąc: Pani Tańska, co w niebie tabakę sprzedaje.

Jeżeli co złego mówią, którego spełnienia obawiają się, powiadają zwykle; żeby tego w złą godzinę niewymówić.

Faryzeuszów kreśląc, powiadają bajkę o ojcu, który z synem swoim wlaź do cerkwi, żeby obraz Matki Boskiej z ozdób i kosztowności obedrzeć. Wlaźszy tedy na ołtarz, powalał obrus nogami, syn do niego mówi: tatniu! obrós powalał'ście. Na co ojciec odpowiada: synu, cotam po obrusie, żeby tylko dusza była czysta. Dodają też; od pobożnego człowieka poły urzynaj i uciekaj.

Ulubiona była na Rusi wódka Buczacka i kieliszek trembowelski, jak to zwrotka następująca wskazuje:

Hosa, hosa, hosasa, hosasa, hosasa,

Horiwoczka z Buczacza, z Buczacza, z Buczacza,

A kieliszek z Trembowla, z Trembowla, z Trembowla

Daj nam Boże zdrowla, zdrowla, zdrowla.

O ptakach dziwne krążą podania, powiadają, że jest ptak taki, który nad wodami miewa gniazdo, gdy wysiedzi piekłęta, natenczas przynosi kamyk do gniazdeczka, które staje się odtąd niewidzialne, ale do lustra patrząc można gniazdo zobaczyć.

Żwierzęta są częstokroć ich mistrzami, one zwiastują pogodę i niepogodę, one też szczęścia, lub przygody wskaźnikami, o nich twierdzą, że się Bogu modlą, że współuczucie okazują dla człowieka, ładne porównanie istnieje w przysłowiu od zwierząt wzięte.

Kiedy miech wypchany jak ciele,  
Znajdą się i przyjaciele,  
Kiedy miech pusty jak łąka,  
Niemasz ni siostry, ni bratka.

Naśladują oni mowy tych zwierząt, jakoby się wspólnie rozumieli.

Kogut powiada: Gazdyni chlib pohoriw. Na co mu gazdyni odpowiada: Neżury sia kohuteńko nebudesz ho jiw.

A tam co takiego? woła kogut, goście, goście! odpowiadają gęsie, kłopot, kłopot, kłopot narzeka indyk.

Panie gumienny, proszę trochę poślądu, woła indyczka. A ty byś ciągle żarła, sztrofuje indyk.

Kiedy owce strzyżą, baran mówi, bude zyma! a owca biedna trzęsąc się od zimna mówi: może wże je.

Strzynadel na wiosnę powiada do rolnika: pokień sanny, bery wiz i t. p.

Nawet żaby mają swoją mowę: Szczęś waryła? Borszcz, borszcz, burakiki, burakiki. — Kumo! kumo! a co tam? Umarł. Kto taki? Bocian. To pan. A my temu rady, rady, ra, ra, ra. Dzieci rade zabijają żaby, starsi mówią; ne byj, bo maty umre.

Podobnież nie zabijają węże. Zabity wąż rusza się aż do zachodu słońca.

Gdzie bez roślinie, tam diabeł mieszka. Bzu tedy wytępiac nienależy, gdyż wycinający bardzo łatwo na szkody wielkie narazić się może.

Ziele przystupnyk ciągnie się po płotach, ma być dobrą wróżbą dla gospodarza, niewolno go obrażać, gdyż przeniesie się na inne miejsce. Korzeń tego ziela podobny jest do dziecka małego. Z tego korzenia robią maść na rany.

Lecz niezawsze da się ono wykopać. Chcąc wydobyć tego korzenia, trzeba wprzód rzucić mały bocheneczek chleba i grajcar na to miejsce, gdzie ono rośnie.

## Życzenia.

Chłop, cygan i żyd rozprawiali nad poprawą swego losu, przyczem też każdy z nich objawił swe życzenie, coby

robił, gdyby został wielkim panem. Chłop powiada, gdybym był królem, tobym pierogi ze słoniną zjadał, kielbasy smażył, wódkę pił, fajkę palił i nic nie robił. Cygan powiada, gdybym został królem, tobym najpiękniejsze konie kradł, słoninę nad ogniem przypiekał, wódkę pił i tarzałbym się jak pies po słomie. Żyd na to wszystko powiada; ja gdybym został królem, tobym taką sobie wybudował kamienicę, żeby żaden lampart do okna kamieniem niedosiągnął.

## Ż y d z i.

Nad wodą dosyć szeroką kręcił się żydowina, niemożąc sobie poradzić, jakimby sposobem dostał się na przeciwną stronę. Nadchodzi tęgi Bernardyn, zrzuca treпки i wstępuje do wody. Żyd do niego, proszę Jegomości, niech mię Jegomość weźmie na drugą stronę. A dobrze, siadaj na barana żydzie. Bierze go tedy Bernardyn na plecy i idzie. W samym środku rzeki pyta go: słuchajno żydzie, czy nie masz ty pieniędzy? Żyd odpowiada, mam. Mnie nie wolno powiada Bernardyn pieniądze nosić i rzucił żyda, który aż po szyję zanurzył się w wodzie, a wyszedłszy z wody, począł wołać za Bernardynem. Na di Rewizor, di Mandator.

Przeżegnaj się żydzie, dam ci poleć słoniny, zawołał szlachcic butny. Żyd żegna się mówiąc: Nie zaszkodzi, nie zawadzi, zda się poleć słoniny dla czeladzi. Nie tak szelmo, ale mów: W imię Ojca, żyd powtarza: w imię Ojca, teraz mów i syna: Herst di woła żyd, ja tego panicza nieznam.

A czemu ty Moszku do horiwki wodu lejesz? Achesmir a szczo to myni szkodyt?

Ieku zrobisz mnie kontusz na wszystkich świętych powiada obywatel polski. Icyk z największą radością bierze sukno do domu, kraje kontusiki i szyje. — Narobiwszy tych kontusików co niemiara, zawinał w obustkę i przyniósł do obywatela, który obaczywszy to dureństwo zawołał; a dla Boga co ty zrobił. Icyk powiada achesmir pamiętał ja i na pana Boga, pokazując obywatelowi jeden kontusik cokolwiek większy od innych.

Przed wielkanocą oddalają żydzi chleb kwaszony od siebie, a po świętach przywołują go do siebie mówiąc: Ny werny sia cham, cham, ne protyw sia durnym żydam.

## Przysłowia.

Aftanaz, bałko nasz.

A dewy, jak łys, fist prysiw.

A szczo łylyki, projily my byki? Koby my zdorowy projimo i korowy.

A wydiw ty karmazyn? Oho ja wże jiw. Taże to sukno? Aha zelene.

Bałko zberaw łyżkoju, a dity zjily warechow.

Bida ne zhyne.

Bodaj mu w łece buło.

Brat sobi rad, sestra sobi nesła, newistka psia kistka, swekrucha psiajucha.

Breszesz jak pes.

Buw tu mnich, szczo maw bohato knyh, a ne znaw czczo je w nych.

Chodyt jak oremus. 16)

Chrest i motyka nas rozłuczyt.

Czekaj hrybe, doki tia, kto ne zdeble.

Czołowik jak bańka na vodi, bańka myk, a czołowik fik.

Didu seło horyt, ja pidu nu druhe.

Dity, a de was podity.

Distaw basarunok.

Ej czuk, barańczuk, sprodaw kozu za tatarczuk.

Ej pane Ubysz, i sebe i nas zhubysz.

Hospody zliż, ta podywysia.

---

16) W Stanisławowie był profesor gimnazjalny Studziński, stary kawaler, zawsze był zamyślony, czy to do szkoły, czy to do domu przychodząc, zdejmował kapelusz i mówił: Oremus. Chodził często po ulicach zupełnie bez celu, gdyż często wracał się, jak gdyby czego zapomniał, potem znowu tą samą szedł ulicą. Bywało i to, że kłaniając się komu mówił: Oremus, zamiast; npadam do nóg. Otoż z tej przyczyny, powiadano jeżeli się kto włóczył niepotrzebnie: Chodyt jak Oremus.



Horiwka z neho howoryt.  
Howory do toho, szczo w bołoti sedyt.  
Hraj, abo broszy widdaj.  
Hyrkij twij świt królu, kole tebe tuz bije.  
Jak pryszło, tak pyszło.  
Jéz nepetaj niczoho, żeby iesz szkira wityrmała.  
Kazaw pan słuhi, słuha słuzci.  
Koby zdorowle, a hrychy badut.  
Koly popowy dzwoniut, popadiu z sela honiut.  
Komu na wik, tomu na lik.  
Koždy swoju smert' maje.  
Koždy maje swoju szatenzajtu.  
Kto do dwacit ne rozum, do trecit ne żonat, do sorok  
ne bohat, kruhom durak.  
Kto ne czytaw Hudry (sławny kaznodzieja) toj nebudy mudry.  
Kupyweś sobi Ottyniju, trymajże sobi Ottyniju.  
Małeńki, ale waźneńki.  
Mazur ślipyj sia rodyt, a durny umeraje.  
Mowczy jazyczku, budziesz jisty kaszku.  
Mrut ludy, takie i nam budy.  
Murhaj, ne murhaj, niczoho z toho ne budy.  
My wsi durni u naszoho Boha.  
Naduwsia jak woz na moroz.  
Najlipszy jenerał, moroz.  
Nebezbah.  
Nebiszka besidowała do samoi smerty.  
Nedaj Boże, powoli na bidu schodyty.  
Nedaj Boże, z Iwana, pana.  
Nemaje bilsze, iesz to szczo za kownierom.  
Nerano, nepizno w sam dobrej deń.  
Nesamowyty.  
Nezawsze w seredu Petra.  
Nowe sitce na kilku, stare pid lawow.  
Objedesia cyhańskie wisile, bez marcypaniw.  
Oden za wisimnacit, a druhy bez dwoch dwacit.  
Pide czortowy pid fist.  
Pereżehnajsia, ta liż w bołoto.

Pohano pysze.  
Pomoże, jak umerłoma kadyło.  
Po pańsku, do południa spaty, a do weczera nejisty.  
Prymcha ho maje.  
Sedy tycho, szczoby tebe neznało łycho.  
Soroczka blyższa, niż kaftan.  
Spustywsia did na obid, ta bez weczery spaty leh.  
Stare drytsia, a na nowe ne berytsia.  
Światy Mykołaj Bohom bude, jak Boh umre.  
Swij choć nezapłacze, to sia skrywył.  
Świtysz misiaciu, a ne hrijesz.  
Szienuj horby, mosty, budetez mate cili koszty.  
Ten, teń, aby sia mynuw deń.  
Teper duszeńko.  
Tonki, jak bobowy snip.  
Trink serce, zabudesz smutku.  
Uczeny, ale netowczeny.  
Wasze by sia mołoło.  
W chati duże tisno. (jest to znak aby dzieci wynosiły się z chaty, gdyż starsi mają coś do mówienia, o czem dzieci wiedzieć niepowinni).  
W czobotach chodyt, a bosi ślidy robył.  
Wetykie, a durne.  
Wsiu wodku neperepiosz.  
Zachtłiosia, zaprihaj, widchtłiosia, rozprihaj.  
Zahonysty.  
Z porochom sprawa, ne z paperom. 17)

---

17) Przysłowia tylko te umieściłem, których nieznalazłem ani w Zbiorze Nowosielskiego. Lud Ukrański. Wilno 1857 T. II. od str. 231. ani też w zbiorze w Przyjacielu domowym umieszczonym. Lwów 1855. Przysłowia i przypowieści ludu ruskiego w Galicyi zebrane przez S. P. z Dobrzan.

---

# Pieśni.

## 1.

### KOLEĐY.

Małeńkie dziatki  
Zbierały kwiatki,  
Na polu stali,  
Pana witali.

Witajże Panie.  
Niebieski Hetmanie,  
Dajże nam kołacza wielkiego,  
I masła świeżego.  
A jak sobie podjem  
To lepiej powiem.

## 2.

Stała nam się dziś nowina,  
Panna porodziła syna.  
W Betlehem miasteczku,  
Na sianku w źłobeczku.

Panna syna porodziła  
W białe pieluszki powiła,  
Na Józefa pospieszała  
Do Egiptu uciekała.  
Obaczyła chłopka siejącego  
Przemówiła Marya do niego,  
Siej pszeniczkę w Iunię moje  
Jutro zbierzesz, jako swoje.  
Żydowie się dowiedzieli  
Za Maryą pobieźeli,  
Pomagaj Boże chłopku żący  
Czyś niewidział Maryi bieżącej.  
Widziałem, gdym siał i orał,  
A na woły hola wołał.  
Uderzyli żydzi w obie dłonie  
Już Maryi więcej niedogonim.

Czem prędzej żydzi powracali,  
Długo się po lasach błakali,  
Herod niemógł się dalej wstrzymać,  
Rozkazał dziatwę powycinać.

    Płakały stroskane matki  
    Gdy widziały swoje dziatki,  
    Srogo od katów męczone  
    Na pastwę ich wystawione.  
Wielkie było zdziwienie  
Po nad wszelkie stworzenie,  
Gdy cały świat wielce strwożony,  
Jezus w Egipcie ocalony.

3.

Prowadząc Najświętszą Pannę do szopki spiewano.  
    Za czasów Augusta pokoju złotego,  
    Narodził się Zbawiciel, stwórca świata wszego,  
    Przy Betlehem miasteczku w ubogiej stajence,  
    Przyszła czas porodzenia najczystszej panience.  
Jako promień słoneczny przez krzyształ przechodzi  
Tak syn Boży z jej czystych wnętrzości wychodzi,  
Mądrość ona przedwieczna na ziemię zstąpiła,  
Niema miejsca, gdzieby go matka położyła.  
    Przyszła na świat do swoich, lecz go nieprzyjęli  
    Ale go między bydło do stajni wypchnęli,  
    Słowo syn ukochany w piersiach ojca swego  
    Czyli mało miał wczasu u Boga wiecznego?  
O miłości! miłości! pięknieś go uczciła,  
Ojcu go złona wzięwszy, w stajnię go wrzuciła,  
Niema miejsca wczesnego dziecina płacząca,  
Podaj serce na złódek duszo miłująca.  
    Niemasz tego człowieka, któryby obwieścił,  
    Jak się Bóg przedwieczny z synem swoim pieścił,  
    Zstąpiwszy z tronu ojca sobie współrównego  
    Niema miejsca na ziemi do wczasu lepszego.  
Rączki z chęcią podaje, wszystek się wydziera  
I do ciebie się duszo z miłością napiera,

Weź ze więźnia miłości o to skrępowanej,  
Miłością, a od ojca tobie darowanej.

Weźże skarb serca twego, przytul go do siebie,  
Otoć sam rączki daje i pragnie do ciebie,  
Oczki do snu powłóczy, sam się uśmiechając  
A na matkę pogląda wczesność przyznawając.

Matka go też niebroni owszem ci go daje  
A sama ze synem u ciebie zostaje,  
Wszystkiegoć duszo daje weźże jako swego,  
On ci będzie pociechą serca strapionego.  
Niechżeć sam siły, zdrowia i rady dodaje  
Gdyć już niskąd ludzkiego ratunku niestaje.

## Światowe.

1.

Moja matka bałamutka  
Wydala mię za kogutka  
A kogutek rano pieje  
Wstawaj dziewczę do kądzieli.

2.

Siwe oczy miała,  
Siwemi patrzała,  
Siwemi mrugała,  
Bo innych nie miała.

3.

Z tamtej strony Wisły, kapala się wrona  
A porucznik myślał, że to jego żona.  
Niemyśl poruczniku, że to twoja żona,  
Bo to taki ptaszek co się zowie wrona.

4.

Ej pójdeż ja do mazura,  
Podajcież mi ręce która,  
Podajcież mi obie ręce,  
Niech się z wami raz obkręce.

Hejże dalej, a wesolo  
I obróćmy się raz w koło  
A gdyśmy się rozgulali,  
Hejże dalej, dalej, dalej.

5.

Ej Iwasiu, Iwasenku, imie twoje lube,  
A ktoż mene przyhołubyt, jak tebe ne bude:

6.

Sama sobi kowalycha narobyla tycha,  
Szczzo puskała kowaleńka do komory z tycha.

7.

Pytałasia maty doczki,  
Czy sijała ohirczki?  
Oj sijałam, pidlewałam,  
Nema toho, szczom kochała.

8.

Na hori para woliw, na dołyni w pluzi  
Ne rik, ne dwa, ne tre lita, jak moje serce w tuzi.

9.

Czyji woły po dubrowi a moji po pisonku,  
Kto lubyt dałekoju, a ja susidońku.  
Ja tuju susidońku, ludiam podaruju,  
A do toji dałekoji, sam powandruju,  
Wziew żinku w torbenku i piszow na wandrowku,  
Wandrowaw, wandrowaw, rik mynuw na Petra,  
Pryjszow didko, wziew żinku i ponis do pekła.

10.

Wczora buła, hola, hola, a neńki nehoja,  
Kažut myni na pańszczynu, hołowonko moja.  
Jak me skažut, woliwhym ja umerty,  
Jak zahrajut muzyki, to idu w perewerty.  
Siuda bida, tuda bida, a Pawłowy harazd,  
Jak newyjdu na pańszczynu, pokładajut zaraz,  
Sikora pokładaje, Werhonyć trymaję,  
A wokomon z pałyckow, koło zadku hraje.

11.

Zosiu Czernusiu,  
Myjsia, czyszysia,  
Za muž byrysia.

Choczut tebe ludy wziaty  
My tie chcocy za muž daty.

A za koho matynońko,  
A za koho lastywońko?

Za stolara, za syna jeho.

Oj nepidu matynońko

Oj nepidu lastywońko

Bo win bude doszki struhaty

Myni skaży pomahaty.

Zosiu Czernusiu etc.

A za koho matynońko? etc.

Za szewcia, za syna jeho.

Oj nepidu matynońko

Oj nepidu lastywońko

Bo win bude czoboty szyty

Myni skaże szkiry wołoczyty.

Zosiu Czernusiu etc.

A za koho matynońko?

Za mulara, za syna jeho.

Oj nepidu etc.

Bo win bude murowaty

Myni skaże wapno podawaty.

Zosiu Czernusiu etc.

A za koho matynońko?

Za sidlara, za syna jeho.

Oj ne pidu matynońko etc.

Bo win bude koni sidlaty

A myni skaże pomahaty.

Zosiu Czernusiu etc.

A za koho matynońko? etc.

Za storozha, za syna jeho.

Oj nepidu matenońko etc.

Bo win bude w hrubi pałyty,  
Myni skaże drowa rubaty.  
Zosiu Czernusiu  
Myjsia, czeszysia  
Za muž berysia  
Choczut tebe ludy wziaty  
My tie choczym za muž daty.  
A za koho matynońko?  
A za koho łastywońko?  
Za rolnyka, za syna jeho.  
Oj pidu matynońko,  
Oj pidu łastywońko  
Bo win bude pole oraty  
A ja zbiże zasiwaty.

12.

Zainku za hołowońku,  
Zainku sińcia kolińcia,  
Ani tobi zainku wyhlanuty,  
Ani tobi zainku wiskoczyty.  
Zainku zapietoczki  
Pokaż swoi skoczki.  
Ani tobi zainku wihlanuty  
Ani tobi zainku wiskoczyty.  
Zainku za hołowońku  
Zainku za pidboczki obyjmysia  
Koho lubysz pocilujsia.

13.

Piszow did po hryby, baba po pidpeńki  
Did swoji posuszYW, baby wsi sereńki.  
Zeby ty babuneńko, ta na twoji mysły  
Bułyb twoji łupynoczki ta z mojimy wyschły.  
Żebe ty babuneńko mene posłuchała,  
Tobyś pizła na łotoki, tam byś sia skupała.  
Pizła baba na łotoki, taj utunula,  
Did za babow szukajuczy, baba popłynula.  
Tecze woda z pid horoda berehamy riże  
Ide did z wisilom, baba z wody lize.



Pomahaj Blh diduneńku i matery twojii  
Taka u mene syna dymka, jak u molodojii.

14.

Chodyła Huculycha z hory na dolynu  
Nosyła Huculewy w źmeni sołonyynu,  
Ej Hucule Huculeńku, treba trochi sisty  
Maju w źmeni sołonyynu, budem trochi jsty.  
Huculy, Huculeńki de wy baťka dily,  
Czy zwaryły, czy spekły, czy seroho zjily?  
Oj nezvaryły, ni spekły, ni seroho zjily,  
Łesz do seroji zemli do sudu złożyły.

15.

Żuryłysia worohy, szczo ja w kosi chodzu,  
A ja swoju kosoju plota nehorodzu,  
Ani plota, ni horoda, ni źadnoho kila,  
Rosty kosa do pojasa, jak w horodi zila.  
Rosty kosa do pojasa, stelysia po szyji  
Neznajesz ty moja maty z kim ja wirne żyju.

16.

Oj Wasylu, Wasyleńku! dej myni jaku radu,  
Bo ja z tymy konoplamy na wiki propadu.  
A u koho cztery kopi, to sia pomoczyły,  
A u mene cztery źmeni swyni zwoluczyły,  
A u koho cztery kopi, to sia pereterły,  
A u mene cztery źmeni i stojut za dwermy.

17.

Iszow ja w noczy o piwnoczy,  
Nadybaw ja sołowija w korczy,  
Solowiju skate myni prawdu,  
De ja swoju diwczynońku znajda?  
Czy na medu, czy na horiwci,  
Czy u batenka na bilej postilci?  
Ne na medu, ne na horiwci,  
Jeno u batenka na bilej postilei.  
Wertajusia do tatunia i mamuni

Dajże Boże dobrydeń mamuniu moja  
Deś tu je diwczynyna moja  
Wona w polu wyberaje kăkol  
Triba po niu posła, posełate  
Do domu zaklekate.

18.

Oj w nedilu rano jeszcze sŏnce ne schodyt  
Ja ze swoim bratom po rynoczku chodzu  
I ztychońka howoru  
Nedaj mene brate za selanyna  
Tylko za meszczanyna.  
Bo u selanyna stara derewnia, a mała sinnia  
A u meszczanyna wylykaja sinnia nowaja derewnia  
De nowa derewnia lublu źiertowaty,  
A de welyka sinnia lublu pochodzaty.  
W nedilu rano zadudniły mosty  
Brat do sestry pryjeżdżaje w hesty,  
Pomahaj Bih sestro, czyś duże zdorowa?  
Nepetajsia brate czem duże zdorowa?  
Tylko pytaj, jaka moja dola?  
Wiknom utikała, w stepach noczowała.  
Bo to tobi sestro narobyła welyka derewnia, nowa sinnia  
De nowa derewnia lubysz źiertowaty,  
A powelykij sinni lubysz pochodzaty.

19.

Kalynu, małynu hołowa bolila  
Świta newydila  
Łest napesała  
I na pocztu dała.  
Do toho źowniera, szczo wirne kochala.  
A źownier wziawszy  
Łyst perezytawszy,  
Kochanie zhadawszy  
Serdeczne zaplakaw.  
Pane te mij pane, pane kapitane  
Pusty mene do domu, chocim zawołany

Do toji diwczyny, kotra syna maje.  
Chłopce ty mij chłopce, jakiś mi wirneńki!  
Desz ty syna majesz taki mołoděnki?  
Pryjszowem do domu, a diwczyna choruje,  
Prypaw do łózczka, nożyńki ciluje  
Cilowałaby te łycha hodyna,  
Widreklasja mene wsia rodyna,  
Widriksja otec i widriklasja maty  
Czerez tebe żównieru treba umeraty.  
Stij diwczynońku! Hospod Boh z toboju  
Jak sia wychorujesz woźmu ślub z toboju.  
A diwczyna wstała, jak nechorowała,  
Toho żówniera pocilowała.  
Oj znaju, ja znaju, jak żównier biduje,  
Choć łycha hodyna, żównier maszeruje.

20.

Ożynywsia czołowik, taj na jakieś łycho  
Teper w doma jak w młyni nikoly netycho.  
Jak my perwsza žinka umerła w zymi pochowawem  
Ziatalosia dwoje dityj, hirko praciwawem.  
Jednom nosyw na rukach, druhe kolysawem  
Jak pohadaw perszu žinku, rewne zaplakawem.  
Jak my stały dobri ludy teje wohoryty  
Nema w doma gospodyni, trebasia oženyty.  
Narajiw mia nasz kum Rejent, je w dwori diwczata,  
Woźmy sobi z dwora diwku, bude pan za swata.  
Wziaw ja sobi z dwora diwku, ależ ne takaja,  
I peszczaszczza i ladaszczza, do toho łychaja.  
Skaže ji jakie słowo, osoju sia kyne  
Za dworakom kazytsia, aź mało nezhyne.  
Pojichaw w dorohu, aź na dwi nedili  
Bidnaż moja hołowońko nemaju nadiji.  
Pryjichaw ja z dorohy, dim mij widmynywsia,  
Jak pohadaw perszu žinku, slozamy obmywsia.  
A stodola wideczynyna, hosti lulki kurat  
Szczob z dorohy nepryjichaw, žinkuju sia żurat.  
Dity chodiat jak światyi, i świtiat kolinmy  
Poubywała im maczocha, jak była polinmy.

21.

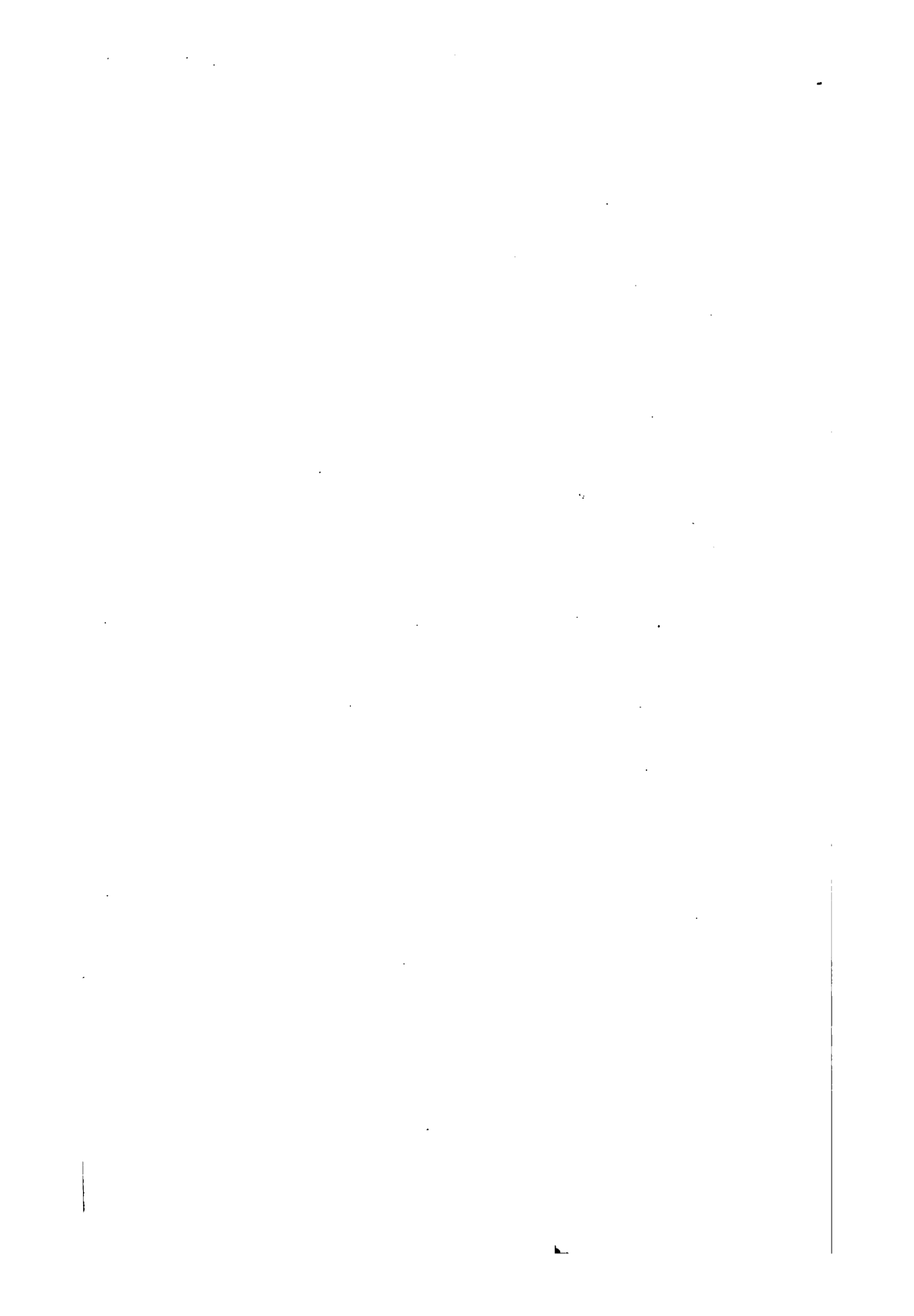
Stara pani Kińska w doma nebuwała,  
Młodą Augustyna w wikni rozmawiała.  
Rozmawiała jako w dzień, rozmawiała w noczy,  
Wse to narobyły, jeji czorni oczy.  
W czetwer weczter przyjeżdżaje kapitan moskowski  
Sam naper, za nym wojsko, żownieriw jak troskiw.  
Sam prychodyt do pokoju dobryweczter pane  
Win do uioho z wynom, z chlibom zdrow kapitane.  
Nebudu ja wyna pyty, ni chliba kuszaty,  
I nom przyjchaw tebi pane wsiu prawdu skazaty.  
Czy ta panna u tebe służył, czy to twoja doczka,  
Szczu po niu zajichala moja powozoczka?  
Kołys chotiw kapitane moju doczku wziaty,  
Bulo w dzień przyjeżdżaty, w noczy nebuwały,  
Bere pannu Augustynu i każe praszczajte  
Wże żowniry salsdaly na przed stupajte.  
Prywiz pannu Augustynu do nowoho dworku  
Tam pokinuw Augustynu, sam piszow do polku.  
Otóż tebi kapitane młodą żinka  
Jedna w hrudy, druha w pleczy ohnewaje striika.  
Teper tebi Augustyno nowaja kwatara,  
Nesłuchalaś otca, maty, słuchaj oficera.

22.

Oj po hori, po dolyni hołuby litajut  
Ja rozkoszy nezaznała, lita sia mynajut.  
Ja rozkoszy nezaznała, i znaty nebudu,  
Po czymże ja lita swoji pamiataty budu.  
Oj maju ja cztery koni, a wsi cztery woroniji  
Pojidu ja dohaniaty, lita młoddyji.  
Dohnała ja lita swoji na kłynowym mosti  
Oj wernyt sia lita moji choć do mene w hości.  
Ne wernem sia, ne wernem sia ne znajesz dlaczoho?  
Ne umilaś nas szienowaty, ni zdrowła swoho.  
Ani ujila, ani upyła, ni choroszo uchodyła,  
Tylko mojej rozkoszońki, szczom sia narobyła.

UWAGA. Pod ręką miałem zbiory pieśni polskich i ruskich, które wydał  
Wacław z Oleska i Zegota Pauli; przeto w mojem dziełku umieściłem  
tylko takie pieśni, których w pomienionych zbiorach nie znalazłem.







3 2044 017 951 559

THE BORROWER WILL BE CHARGED AN OVERDUE FEE IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW. NON-RECEIPT OF OVERDUE NOTICES DOES NOT EXEMPT THE BORROWER FROM OVERDUE FEES.

**CANCELLED**  
W I B L E T L E R  
BOOK RUE  
JUL JUN 1982 1983  
7882940  
DN OF 6/1

